PISMA POŚMIERTNE

KS. ST. CHOŁONIEWSKIEGO.

PISMA
POŚMIERTNE
KS. ST. CHOŁONIEWSKIEGO.

TOM I.

Wydanie J. N. Bobrowicza.

LIPSK
NAKŁADEM KSIĘGARNI ZAGRANICZNEJ
(Librairie étrangère).

1851.

SPIS

PRZEDMIOTÓW W TOMIE I. POMIESZCZONYCH.

Strona.

Notaty zmarłego przyjaciela szkolnego. 1

Wyjątek z dziennika życia mego. 7

Treść Pamiętników niektórych przyjacioł młodości mojej. 75

Memoranda, czyli żywot Stęplowskiego. 123

Wody Krzeszowickie. Pamiątki z dziennika życia mego. 137

NOTATY ZMARŁEGO

PRZYJACIELA SZKOLNEGO.

A. M. D. G.

NOTATY

ZMARŁEGO PRZYJACIELA SZKOLNEGO.

Panniętam jak będąc jeszcze wyrostkiem, do domu nieb. Ojca mego, przybywał raz w rok, niemal zawsze o jednej porze, to jest drugiego dnia wielkonocnych świąt, słuszny pleczysty Pan jakiś, którego my się dzieci (a było nas w ów czas czworo) nie pomału bali — lecz to tylko za pierwszem jego ukazaniem się popłoch taki na nas padał — bo w kilka chwil po przybyciu swojem, Pan ten niby straszny, umiał nas przyhołubić do siebie, a tak jak na razie uciekaliśmy odeń do drugiego pokoju, patrząc się przez szpary odźwirków czy *Pan jakiś* zawsze *tak* straszno wyglądał, tak wkrótce potem hurmem nań nacieraliśmy, i czepialiśmy się jego, jak nowy rój pszczół starego klonu w pasiece. — Ojciec nasz, wielce gościnny dla wszelkiej okolicznej szlachty, a nawet bardziej jeszcze uprzejmy dla szlachty ni·

żeli dla magnatów, nad zwyczaj był temu Panu rad w swoim domu; skoro się na progu ukazał, zaraz na przeciw niego szedł z otwartemi rękoma: — Witam cię kochany Rotmistrzu, mówiąc, przyciskał go serdecznie do swego łona, a stary Rotmistrz poważnie i z uszanowaniem całował go w ramie, wszakże bez żadnej niepotrzebnej dworszczyzny i uniżoności, siadał potem skromnie na krześle i rozmawiał z ojcem, w prawdzie jak równy z równym, lecz z takim o którego cnocie i zasługach obywatelskich wysoko trzymał. — Taki zaś był ubior tego P. Rotmistrza: — kontusz miał mundurowy kawaleryi narodowej, wytarty nieco i spłowiały — żupan atłasowy biały, który z powodu starożytnej daty, na śmietankową żułtawą barwę przedzierżgnął się — pas po kontusie przez pół wełniany, przez pół jedwabny, zielonkowaty z takiemiż frenzelkami — karabela w czarny jaszczur oprawna, z rękoiścią stalową pordzewiałą, wysoko i szczelno przy boku miał spiętą zielonemi z włóczki paskami, czapkę wysokę rogatę amarantowego koloru z barankiem czarnym i ledwie znacznym jeszcze galonkiem srebrnym; nosił także szlify po kontuszu lecz z włóczki białej, bo jakem się potem dowiedział, oryginalne Pana Rotmistrza szlify rotmistrzowskie

srebrne, już przeszło dwadzieścia lat paradowały na habicie obrazu cudownego ś. Antoniego w Gródku, gdzie je tam pobożny staruszek *permodum ex voto* ofiarował ś. Antoniemu de Padua. Twarz miał okrągłą czerstwą, a że był białego włosa jak gołąbek, i pomimo nachmurzonej marsowej brwi, bardzo miał wdzięczny uśmiech i ojcowski wyraz twarzy, niebalibyśmy się jego munduru, olbrzymiego wzrostu i karabeli — jedna tylko była rzecz wielce straszna, która zawsze nas na razie, jakto mówią, z terminu zbijała: wąs czarny — ale jaki — tradycya o takim wąsie za bajeczną by teraz może uszła, lecz to istna prawda, że wąsy tego Rotmistrza, spuszczały się naprzod ku dołu, potem prostym już gościńcem ciągnęły do usz, a okręciwszy jak wąż Boa każde ucho, ukazywały się na jaw czarnemi kosmykami, na obydwóch policzkach. Raz tylko jeden w życiu poźniej widziałem dłuższy jeszcze wąs w kościele katolickim w Petersburgu; właścicielem jego był P. Możarowski, quondam także Porucznik kawaleryi narodowej — przyjechał był do stolicy dla swojej jakowejś tam sprawy, był wielki Bohomolca, a że miał zwyczaj często krzyżem leżeć w kościele podczas summy, niebaczny jakiś Moskal stanąwszy obok leżącego, przy-

deptał mu wąsa; a kiedy się P Porucznik Możarowski protestował przeciw takiej nieforemności, to Moskal nierychło zrozumiał o co rzecz idzie, sądząc że to on stoi tylko na jakimś odrywku szuby niedźwiedziej; lecz wracam do mego Pana Rotmistrza — — — — — — — — — — — — — — — — —

WYJĄTEK

z

DZIENNIKA ŻYCIA MEGO.

Dziennik dla mnie niejest zabawą literacką ani powabną — jest rzeczą ważną — jest mojem niepochlebiającem zwierciadłem — groźnym Dyrektorem — pisanem sumieniem. Niepisz nigdy, mówiła święta moja siostra, czego niema w twojem sercu, choćby ci się to jak gwiazda w głowie świeciło — a pisz skromnie, żeby poźniej serce ci od dumnego słowa niebolało.

Słowa z pośmiertnego dzieła tegoż
Autora wyjęte.

WYJĄTEK

Z DZIENNIKA ŻYCIA MEGO.

Pisałem 25 lipca 1842.
w d. ś. Jakuba Apostoła.

1798 roku. Było nas podówczas czworo dzieci w rodzicielskim domu. — Najstarsza siostra Magdzia miała niespełna ... lat — była wielce sprytna a żywa jak przepióreczka. — Po niej wiekiem następował Kajcio, wielki psotnik i bohater do najśmielszych figlów — krępy, pyzaty z rozczochraną zawsze główką, niezliczyłbyś tych feralnych dni w których po kilka razy wycierał pewien kąt za szafą sali jadalnej, co go przezwała, niewiem dla czego karceresem ś. Nepomuka, stara Ochmistrzyni czeszka Panna Józefina; — ale my dzieci wszystkie zawszegośmy z tamtąd prośbą uwalniały — bo chłopak lubo srodze nam młodszym dokuczał, miał serce jak panienka czułe i nader wstydliwe, bez żadnej pamięci na urazy; prawda że jej także niemiał na psoty

ktore wyrządzał, bo z karceresu prosto na nowe leciał jak na obwarzanki, tak że już panna Józefina, nieraz mawiała z czeska do nieboszczyka Ojca: — Panie mili, Kajcio nasz to pak zdrajcio, ale o zdradzie niewie jego serduszku, co u niego jest jak zlate jabluszku — bo ona siedzi w tych kudlach co mu na glawie siedzą jak u jeża, ja mu je zaczesuju zaczesuju Panie mili wsiak deń, jak najladniej — ale, *madonna santissima!* co to pomuże — taki chlopaczki to jak koziolki — co przytniesz rohu, to on lepiej rosnie; ale trzeba go Panie mili na serwatku postawić — co rok w maju — a po kilku latkach z koziolka będziesz mial aniolka. Ja już takich widziala nie malo — *pazienza.* Tylko na serwatku — *fein hübsch* — serwatku Panie mili. —

Wiernie powtarzam jej słowa, a mowie tej dziwacznej, niebędzie się czytelnik dziwował, skoro się dowie: że ta świątobliwa Panna Józefina, luboć rodem z Pragi czeskiej, długo bawiła we Francyi, we Włoszech, w Niemczech a w wieku już podeszłym w Polsce — mowy więc tych czterech krajów tak się na jej języku pokłóciły, że ona ich nigdy do zupełnej uległości przywieść nie zdołała, i musiała każdamu razem dać po trosze wolę. —

Niemogę wyrazić jak nieboszczyk Ojciec ją

wielce cenił; bo też to była niewiasta ale, prawdziwa matrona starożytnych czasów chrześciańskich. —

A co to za wiara u niej była? gdzież teraz taką widzieć? Przypominam sobie, jak na najmniejsze słówko w materyi religijnej różnowierców, których kilku było w domu Ojca, cała bladła. — Razu jednego — —

Ale o tem poźniej przyjdzie mi wspomnieć obszerniej — bo teraz mi idzie tylko o opisanie naszej gromadki familijnej. —

W prawdzie widzę że się troche plączę w mojej powieści — ale cóż robić? każdy pisze jak umie, a kiedy i życia naszego prządka tak często bywa pogmatwana, toć trudno zawsze czysty wątek z niego wysnuwać. — Wreszcie nie dla literatów się pisze, ale dla siebie i swoich, a niepisze się romansu ale istną prawdę. —

Po Kajciu więc przychodzę do trzeciego z nas czworga dzieci, do ciebie Kasiu. — O! Kasiu! Kasiu! ja ciebie nigdy niezapomnę — choć już jest lat blizko dwadzieścia jak ty w trumience leżysz w sklepieniu pod wielkim ołtarzem w kościele Bernardynów w N. — a ja mam ich trzydzieści z nawiązką — nigdy mi łez niezabraknie w źrenicy, ile razy mi przychodzi mówić o tobie, luboć ich dużom roz-

trwonił w życiu mojem niepoczciwem, na rzeczy żadnej wartości niemające. —

Ależbo, co też to była za cudna panieneczka ta nasza Kasienka — zwłaszcza w tej porze którą tu opisuję, bo ją poźniej długie niemocy zmieniły. — Liczyła podówczas niespełna roczek, wzrostu była niepośledniego na swój wiek, a tak cienka, prosta, smukła i subtelna jak łodyga lilji ogrodowej zagranicznego rzadkiego gatunku, co u nas były sławne na całą okolicę. — Włos jej był podobny do złotego jedwabiu, a tak obfity, miękki i długi, iż kosy dwie z niego uplecione do kostek jej spadały. — Panna Józefina miała dużo z niemi kłopotu — to też i dziewczynka podczas ich plecenia, dobrą miała co dzień lekcyę cierpliwości; bo Panna Józefina przy starannem czesaniu i muskaniu włosów co rana, opowiadała jej historyą Absalona, co z powodu pychy jaka mu rosła z urody, zawisł warkoczem na drzewie i nędznie zginął. A każdego rana inny umiała z tej historyi wyciągnąć obrok duchowny, tak była biegła w pismie bożem. — Nakoniec ukończywszy plecionkę, kosy te prześliczne rozłożywszy przesunęła na śnieżną szyję w krzyż, a potem końce ich niebieską wstążeczką przytrzymane znów przepuściwszy pod rączki, na kabaciku z tyłu

starannie fontaziem przypięła — a kończąc tę robotę zawsze mówiła: ta najlepsza moda dla ciebie panieneczko — krzyż Pana Jezusa milenkiego masz przed sobą, a po za sobą wstążku ładnenku tej twojej próżności swiatowej. —

A Kasia podczas ubierania, niewiem czy z nudy czy dla innej przyczyny, czasem tylko westchnęła cicho i oczy do nieba wzniesła, czarne jak dwie trześnie, z długiemi rzęsami.—

Twarzyczka jej była koloru alabastru kiedy za nim świecznik jaki postawią a on się mieni to śnieżną to różową barwą — a płeć tak delikatna, że kiedy bywało mała jaka muszka oblicze jej drasnęła, to ono całe jakby rozkwitła centefolia przez jakiś czas płonęło — a dziewczynka cierpiała; — to bywało też Kajcio w wielkiej swawoli rozdąsawszy się na nią, woła: Kasiu! Kasiu! ja mam much przepaść w moim ręku i wszystkie na ciebie puczczę; — a Dziewczynka na tę groźbę jak sarneczka przed strzelcem, przed psotnikiem uciekała.

Było i to szczególniejszem u Kasi, że się z dziećmi nieumiała dobrze bawić, bo była nierozmowna, poważna i nieumiała jak to mówią trzech zliczyć. Dziecię to się urodziło bardzo nędzne, słabowite, tak że lekarze

ledwie jej kilka dni obiecywali życia, i tylko kiedy nieboszczka Matka ofiarowała ją Panu Jezusowi w Milatynie przyszła do zdrowia, wszakże zawsze była wielce subtelna, i drżącą nóżką stawiała tylko kroki — także, z wielkiej radości lub żałości drżały jej rączęta, niemocy jednak wewnetrznych niedoznawała i dziecinne zwykłe, dość szczęśliwie przebyła; czasem dość było jednej jakiej wielkiej radości żeby ją z choroby uleczyć — przeciwnie jakikolwiek smutek obalał ją na łoże.

Przecież niebyła smętnego charakteru, lecz jej wesołość najwięcej się na jaw ukazowała kiedy była sama; na osobności najulubieńsze jej były zabawy.

Zrobiła sobie kapliczkę w swojej spalni — ubrała ją wedle swego gustu, obrazami rozmaitych świętych pańskich, do której to roboty i Panna Józefina jej pomagała. — Podczas rekreacyi, skoro się mogła wyrwać od Kajcia, co ją zawsze chciał za konia do swego idealnego wózka zaprzęgać, a którego ona wielce kochała lubo ją nieraz mocno straszył, — uciekała dziewczynka do domku swego loterańskiego — tak nazywała swają kapliczkę — i tam pod opieką Panny Józefiny, już bezpiecznie swoje rozpoczynała zabawy. — W ówczas

była wielce mowna, ciągle jakieś perory do obrazków i do siebie samej wszczynała; to uśmiechała się misternie, to poważnie coś rozprawiała, to gromiła jak kaznodzieja, to mszę ś. odprawiała niby jak kapłan przy ołtarzu, to świętym pańskim swieże kwiaty obiecywała, to klękała i wolnym głosem zawsze jedne najczęściej słowa powtarzając, długo jak stara osoba modliła się ze łzami, i potem znowu się śmiała — a z wielkiej radości na samych palcach drżących nóżek jak tanecznica po pokoju śmigała, z główką w górę, z okiem pełnem radości nadzwyczajnej, rozwartemi drgającemi rączętami, jakby latać chciała i do czegoś się dostać w górze, co z utęsknieniem jasno oglądała. —

Po jej śmierci opowiadała Panna Józefina, jak nieraz podsłuchawszy niejedną z jej peror do obrazków, nie mogła dość się wydziwić, ile w nich było serdecznych wyrazów i starego rozumu. —

To póty trwało póki Panna Józefina temu końca niepołożyła, mowiąc: dość tych kinderajen panienko — alons marsz do książki.

To wszystko wiem z wiernego opowiadania tej poczciwej staruszki. —

Kasia w nauce była pilna i pojętna, ale

mało miała pamięci do rzeczy które się nieściągały do religji i dziejów świętych; pośród lekcyi także często się zapominała i była roztargniona, a na razie pytana nie k'rzeczy odpowiadała, za co nieraz odbierała pokuty, przez co więcej jeszcze tępiała w następującej lekcyi — a po niejakimś czasie, kiedy przyszło zdawać examen przed Ojcem, a nauczyciele mniemali, że tyle dni źle na nauce przepędzonych, wielkim ją wstydem nabawią, ona z podziwieniem wszystkich, na ich zapytania taką trafną dawała odpowiedź, jakby wszystkie lekcye najprzedniej odbywały się. —

Tylko (jak uważała panna Józefina), w owe dnie co odbierała pokuty za roztargnienie podczas lekcyi, żałośnie rozmawiała z obrazkami i więcej swieższych kwiatów stawiała przed nimi: — biedny robaczek (dodawała z westchnieniem macierzyńskiem staruszka). —

Wszyscyśmy troje niezmierzenie tę Kasię kochali, lubośmy na nią często narzekali że do żadnej zabawki naszej się nieprzyda; — Matkę tak wcześnie straciliśmy — żadne z nas jej pamiętać nie mogło, a powiadano w domu, że Kasia kubek w kubek do nieboszczki Jejmości podobna, tylko że delikatniejsza i wybrydniejsza od niej; więceśmy się i dla

tego także, prawdę powiedziawszy trochę jej bali — bo także mówiono: nieboszczka Pani była bardzo dobra, ale wielka skrupulatka i seriozna. —

Kasiu! oto znowu długo może niepotrzebnie i niedorzeczy o tobiem tu rozprawiał — ale ja niemogę nigdy krótko o tobie, ani mówić, ani pisać, ani myślić — bo od kiedy w trumience leżysz w sklepieniu w kościele O. O. Bernardynów, nieustannie dniem i nocą w sercu mojem o tobie tylko rozmowa, a takie to rzeczy serdeczne, niedadzą się jak mary senne przepłoszyć.

Żyłem ci i ja długo i płocho w świecie płochym — ale ciebie Kasiu zapomnieć niemogę; tyś umarła jak święta a ja grzesznik dotąd na ziemi chodzę; — dobrze to stary Kochanowski gdzieś tam napisał —

— — — — — —

— — — — — —

Przychodzi teraz i na najmłodszego pędraka kolej, żebym coś i o nim powiedział. Byłem to ja, co te pomiątki piszę, i noszę już na barkach czwarty ciężki krzyżyk liczby łacinskiej, najmłodszy z całego rodzeństwa, o którem tu mowa, a w czasie, który w tem pamiętniku opisuję, miałem lat. —

Imie mi Franciszek — ale mnie w domu

zwali Fuziem niewiem dla czego — bo po polsku Franciszek malec, powinien się zwać Franuś; podobno to z tego poszło, iż Kasia co z trudnością *r* wymawiała, tak mnie przechrzciła po swojemu. — O. Wijator bernardyn katecheta i kapelan domu, nieraz mi wyrzucał w żywe oczy, że się dozwalam tak krzywdzić na imieniu, i ujmował się za patryarchę swego zakonu, co mnie nieraz do płaczu przywiodło, tak żem począł mocno się żalić o to przed Kasią, a ona mi na to z swoją anielską twarzyczką odpowiadała ciesząc: — nie płacz Fuziu, ja cię tak kocham, że kiedyś nauczę się nazywać ciebe Fanziszek, ale bez *l* — bo *l*, nigdy się nienauczę; a teraz proszę ciebie bądź sobie jeszcze Fuziem, póki niewyrośniemy. — Niech i tak będzie, odpowiadałem udobruchany — bo jej każde słowo w mojem sercu dźwięczało jak ta słodka nuta którą dzieci do snu kołyszą.

O sobie wreszcie, nic w tem wieku nie umiem opowiedzieć — jeno, żem był malec czerstwy — lubo także delikałnego zdrowia, także mało mówiący i smutnej fantazyi, a nad wyraz lękałem się psotnika Kajcia — w trudnych atoli razach, kiedy momo nacierał na mnie, udawałem się pod opiekę Kasi, która mnie mężnie broniła. —

Z nią tylko byłem rozmowny i śmiały, ale lubo mnie bawiły różne jej długie historye, które mnie w swoim domku Loretańskim opowiadała, przecież tam długo przesiadywać z nią nielubiłem — bo ona mnie zmuszała ażebym jej do mszy służył, a sama tylko chciała być księdzem i ornat na siebie z złotego papieru przywdziewać, co mnie mocno niecierpliwiło i perswadowałem jej: że ja mężczyzna, a tobie się niegodzi Kasiu świętości pańskie sprawować; lecz ona mało na to zważając mowiła: — Ty Fuziu mniejszy daleko odemnie, a cóżby to było żeby taki mały grzybek jak ty celebrował, a daleko większy kleryk, jak ja, służył do mszy, sam osądź Fuziu. — Niewiedziałem dobrze co na ten jej zarzut replikować, bom nie był sprytny na razie, ani skory do trafnej odpowiedzi — i nieraz Panna Józefina mawiała o mnie: — ten chłopaczek czysty ślimaczek! — jednak zawszem się oburzał na tę Kasinę prezumcyą niewieścią i o to tylko były między nami spory i kwasy. —

Owóż dość a może już nadto się powiedziało o naszej gromadce dziecinnej w domu rodzicielskim, a to dla lepszego zrozumienia następującego wypadku, co się w rok potem u nas przytrafił za przybyciem owego P. Rot-

mistrza Kawal. narod: Radwańskiego który, jak się wyżej wspomniało, zawsze w drugi dzień wielkonocnych świąt odwiedzał dom nasz, a między nami dziećmi zwał się po prostu Wąs czarny. —

ROZDZIAŁ II.

R. 17 . w Poniedziałek wielkonocny, pamiętam jakby to dziś było, po powrocie z kościoła zaprowadziła nas P. Józefina wszystkie czworo do ogródka naszego Ojca, ktory on sobie urządził na dziedzińcu zamkowym.

Albowiem mówiąc intra parentesim, nieb. Ojciec człowiek dość możny w Województwie swojem, był Starostą grodowym Latyczewskim, przytem na wielu sejmach posłował — był skoligacony z pierwszemi rodzinami Województwa Lubelskiego i Wołyńskiego, w których znaczne posiadał włości, wszystko ojcowizna — poźniej spadkiem po bracie młodszym bezdzietnym, dostał mu się majątek w Województwie Bracławskiem z zamkiem murowanym, przekopami i basztami warownym, od napadów Hajdamackich — a dom jego i piwnica, jak serce właściciela, były zawsze otwarte dla szlachty okolicznej.

Jak poczciwego i rozumnego mieliśmy Ojca,

o tem poźniej nadarzy się może sposobność obszerniej mówić — teraz dość będzie tej wzmianki dla objaśnienia materyi. —

Ogródek ten ojcowski, który miał komunikacyą z jego spalnią, był nam zwykle wzbronionym, puszczano nas tylko do niego, albo za nagrodę dobrze odbytej lekcyi, alboliteż w wielkie uroczyste święta, jakim było dzisiejsze. — Metrowie, pan guwerner, ani nawet rodzona Babunia nasza Pani Kasztelanowa Lubaczewska, niemieli pozwolenia nas tam wodzić — przywilej ten miała tylko stara Panna Józefina, bo nieboszczyk Ojciec nasz mawiał; Jedna panna Halin, — takie jej było przezwisko, — potrafi w to ażeby dzieci niewypłoszyły mnie moje ptaki, i nie spustoszyły rabatów mojej Magdzi — tak nazywał zmarłą matkę. —

Słusznie było czego załować, bo jakiż to był przecudny ogródek; poźniej w mojem życiu na Wersalskie, Tuileryjskie, i różne Angielskie wykwintne sady, dość się napatrzyłem — ale żaden mnie za serce nie ujął, ani dotąd tak w pamięci kwitnie, jak ten ojcowski — lubo wniem dzisiaj pokrzywa i chwast rośnie, od kiedy się, z powodu krajowych klęsk, wraz z zamkiem w cudze przeniosł ręce. —

Był w nim labirynt, staroświeckim trybem urządzony, z małego szpaleru bukszpanowego,

lecz tak misternie, iż nieświadom fortelu niemógł łacno z niego się wydobyć, chyba żeby począł gwałtem psować szpalery. —

Wszystkie ulice pomniejsze w wielokrotne obłędy się krzyżując, zbiegały się w końcu w jeden foremny Wirydarz kształtu sześcioboku, który cały jak kobierzec perski pstrzył się pachnącemi w dobranych kolorach kwiaty. — W samym środku Wirydarza, była obszerna także sześciokątna altana stolarską robotą kształtnie ułożona w zielone kratki — osnuta była powojem, różami *semper vivens,* i *Convolvulami* — pośrodku samejże altany, która niemiała z góry nakrycia, bujał stary bardzo kasztan sadzony jeszcze ręką Dziada, i nietylko nad altaną, lecz nad większą częścią ogródka rozciągał swe olbrzymie konary, a przy sześciu bokach altany, było sześć kamiennych ławek. —

Lecz największym dla nas dzieci cudem kunsztu, który wchodzącym do altany z przeciwnej strony w oko wpadał — była potężna obszerna klatka, równej wysokości z altaną, cała z siatki drucianej. — W niej biła dniem i nocą fontanna; źródło u szczytu blizkiej zamku góry dość wzniosłej, przypadkiem wykryte, za pomocą starannie urządzonych wodociągów, dostarczało obficie przedziwnej wody. — W koło

fontanny synogarlice, kanarki, czyżyki rozmaitego rodzaju, jakby na przekor szmerowi fontanny, napełniały powietrze wdzięcznem szczebiotaniem — ale smętny lubo przerywany głos synogarlicy nad wszystkie górował i zagłuszał nawet wesoły bryzg fontanny, która u samego szczytu klatki rozpuściwszy swe pociski jak długie srebrne kosy, wszystkie potem skupiała w potężną u dołu jej ustawioną miednicę kamienną a z niej podziemnem korytem do poblizkiego stawu uchodziła; w tej miednicy, złote rybki wesoło się uwijały jak w przezroczystem krysztale — i to było największą rzadkością i rozkoszą bujnej fantazyi dziatwy.

Owóż tedy trzeba było całej obfitej w wynalazki przezorności Panny Józefiny, żeby nas pośród tylu dziwów, w przyzwoitej ryzie utrzymać.

Ponieważ najwyższe *praemium* dziecinnej cnoty było pozwolenie karmienia złotych jbek — jak je zwała Kasia — więc przed wejściem do ogródka przezorna P. Józefina, dziewczynkom dwom fartuszki napełniła gałeczkami z bułki urządzonemi, mówiąc: że która tylko z nich na ziemię padnie, to ta zlata rybeczka przed panienku schowa się na dnie, a panienka straci prawo do karmienia zlatej rybki. —

Kajcio musiał nieść z wielką ostrożnością koszyki z siemieniem i pszonem dla ptastwa; także mu pogrożono, że skoroby je rozsypał, zarazby go zapędzono w najtrudniejsze ścieszki sadka zlaho swiata, — tak zwała labiryntu, najtrudniejsze do spamiętania obłędy, w których nieraz już srodze pokutował Kajcio; bo kiedy bywało rozdąsany długiem błąkaniem się, chciał przemocą przełamać szpalery bukszpanowe, to nielitościwie kłuły go aż do płaczu tarnki w niem rozmyślnie gęsto zasadzone. — Wejście do ogródka zawsze uroczyście i niejako processionaliter się odbywało, naprzód szła Kasieńka, za nią Magdzia, potem Kajcio, ostatnia postępowała P. Józefina a ja przy jej boku musiałem być nieodstępnym — bo na mnie najmniejszego, był włożony obowiązek noszenia jej, dość spory w jaszczur czarny oprawny psałterz na klamry zamknięty.

Tak jak zawsze i tego poniedziałku wielkonocnego dążyliśmy porządnie do altany ogrodowej. Lecz skoro Kasia stanęła u wchodu altany nagle krzyknęła: Wąs czarny — zodrżała, wysypała z przestrachu prowizye dla rybek z fartuszka i poczęła uciekać. — Wszystkie dzieciom szyki się pomięszały — potrącały się jedne drugich: Kajciowi z rąk wypadły koszyki z ptaszym jadłem, a P. Józe-

fina, na trzymającą się jej robronowej sukni Kasię wołała: — Ś. Nepomuku! cóż tobie robaczku stało się; Jezus milenki z tobą. — Lecz wnet powód przestrachu Kasi na jaw się ukazał. —

Był to P. Rotmistrz Kaw. nar. P. Radwański, który tą razą, czekał w altanie na przybycie Ojca z kościoła, żeby go zwykłym *Alleluja* powitać. —

Z wesołą twarzą skłonił się poważnie P. Józefinie, a potem rzekł:

— Chrystos woskres.

A P. Józefina na to kłaniając mu się nizko: — Bóg zapłać Panie Rotmistru, choć ja tego waszeho ruskiego *Alleluja* dobrze nierozumieja; ale mniejsza oto, bo mili Jezus jak się narodził, tak też umarł i zmartwychwstał dla wsiakoho naroda, i wszelki język go chwali, Allelujah!

A potem niby z fukiem się ozwała na Kasię, co zawsze się jej sukni drżąca trzymała, i na drugie dzieci co jak wryte stały: —

— A co to za maniera Jezu milenki, dzieciarstwo to stoi jak zmokle od deszczu prepelki przed sokolem. — Allons marche Kajciu zdrajciu, Kasiu, Magdziu i ty ślimaczku: *faites une belle reverence à Monsieur le Rittmeister,* to taki grzeczny i bogobojny, najpierwszy

przyjaciel Pana Starosty naszego. — Każde z dzieci po swojemu to dygnęło, to niezgrabnie skrobnęło nogą po ziemi na znak rewerencialnego ukłonu, prócz jednej Kasi, która niedała się skłonić namowy już łagodniejszemi P. Józefiny, ażeby bliżej do Rotmistrza przystąpiła, i choć dygnęła mu grzecznie, ciągle jednak trzymając się sukni poważnej panny, cicho ją zaklinała drżąca: — Moja Józefinko najśliczniejsza nieopuszczaj mnie; ja wiem że ten Pan grzeczny, ale boim się Czarnego wąsa.

— Prosim siedzieć szanownego Rotmistrza, — rzekła P. Józefina wskazując na ławki kamienne i sama naprzeciw niego siadła, a przy niej stanęła kupa dzieci wlepiwszy na Rotmistrza oczy z trwogą, pomieszaną z jakąś przyjemną ciekawością. —

— Darujcie P. Rotmistrzu — rzekła dalej P. Józefa wskazując na Kasię — ten mały robaczek ma tak duszę trwożliwą, że jej się dotąd żadna maniera polityczna nie ima, ale jak podrośnie i umu troche przybędzie, będzie panieneczka gładka i manierna; prawda robaczku? — To mówiąc głaskała Kasię po kosach, ktora tylko milczkiem głową kiwając potakiwała — a to u niej znaczyło że wszystko kiedyś zrobi, byle jej tylko teraz niekazali iść do Czarnego wąsa. —

— Nie frasujcie się o P. Katarzynę — rzekł P. Radwański wesoło, pociągając straszliwego wąsa, za ktorego poruszeniem nawet na zarozumiałego Kajcia, co już kilka kroki był naprzód postąpił, padł nowy popłoch, tak że się cofnął jeszcze dalej jak niepyszny.

—Niefrasujcie się — powtórzył P. Radwański — mam ja sobie różne wabiki na te ptaszyny wasze, niezaszkodzi i Czarny wąs. — To rzekłszy dobył z pod ławy kamiennej szabelkę zgrabną z felcechem srebrnym, kutasem w różowy jedwab przerzuconym z łapciami z jedwabiu tegoż koloru i srebra wyrabianemi, a podnosząc ją w górę zawałał: — A co Panie Kajetanie prawda, szabalka! i król Jan niemiał lepszej. — A Kajcio jak z procy poleciał i porwał z radością szabelkę. — Stój, stój junaku, niech cię przepaszę; bo waść z temi łapciami niedasz sobie rady. — I począł Kajcia opasywać szabelką, a potem kazał mu ją dobyć. — Chłopiec ją wyrwał gracko z pochwy, i zaraz machnął przed sobą, tak że ledwie Rotmistrzowi niedostało się po głowie, a P. Józefina z przestrachem krzyknęła: — S. Nepomuku! stój, co ty robisz, ty zawsze Kajcio zdrajciu. —

— Nic nieszkodzi, odpowiedział P. Rotmistrz — nieźleś mi machnął na raz pierwszy malcze,

ale nie w porę; bo kto bierze się do korda, mój Starościczku, trzeba żeby wiedział co kord znaczy. Czytaj mi zaraz co tu na nim napisano. — Kajcio wytrzyszczył oczy; na klindze prawdziwej lekiej demeszce, był krzyżyk promienisty a pod nim były złotem dziwerowane następujące słowa łacinskie, które Kajcio z trudnością czytał — tak: «*Omnes enim qui gladium acceperint gladio peribunt.*»

Radwan. — Waść mi nieraz na examinie recytowałeś bukoliki Wirgiliusza na pamięć i nieźle *sensum* ich po polsku tradukowałeś: cóż ten napis znaczy? —

A Kajcio jeszcze mocniej wytrzeszczył oczy i zasępił się.

Radwan. Staróściczku! zrozumiałeś widzę czem te słowa pachną, dla tego zaciąłeś się nieboraczku, bo ci nieprzypadły w smak, ale ja ci pomogę ślabizować paniczu: «Albowiem wszyscy którzy miecz biorą mieczem poginą» — to opiewa ta łacina; ergo, a te moje ergo Rotmistrza Kawal. narodowej: «Kto niema serca ginąć poczciwie od miecza, niepowinie brać w rękę miecza.» Z tąd masz poznać, że szabla jest rzeczą serca gotowego na śmierć, dla tego zowie się kord per excellentiam — ergo, i to drugie moje ergo: kto nie jest zawsze gotów Staróściczku na

śmierć, jako dobry katolik, temu wara od korda — item kto niezna krzyżowej sztuki w życiu, ten jej niepozna w biciu, i wnet po łbie lada od partacza dostanie; bo i to Waść wiedzieć powinieneś, że w sprawie orężnej, (przepraszam uniżenie Pannę Józefinę) kiep po łbie a gracz po ręku dostaje — rozumiesz to Staróściczku?

A Kajcio ciągle markotny milczał. —

Radwan. — Coś widzę niebardzo ci ta łacina lezie w głowę, nic to — nieodrazu Kraków zbudowano; dla tego ruszaj mi teraz i stój na warcie u wchodu altany, żebyś choć próbkę dał *disciplinae militaris* — tam rozważaj lepiej coć się powiedziało dla obroku duchownego.

Jak niepyszny Kajcio, stanął na swojem stanowisku, i przechadzał się niby szyldwach na warcie. —

A Magdzia śmielsza już podskoczyła do P. Radwańskiego, dygnęła grzecznie i rzekła: — a o Magdzi P. Rotmistrz zapomniał?

Uchowaj Boże — rzekł P. Radwański z uśmiechem, co miał bardzo wdzięczny, i dobył z pod ławki koszyczek z którego wyjął ogromne jajko wielkonocne przecudnej roboty, całe wyzłocone a na niem ślicznemi kolory był oddany wizerunek Matki Boskiej Niep. Poczęcia, a potem rzekł:

— Oto mój gościniec dla ciebie Starościanko, bo ty, moja Panno Magdaleno, musiałaś się smucić pod krzyżem Pańskim w Wielkim tygodniu, chciano więc żebyś się teraz cieszyła wraz z Matką Przenajświętszą, która tu ci w chwale wiecznej na pociechę serca twego ukazuje się: — *Vivat Maria cum S. Magdalena et omnibus sanctis.*

Magdzia się spłoniła z radości, wziąwszy w ręce jajko przecudne i dygnęła, a P. Radwański dodał: — tylko proszę Starościanko ostrożnie z tem świętem jajkiem, bo to jak wszystkie nasze radości ziemskie, skoro się nieostrożnie z niemi obejdziem w czerepki rozlatują, a kto na cieniuchnej tkance swych radości ziemskich potrafi w swem sercu odmalować konterfekt Dziewicy przenajświętszej, to ta Matka miłosierdzia strzedz je będzie w całości; widzisz więc Starościaneczko żem cię niezapomniał, lecz i ty Magdaleno bądź wierną sługą królowej Polski.

Kasia na pierwszy widok przecudnego jajka z radością krzyknęła: To Matka Boska! — i z podziwieniem niemałem P. Józefiny, ta co pierwej drżąca trzymała się staruszki jak powój starego klonu, cała radośna, jak strzała poleciała z otwartemi rączętami do Rotmistrza: — Nieboim już się Czarnego wąsa, on ma tak

piękną Matkę Boską! a dla Kasi niema nic? — Rotmistrz posadził ją z pewnem uszanowaniem koło siebie na ławeczce i trzymał ją długo za obie rączki; widać było w jego twarzy niezwykłe poruszenie, łza drżała w oku i niewypowiedziana jakaś słodycz dziwnie pięknie odbijała się na jego pięknej wojennej sędziwej twarzy. Długo nic niemógł wymówić wpatrując się w jej czoło czyste, jasne jak niebo, w którem najmniejszej nieujrzysz chmurki — a dziewczynka skoro tylko ją posadzono, także jak stara poważna osoba spokojnie, dużemi czarnemi przenikliwemi oczkami swemi badała starego co jej dalej powie. —

Lecz stary Rotmistrz milczał jakby mu słów zabrakło — pojrzał bystro w niebo smutnym długim wzrokiem, a potem nagle drżącym cichym głosem rzekł:

— Kasiu! będziesz się do Pana Jezusa modliła za Czarnym wąsem kiedy go do grobu złożą, to ja dam gościńca jeszcze piękniejszego jak Magdzi.

Kasia. — Będę i bez gościńca, bo ty Czarny wąs masz piękną Matkę Boską. —

P. Józefina — Panienku! co to za maniera! mili Jezu, czy tak się rozmawia z zacną personą jak P. Rytmaister?

Radwan. (przerywając). — Darujcie P. Józefino że ci się przerywa. Zostawcie Kasię przy jej manierze, bo jej tylko tak przystoi rozmawiać z Czarnym wąsem, a my się dobrze rozumiemy i niebędzie ztąd żadnej szkody dobrym manierom świata. — Potem rcekł do Kasi dobywając z koszyka maleńki obraz olejny w małe złote ramki oprawny: — Oto gościniec starego wąsa dla Kasi, co się za niego będzie modliła. —

Była to robota przecudnego pędzla sławnego Francia, starej florentskiej szkoły *). Franciszek Serafficzny siedział jakby omdlały wśród dzikiej skalistej puszczy. — Głowę miał złożoną na lewej ręce, spartej na głazie, prawą trzymał się mocno za pierś z strony serca, jakby chciał zatamować jego zbyt silne bicia — oczy miał w górę wzniesione. Ale jaki to był wyraz twarzy; niepodobna mi choć słabo oddać to czyste, spokojne, do żadnej ziemskiej radości niepodobne wesele anielskie, które na kształt promienia z wysokiego nieba, zdawało się zwolna spływać po obliczu przepełnionem boskiem

*) Dopiero w kilkanaście lat poźniej, pewien mój przyjaciel, malarz biegły, odkrył mnie całą wartość tej sztuki. — U nas młody włoch uczeń szkoły Camuciniego — ogłosił to za *Pasticio della scuola del mezzo evo.* — Po śmierci Kasi, dotąd ten obraz zawsze jest przy mnie.

smutkiem. Coś było przezroczystego w pełnej życia bladości tej twarzy: rzekłbyś że w niej jak w źrenicy oka, cały majestat seraficznej duszy na jaw wystąpił, a żałość święta cicho zeń ustępowała, jak nocne cienia przed pierwszym brzaskiem wesołej jutrzenki szczęścia.

Światło spadające na ponurą puszczę, zajmującą pierwszą linię obrazu, płynęło z promienistego obłoku na którym stał Anioł Pański.

Był on odziany długą książęcią fałdzistą obszerną szatą kroju oryentalnego, ze złotej przejrzystej materyi, rubinem u szyi spiętą, nieco z przodu podniesioną, tak że stopki nagie drobniutkie jakby niewieście były widne, a tak było lekkie to jego na obłokach stąpanie, iż oczywiście okazywało, że on cały na jednym miejscu nietyle stał, ile się unosił na dwóch łabędzich rozwiniętych skrzydłach które mu ramiona z wdziękiem zdobiły; włos miał jasny w długie powiewne kędziory rozdzielony. Rysy jego oblicza były dziewicze i męzkie razem — niebyło w nich najmniejszego namiętnego poruszenia — jaśniał w niem niewypowiedziany pokój, pełen mocy niebieskiej z litością ożeniony; trzymał od niechcenia w ręku skrzypce, a ruch smyczka wolny ostrzegał, że tylko co z nich dobył przeciągły dźwięk

— niepatrzał się na świętego, lecz zdawał się Boskiej melodyi przysłuchiwać z radością, w skupionym duchu bardziej sercem jak zewnętrznym zmysłem, tylko nieznaczny prawie uśmiech na ustach wskazywał: iż on był świadom kogo tym boskim dźwiękiem miał pocieszyć. —

Skoro Kasia ujęła w swe rączęta ten obraz, wszystkie dzieci otoczyły P. Rotmistrza i P. Józefina z niemi dla przypatrzenia się gościńcowi: nawet Kajcio z swego stanowiska ustąpił, ale popatrzywszy trochę na obrazek, niebawiąc machając szablą, wrócił na swój forpoczt, mówiąc: — Prawda Rotmistrzu że mnie zluzujesz kiedyś. — Szyldwach niegada póki go niezluzują — rzekł Rotmistrz, więc Kajcio znów zamilkł. —

W tem ukazała się u wchodu altany postać P. Szambelana Lubrańca. — O tym Panu Szambelanie przyjacielu domu naszego, długo by mówić gdyby przyszło opisywać wszystkie jego krotofile i dziwactwa — Poźniej się do tego łepsza nadarzy pora: teraz żeby niepotrzebnie nieprzerywać wątku, to tylko wspomnę nowiasem; że będąc kawalerem sięgał już piątego krzyżyka, wzrostu był średniego, twarz miał papinki, włos konopiasty i gęsty, serca był tak rzewnego a nawet romansowego,

że go domownicy Szambelanem płaksą przezywali — był przytem, jak to mówią, gorąco kąpany, za lada figiel lub żart co mu był niewsmak pyrzył się i czmychał jak stary indyk na świst ludzki; z maleńka ulegał defektowi co go zwą drząączką S. Wita, z którego go nigdy dobrze niewyprowadzono, więc odtąd za każdym wewnętrznym mocnym affektem, całą swoją osóbką był w ciągłych prygach: głową kręcił jak pośmieciucha, a lubo się nie jąkał, wszystkie rysy twarzy były jakby w tańcu za każdem słowem, a jeźli to było ironicznie i z przycinkiem powiedziane więc się z garła dobywało sykiem podobnym do tego, co się daje słyszeć w trybach zegara z kurantami, kiedy w nim się zabiera do dzwonienia i kukułka ma wyskoczyć do kukania. — Edukacyę przyjął w konwikcie Jezuitów w Lublinie przed ich wielką kassatą i był nielada oczytany — człowiek z gruntu prawy i niemściwy, dziwactwa jego pochodziły najbardziej ztąd, że nigdy niemogł dobrze pokombinować tego, co wyszedłszy na świat Rousseau mu nabił w głowę, którego był zapamiętałym wielbicielem, z tem czego się nauczył w młodości u Jezuitow — a kombinować chciał koniecznie, bo umiał nielada po francuzku.

Owóż tedy P. Lubraniec, wszedłszy niby ukradkiem do altany, postrzegłszy Rotmistrza otoczonego dziatwą — kiwnął z miną figlarną na Kajcia żeby milczał, kładąc na ustach palec; lecz nim to jego palec dostał się do ust, musiał po drodze różne arabeski skreślić poniewoli właściciela — bo już Szambelan ożywiony jakąś krotofilną malicyą, wedle zwyczaju swego cały był w prygach — na pierwszej więc ławeczce, dla uniknienia zgiełku przysiadł — dopiero prygi ustały, ale głowa ciągle mu na plecach tańczyła, bo Szambelan utkwił w Rotmistrza dwa przenikliwe oczka małe, jak dwa młode bazyliszki — a w głowie snuły się figlarne koncepta, tylko czasem na dzieci i całe grono pozierając, niemógł się wstrzymać od grymasu płaksy, mowiąc: *pauvres enfants.* —

Tymczasem Kasia słodkim bardzo wzrokiem wpatrywała się milcząc w oblisze S. Franciszka a P. Józefina ciągle chwaliła: — *Com'è bella — com'è bella questa testa del Santo.* — Mileńki Jezu jak on niebożątko weseli się tem graniem anielskiem; ale to bardzo piękny quadro, ja ich dużo widziala w Florencyi i w Ryma, ale malo tak pięknych. Panieneczku, ty siedzisz jak plocha wewioreczko co się pak ogonem nakryla i zajada orzeszku,

a maniery i komplementu żadnoho niema dla tych co dają oreszki. *Fatte il vostro complemento* Panu Rotmistru. — Ale Kasia tego jakby niesłyszała tak była cała zatopiona w tym obrazie.

P. Radwański wskazując na świętego: — Kasiu, kto to jest?

Kasia. — Ja znam go. To żebrak święty Pana Jezusa, wyżebrał sobie bolące rany w rękach nogach i w sercu — i wskazała na Stygmata Ś. Franciszka — ale je nietrzeba leczyć, bo one nie tak bolą, jak ludziom co sobie sami rany na ziemi porobili; nieprawda Czarny wąs? —

Radw. — Prawda Kasienku, — a potem wskazał na anioła — a to kto?

Kasia. — To Anioł Pana Jezusa, gra koncert na skrzypcach, i bardzo wesół, i ś. Żebrak wesół z ranami. Ale czy to dobrze Czarny wąs, że Anioł tak paradnie ubrany przyleciał do żebraka świętego, co tylko powrozem po grubej sukni przewiązany? Czy jemu nie wstyd i nie żal żebraka, że mu nie przyniosł tak pięknej sukienki w jaką on sam się ubrał? Ale już rozumiem (i tu misterną minkę zrobiła): nacóżby się przydała żebrakowi taka piękna sukienka na ziemi, gdzieby się poszargała, a jeszcze tak długa

i szeroka żeby zakryła jego świecące rany, na nogach rękach i sercu, a te daleko piękniejsze od złotej sukienki; prawda Czarny wąs? — A potem do mnie się obróciła Kasia i rzekła: — Fuziu, tu są piękne skrzypeczki, ty chcesz zawsze grać na skrzypeczkach. Czarny wąs obiecał tobie skrzypeczki. —

Radwan. — I Czarny wąs dotrzyma obietnicy. —

Na te słowa żałośnie odezwał się Fuzio: — Panie Czarny wąs, moje skrzypeczki, zawsze mi obiecujesz, gdzież one są? jakie to będą skrzypeczki?

P. Józefina. — Milenki Jezu, i ten ślimaczek także niema żadnej maniery: co to Czarny wąs. Pan Ritmaister, Pan Ritmaister. —

Radw. — Skrzypeczki ci przywiozę Fuziu, jak cokolwiek jeszcze podrośniesz, bo teraz byłyby za wielkie a smyczek za długi. —

Fuzio. — Jakież to są te skrzypeczki, Panie Ritmaister Czarny wąs. —

Radwan. — Całe z słoniowej kości, gryf z czarnego hebanu, podstawek i kołki z perłowej macicy. Strony szczerozłote, a smyczek z kryształu.

Fuziowi oczy zaiskrzyły się z radości. — Czy takie pewnie będą? Czarny wąs. —

Radwan. — Będą jeźli Fuź będzie grzeczny

i będzie się uczył grać na chwałę Panu Jezusowi, pamietajcie dzieci — — —

W tem podniósłszy głowę P. Radwański, postrzegł przed sobą śmiejące się oczki Pana Szambelana: dziwna rzecz — jakby go zimną wodą oblał; powstał cokolwiek zmieszany i z wielką kortezyą ukłonił się Pana Lubrańcowi, a trzymając szczelnie przy boku karabelę, stał nieporuszony na miejscu. —

P. Józefina. — Dobrydzień Panu Szambelanu. —

P. Lubraniec siedział nieporuszony na ławeczce, w tryumfie, jak dyrektor który swoje studenty na jakimś gorącym uczynku złapał: zwykły syk zapowiadający że Szambelan przemówi, dał się słyszeć, a potem pokręciwszy głową na znak serdecznego ukłonu, rzekł z litościwą ironią: —

— Jak się masz kolego szkolny? a co? zawsze stare dziecińśtwa: *Puer centum annorum* — i zachichotał Szambelan.

Radwan. — (wesoło) Dobrze mówisz Szambelanie, kto był złym chłopieńciem za młodu, trzeba przynajmniej żeby na starość się dobrym być starał. —

Szambel. — Ja niemówię tego, tylko zda mi się, że świat cały za stary, nawet Kasienka za sprytna na te zabawki Jezuickie. Może kolego,

jeszcze podyktujesz jej list do ś. Aloizego, bo to wkrótce pono jego święto, jak nam kiedyś dyktował ks. Professor Jarzyna w Lublinie; pamiętasz kolego, jak to się nam dwóm po nocach śniło, o coby to tego Gonzagę oprymować, żeby nam to wymodlił u Pana Boga. Tobie się w ówczas niezłych rzeczy chciało: chciałeś być Hetmanem Wielkim Koronnym i Stambuł Bissurmanom odebrać. Jam tak wysoko nie sięgał: prosiłem Gonzagę ażeby mnie od Alwara uwolnił. — Potem Pan Lubraniec dodał przed sobą półgłosem z westchnieniem: — *pauvre humanité, toujours victime des préjugés.* —

W tem Panna Józefina ozwala się do dzieci: — Robaczki, pora nam doma iść, bo już niedaleko do objadu a trzeba pierwej nakarmić tę hołotę w klatce. Kajciu pozbieraj jadło ptaszków. Allons marche do klatki; porzuć te szabelku Kajciu. —

Ale P. Radwański, który widocznie wielką z poruszeniem wewnętrznem odbywał walkę, zbliżył się do Szambelana i szepnął mu coś do ucha. P. Lubraniec cały się zapłonił, i począł się nielitościwie krzywić i coś bełkotać; lecz tylko słowo f a n a t y z m wyraźnie się dobyło z wykrzywionego oblicza, a Rotmistrz już głośniej rzekł: — Szkoda twego

wymownego słowa Panie Janie, którem się tak krztusisz: dzieci te nierozumieją ciebie; wolisz pójść gruchać z temi tam synogarlicami, jak ciebie Russo wyuczył — pożal się Boże.

— Wolę, wolę — odpowiedział gniewny Szambelan — jak twoich Panie Józefie bredni słuchać: *la nature est le temple et la voix de Dieu*, a nie twoje fabuły, wstydź się; — mówiąc to w prygach poskoszył do klatki, około której dzieci się krzątały. Dziewczynki rzucały rybkom gałeczki, a Kasia na paluszkach, sama jak ptaszek latała od jednej strony klatki do drugiej, żeby synogarliczki nakarmić. — Szambelan na ten widok z jednego afektu nagle w drugi się przerzucił — cały rozrzewniony przypatrywał się z exaltacyą dziewczynce, synogarlicom, bijącej fontannie; już zabierał się do jakiejś cytacyi Roussa, i obejrzawszy się z tryumfem, do Rotmistrza za nim stojącego rzekł: — Przypomnij sobie rębaczu Zofię Emila; wiem żeć go czytał, choć udajesz że nie, przypomnij sobie wąsaczu i powiedz czy nie takusienka Kasia. —

Radwan, ciągle walczący z niecierpliwością: — Odczep się odemnie Szambelanie, nieporównywaj mi Kasienkę z tą romansowa małpą,

bo ja choć stary ale u mnie krew nie woda — i odstąpił od niego Rotmistrz jakby się samego siebie lękał. —

Ale Szambelan niedosłyszał jego odpowiedzi cierpkiej, tak był zanurzony w kontemplacyi Kasi i synogarlic. — Tymczasem psotnik Kajcio, który się domagał u P. Józefiny otworzenia drzwi od klatki, żeby bod pretextem wniesienia jadła, mógł w niej po swojemu gospodarować i choć jednę złotę rybkę na chwilę złapać, niemogąc na swojem postawić, ściągnął do siebie Szambelana mówiąc: — Tu Pan będzie lepiej widział synogarlice — i wskazał mu miejsce przed sobą. Kiedy P. Lubraniec dobrze się na klatce oparł dla lepszego admirowania, zdrajca chłopiec, wiadomą sobie sprężynę pocisnął, tafla kraciana ruchoma co służyła za drzwiczki, w bok się przesunęła gwałtownie i Szambelan jak długi upadł pod bijącą fontannę, a Kajcio z równą zręcznością dalej go popchnął, zacisnął taflę krzycząc: — nieszczęście! Panie Szambelanie zmiłuj się, ptaszki powylatują. — A potem jak strzała uciekł. — P. Józefina krzyknęła, wzięła nas troje pod swoją opiekę i ciągle wołając żałośnie: — Panie Szambelanie! fontanna Jegomości, czy P. Szambelan synogarlica — trzeba ratunku — *ach her Je* — *ach her Je* — i biegąc cała

skłopotana, poczęła nas ostrożnie z altany wyprowadzać. —

Wszystko to w mgnieniu oka się stało.

Ale P. Rotmistrz zastąpił jej drogę i rzekł:

— Mościa Dobrodziejko, proszę nie troszczyć się i nieuchodzić, bo tym sposobem nieprzyniesiemy ratunku Szambelanowi, a nim Aska wybrniesz z labiryntu i dojdziesz do Zamku, to tam Szambelan się zamieni w bijącą fontannę. Patrz Aska co się z nim dzieje — to powiedziawszy opierającą się P. Józefinę obrócił ku klatce. — Trzeba żebyś Panna kochana pokazała mnie to majsterstwo, którem ten niecnota Kajcio w taką matnią zapędził Pana Lubrańca. —

I począł za rękę prowadzić do klatki P. Józefinę ociągającą się i ciągle jęczącą: *ach her Je* — a wszystkie dzieci ochłonąwszy nieco z pierwszego popłochu pojrzały przed sobą. — Jakoż było na co patrzeć.

Szambelan, acz wprawdzie dość mocno padł obliczem na podłogę klatki, lecz że ta była cieniutkim pięknym piaskiem wysypana, więc szwanku żadnego nieponiósł — porwał się widać szybko na nogi, bo jużeśmy go ujrzeli stojącego o swej mocy; był w pozyturze kariatidy, owej istoty z głazu dźwigającej brzemie potężnego kruszganku pałacowego: stał

bowiem jak wryty tyłem obrócony do fontanny, która huczniejszą kaskadę główną na jego ramieniu utworzyła, a potem pomniejszemi kaskadeczkami po uszach i dużych metalowych guzikach spływała — głowę wcisnął między barki, tak że mu kołnierz od fraka nakształt chomontu nad głową sterczał i podwajał bryzg wody — obiema rękoma twarz zakrył, a z gardła wśród srogiego bełkotania dobywały się tylko te słowa: — *Cajetan*, *Fils denaturé!* — Słowem P. Szambelana postać nieruchoma a przecież żyjąca, wśród przezroczystego welonu wód spadających, była zupełnie podobną do jednego z tych dziwacznych wodą bijących bożków morskich, któremi umnictwo kunsztu ozdobiło ogrody Wersalskie. —

Niepodobna była i najskromniejszemu śmiertelnikowi odjąć się od pokusy wesołej, a strach było się śmiać dzieciom — bo pomyślały sobie, co to będzie dalej — bo i ptaszków było żal, które jak szalone tłukły się po klatce.

Tymczasem P. Radwański, przygryzając także uśmiech pod wąsem, począł pilnie z P. Józefiną przybierać się do odszukania nieszczęśliwej sprężyny; ale stara Panna strapiona niemogła na nią natrafić, ciągle wołając: — O Kajciu, Kajciu, zdrajciu — *warte gottloser Bursch*. —

Rotmistrz widząc że ratunku niemoże spiesznie przynieść, rzekł: —

Szambelanie bądź cierpliwy, zaraz, zaraz, — *nemo sapiens nisi patiens;* ale i ty kochany kolego, rusz się nieco, niestój jak ś. Nepomucen kamienny pod wodą, ona ci nieustąpi, ale ty możesz odkaraskać się od niej, stań przy samej ścianie klatki. —

Lubo z ciągłym gniewem słuchał tych słów Szambelan, przecież jakoś trafiły do jego przekonania: dał susa w bok i przyparł się do ściany klatki plecyma, tak że aż cała zadrżała, a że była dość obszerna, więc fontanna opuściła Szambelana, i już mu tyle nienaprzykrzała się. — Zaraz więc spuścił ręce i ukazało się oblicze jego na przemiany rzewne, gniewne i exaltowane. —

Kasienka co miała serce jak baranek i Szambelana lubiła, dla tego że z nią w ślepą babkę, często we dwoje nawet grywał — obiegła jak sarneczka klatkę, a potem spinając się na palcach jak ptaszyna, z niewypowiedzianie litościwą lecz figlarną twarzyczką dobyła z fartuszka gałeczkę i rzekła: — Szambelanie, ty jak złota jbka byłeś w wodzie, niepłacz, dam ci gałeczkę — mam gałeczkę — ja ciebie kocham Szambelanciu. —

W tem z góry synogarlica zagruchotała —

na ten głos i te słowa Kasine, dziwna się metamorfosa ukazała w całym Szambelanie: wyprężył się jak młodzik, cały z radości podskoczył, pojrzał melancholicznym wzrokiem na Kasię i rzekł: — *o innocence!* — a potem w górę na synogarlicę, potem przed sobą na fontannę rozwarłszy drżące ręce jak jego ulubiony St. Preux na widok Chamouny, zawałał z najwyższą exaltacyą niezwykłym sobie głosem:

— *O puissances celestes! vous m'avez donné une ame pour la douleur! que n'en ai-je une pour le bonheur!* —

A Pan Rotmistrz na to, strwożony rzekł: — co to ci Panie Janie? czy broń Boże nie apoplexia. —

I już nakoniec dobrawszy się nieszczęśliwej sprężyny, rozwarł z trzaskiem klatkę mówiąc: — Wychodź Panie Janie prędzej żeby ptastwo nieuciekło do licha; teraz P. Józefina niech z dziećmi do zamku idzie z łaski swojej, ja już sam zaradzę wszystkiemu i odprowadzę na kwaterę P. Jana, bo widzę kaducznie się skąpał. —

A P. Józefina cała stroskana rzecze: — Dziękuję Panie Ritmejster, jesteś prawdziwym Salvatorem Pana Szambelana i tego biednego ptastwa P. Starosty. *Wart* Kajcio *du gottloser Bursch.* —

To wyrzekłszy, kazała nam pozabierać nasze gościńce i zapędzała ażebyśmy przed nią wychodziły — wszakże P. Szambelan tego wszystkiego ani słyszał, ani widział co się działo dla jego salwowania, tak był pogrążony w swojem zachwyceniu *à la Rousseau* — nakoniec gdy go mocno ujął za rękę P. Radwański, ocknął się jakby ze snu słodkiego, a widząc się całym jeszcze w strumieniach, z straszliwym grymasem przeskoczył przez drzwiczki klatki, które Rotmistrz szybko za nim zatrzasnął, a potem pojrzawszy groźno na Rotmistrza, rzekł mu z sykiem i marsem:

— Kajcio jak Kajcio, *fils denaturé*, ale jest w tem i czyja insza sprawka: ja teraz zmoczony, ale poźniej rozmówimy się z sobą kolego, na sucho. —

Jużeśmy byli o podal altany kiedy nas te słowa tylko Rotmistrza doszły: —

— Dobrze, dobrze kolego; ale teraz idź ze mną na kwaterę żebyś kataru nie dostał. —

Taki to był dziwny ten poniedziałek wielkonocny — i niebył bez dość ważnych skutków, o których po wielu latach dopiero dowiedziałem się, a te się jeszcze opiszą, jeźli da Bóg zręczność po temu.

ROZDZIAŁ III.

SYCYLIA TAVERNINA ROKU 18..

— — — — Już drugą dobę czekamy na statek kupiecki przez nas zamówiony żeby się do Zante dostać, i niemożemy się doczekać: mój towarzysz broni wypatrzył oczy za statkiem, z wielkiej tęsknoty rozchorował się i legł na łożu, odwrócił głowę od okna — tak go ten widok morza drażni, jak oblicze zdrajcy jakiego; niedziw — w Zante czeka nań żona z miłymi dziateczkami, która tam tylko dobę może zabawić, bo okręt w którym się tam dostała jest skierowany do Malty; jeźli więc tej nocy ztąd niewyruszymy, biedny pułkownik mój z poczciwą rodziną swoją już niewiem kiedy się zobaczy — może nigdy na tej ziemi, bo tylko mamy urlop na trzy dni, a niewiem jak rychło wyprawa ta nasza maltańska się skończy. To pewna, że gdzie Generał Bonaparte jest na czele, tam zwykle rzecz się kończy fortunnie dla armji, ale niejeden brat nasz się pokuma z śmiercią. —

Na mnie nikt nie czeka w Zante — ani brat, ani ojciec, ani żona, ani dziatki — a przecież stoję już od godziny w oknie i tęsknota mi także serce dręczy, i dziwne mnie myśli snuja się

po głowie: smętek jest rzecz zaraźliwa — niespokojność o los mego przyjaciela, także mnie owładła.

Już kilka razy biorę się do pióra i do dziennika mego, żeby rozpędzić posępne myśli i czas (jak to mowią) zabić; ale ciągle mi się wątek rwie, bo co chwila wracam do otwartego okna — kwatera nasza jest w oberży jakby wiszącej na stromej skale nad przepaścią morską, widok jest na całe Śródziemne lśkniące się morze — między Kalabryą i Messyną — Słońce już się ma ku zachodowi, słaby wietrzyk co tu zowią il ponente, z lekka marszczy zwierciadło całe lśkniące od promienia ukośnego słońca. Po lewej stronie olbrzymie góry Kalabryjskie stanęły jak na straży burzącej się cieśniny morskiej, pośród wirów niegdyś osławionej Charybdy — od samych szczytów aż to stóp w wodach zanurzonych, wydają się z tąd, jakby odziane szatą zieloną. Ville, sioła, miasteczka, bieleją wesoło wśród gajów błyszczących złotą pomarańczą, a gdzie niegdzie prostą linią wystrzeli w górę cyprys wysmukły; po prawej stronie, nadbrzeża Sykulskie strome, ponure, skaliste wtargnęły w morze potężnemi przylądkami — na nich zamki warowne sterczą, po większej części w gruzach — tylko wesoła mieścina

Jaci, pamiętna swym potężnym głazem, przez jednookiego Polifema w morze ciśniętym, wśród swoich latorośli winnych, co jak siatka złota zawisły na jej głazach, wśród myrtów i laurów, wdzięcznie się odbija od poważnego długiego czarnego cieniu, który Etna po za nami rzuca na płaczczyznę wód. —

Im dalej sięgasz wzrokiem na wschód, srebrna kryształowa powódź, coraz potężniejsze pierścienie zakreśla, co się nakoniec zlewają w jakiś ocean blasku i wesela których oko znieść niemoże — a jeźli dla ulgi źrenicy zwracam ją bliżej brzegu na którym znajdujemy się, morze dobywa z głębokiego łona swojego ciemny szafir, barwę północnym widokom zupełnie obcą, a która niewiem dla czego tak tajemniczym sposobem działa na umysł; to tylko pewna, że kolory mają coś misternego w sobie, w swych stosunkach z duchem ludzkim, bom tego nieraz na sobie i na drugich doświadczył — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Statku naszego niewidać, tylko z ukośnym białym żaglem, lekkie łodzie rybackie szybują po lśkniącej przestrzeni morskiej, jak ciche zadumane łabędzie po jeziorze — kormorany igrają w powietrzu — cała atmosfera przesiąkła wonią gajów pomarańczowych,

a powietrze tak świeże, powiewne, lekkie, jasne, przejrzyste, szeroko swobadną piersią je czerpam — taką w sobie czuję nadzwyczajną chyżość, z taką ponętą drażni mnie ta jasna pełna nadziei przestrzeń przed okiem, iż zda mi się żebym bez żadnej obawy poleciał daleko, wysoko, gdyby te wielkie skrzydła, co tęsknota do duszy mi przyprawiła, choć cokolwiek się przedarły i wzbiły po nad ciężkie ramiona — och leciałbym! leciał jak orzeł — rozwartem, potężnem, nieruchomem skrzydłem — okabym niezmrużył przed słońcem — nie powiódłbym ani razu wzrokiem po czarującem morzu, śmiałbym się z uroku ziemi, pókibym do ciebie Kasiu niedoleciał; bo gdyby mi tak wolno było lecieć do ciebie Panno Święta, wiem że twoja miłość i twoja modlitwa gorąca, pokrzepiła by mi skrzydła miłości. — —

Niestety, to są próżne marzenia — duszy skrzydła nierosną, bom ja do ziemi grzechem przykuty. — Bazgrzę — siedząc przed tem oknem, przed tym widokiem Bożego wspaniałego przyrodzenia — nieroztropne myśli moje, a łzy zalewają papier. — Zawsze jedna i ta sama nędza. — Ilekroć w moich wędrówkach piękny jaki widok mnie rozweseli, ty Kasiu zaraz stajesz mi przed oczy. — Jak prześliczna tęcza wysoko kołująca nad czarnym gromowym

obłokiem — zawsze smutek serdeczny, i nadzieja wysoka nad nim — a skoro obłok znika to i tęcza z nim. — W moich ziemskich radościach niema nadziei bez gorzkiego smutku, niema Kasi bez gromowej chmury w mojem sercu. — Szczęśliwy mój towarzysz broni, on żonę, dziateczki powita w Zante. — Ja ciebie tam nie ujrzę. — Ty na mnie gdzieindziej czekasz — a ja tam jak się bez twojej pomocy dostanę? — Ale już noc a statku niema. — Pułkownik poczciwy zerwał się z łoża i klęknął do pacierza. To stary konfederat. Rzadko się on do pacierza bierze, ale szczerze — widać że mu to opoźnienie statku serce dobre do Boga obróciło. — Biedaczek — porzucę bazgraninę — żebym mu dobrej rozmowy z Panem Bogiem nie przerwał — trzeba też i o sobie pomyslić — — — — — — — — — — — — — — — — —

Zante.

Pułkownik mój szczęśliwy w gronie swoich — zastał żonę i dziatki w dobrem zdrowiu. Poczciwa to i miła rodzina — jakaż to radość czysta, serdeczna zajaśniała na ich twarzach za naszem tu przybyciem. — I mnie się jej w sporym udziale dastało — bo wesele poczciwych, uderza w serce niespodzianie silnie, jak iskra elektryczna w łańcuch co dłonie

przyjazne między sobą zwiodły — a ja mego poczciwego Weterana tak szczerze kocham. —

Córeczka dziesięcio letnia hoża dziewczynka — chłopaczek roczkiem młodszy, dziwnie sprytny, w bojaźni Bożej prowadzone dzieci, godne ich Matki rzadkiej świątobliwości niewiasty. —

Musiał już mój poczciwy konfederat odbyć examen przed swoją Jejmością: czy widział się z O. Anzelmem w Lionie, czy się spowiadał na wniebowzięcie M. B. na intencią żony i dziatek, jak był obiecał. — To była pierwsza prawie kwerenda zaraz po przywitaniu się. — Z kościami poczciwa kobieta. —

Oni tam w swojej kwaterze tej oberży, z sobą się cieszą i gwarzą — a ja ich zostawiłem w pokoju aby im niepomieszać szyków w tej uroczystej chwili szczęścia rodzinnego — niejestem im w prawdzie obcym, przecież to nie moja rodzina. — Moja rodzina dawno w grobie. — I ty Kasiu w grobie. —

— Wezmę się do mego dziennika — dawno już postanowiłem uporządkować te pamiątki w których serce moje, nadzieje moje zagrzebione. — Dziennik ten jest jak grobowiec do którego co dzień nowy kamień przykładam, póki sam pod ostatni nie pójdę. — Dziennik dla mnie nie jest zabawą literacką ani powabną

— jest rzeczą ważną — jest mojem niepochlebiającem zwierciadłem, groźnym dyrektorem — pisanem sumieniem — takim chciała Kasia św: żeby był: — niepisz nigdy, mówiła, czego niema w twojem sercu, choćby ci się to jak gwiazda w głowie świeciło — a pisz skromnie żeby poźniej serce ci od dumnego słowa niebolało. — Dla tego zabieram się do tej twardej surowej pracy, ilekroć postanawiam sobie tak żyć jak jej przyrzekłem — i dla tego nieradbym ażeby za życia mego, w cudze ręce się popadł — a po śmierci — jak sobie chce — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

ROZDZIAŁ IV.

ZANTE.

Moj Boże — znalazłem dziś po tylu leciech szukania, w starym zapomnianym przezemnie futerale sekstern dziennika mego z r 1798. — Zadrżałem z radości i boleści. — Wszystkie tam są pierwsze pamiątki dzieciństwa naszego w rodzicielskim domu — pamiątki także o Kasi — których najmniejsze szczątki zbieram i chowam chciwie w sercu, jak wielki żebrak okruszyny chleba w torbę. —

Cóż to za świat — jakież to czasy — kilkadziesiąt lat od nich upłynęło — zwykle przeszłość najdłuższa, całe życie, stawi się człowiekowi jak króciutka chwila. Jeszcze wielki patryarcha Jakób przeliczywszy swe 120 lat przed Faraonem, nazwał je krótkiemi i złemi, *pauci et mali* — przeciwnie ta przestrzeń czasu co mnie przedziela od r. 1798, zda mi się wiekiem, przepełnionym długiemi ciężkiemi dniami — zliczyć mi ich niepodobna. — Taki nowy potężny świat koło mnie wzniósł się na gruzach przeszłości, tyle między nim, a tym w którym moje dzieciństwo spędziłem, nagromadziło się olbrzymich wypadków i katastrof ziemskich — po nich jak po alpejskich skałach myśl moja znużona wspinać się musi, a serce potężnie bije, nim doleci do owej zacisznej słodkiej błoni rodzicielskiego domu. — Zda mi się że on gdzieś tam panuje na niedostępnych mi już górach, a głosy tej dalekiej krainy jego, dochodzą tylko do ucha mego natężonego, jak słabe z dala echa przyjaznych głosów do zbłąkanego wśród ciemnej puszczy wędrowca. Czytam te dziecinne karty — nieuwierzyłbym nigdy że to ja sam je zapisałem, gdybym niebył zmuszony do przyznania się do nich bazgraniną ręki mojej, która się mało zmieniła — miałem jednak z górą lat trzy-

dzieści kiedym te rzeczy pisał, a teraz po dziesięciu tylko łeciech, niepoznaję siebie w tym stylu, jeźli to nazwać można stylem te proste słowa, bo w ówczas po literacku nieumiałem jeszcze bawić się piórem — prawdę powiedziawszy, że mnie z młodu do tego niesposobiono, przecież ciągle je brałem w rękę dla dobycia z serca co mi w niem zbyt ciężyło: pisałem więc po prostu jak Bóg dał, com czuł i myślał. — Z tem wszystkiem poznaję dobrze że niepotrafię tak pisać jakem pisał przed 10ciu laty. — W tym nieforemnym szpargale wszystko na jaw się dobywa z duszy jasno i serdecznie w każdem słowie pospolitem, może nawet trywialnem, myśli i czucia nieukrywają się pod napuszonymi frazesy, jak dumne żebraki pod łataną bławatną suknią — biegą sobie po papierze jak prostaczki po szerokim świecie w prostej siermiędze; a teraz miły Boże, ilekroć zajrzę w ćwiartki dziennika mego, zupełnie co innego widzę — natłok wyobraźni i uczuciów, myśli ciemnych, ponurych, jakieś ubieganie się za fałszywą głębokością myśli, jakieś godzenie na oryginalność na sentimentalność. Tak to ja pamiętam na twoje przestrogi Kasiu święta, żeby niepisać czego nie mam w sercu szczerze, chociażby mi co się świeciło po głowie jak słońce. — Kuglarstwo

— brzydko — brzydko — brzydzę się sobą samym; lecz cóż? czy dość na obrzydzeniu? — na to się i pycha głupia zdobędzie: ale o poprawie skutecznej przemyśla tylko pokora dobra, co mocno postanawia rozbrat ze złem uczynić. — Trzebaż więc i mnie o tem pomyslić. — Lecz jak zaradzić złemu niepoznawszy jego zródła. —

Najświętsza Panno! Ciebie Królowo Niebios błagam, uproś u Zbawiciela łaskę ażebym poznał dobrze przyczynę tej brzydkiej odmiany w moich uczuciach i myślach. Dzisiaj więc zacznę nowennę na tę intencią do Ducha świętego — może mnie jutro dobra myśl zabłyśnie i poznam smutny stan mojej duszy, mojego umysłu. A i ty Kasiu będziesz się modliła za mną w Niebie. — O! wiem o tem dobrze — to przekonanie jest jedyne dobro co mi jeszcze pozostało — to cały mój skarb. — *Veni sancte Spiritus etc.*

ROZDZIAŁ V.

ZANTE 18.. PAŹDZIERNIK.

Wczoraj niemogłem długo zasnąć, a potem dziwny miałem sen: ukazał mi się nieboszczyk Guwerner mój P. Siennicki, były Rektor szkół Winnickich po reformie Kołontaja, — uczony, szlachetnej czułej duszy człowiek, którego dziwnie słodka pamięć w sercu mi pozostała, lubo mnie czasem zbyt obciążał lekcyami. — Słuszny, niedbały w odzieniu zatabaczonem miał on powierzchowność Pedanta, lecz niebył nim wcale. — Prócz niepospolitej biegłości w matematyce i przyrodzonych naukach, miał dar rzadki ujęcia sobie serca uczniów. — Słowa jego były serdeczne, ogniste, rozpalające do nauki, do pracy umysłowej, które tylko wystawiał nam jako potężne narzędzia do służenia ojczyznie. — Był to prawdziwie uczony Bakałarz Patryota, T r y b u n rzewny, łagodny i groźny na przemiany, z wymową namiętną, z zapałem szczerym, z młodzieńczą nadzieją w reformę pomyślną kraju, w której szczęśliwe owoce mocno wierzył; bo pod tę porę jeszcze kunsztowny patryotyzm, tak jak udane natchnienie poetów klassyków, niebyło popłatne. Miał także swoje przesądy *à la Rousseau* — bo to była w ów

czas powszechna moda, ale wiara katolicka mocna brała górę nad niemi; przed spowiedzią, do której sam się z nami gotował, gadał nam o męce Pańskiej z sercem tak mocno przejętem Zbawiciela miłością, iż się cały zalewał łzami. — Była to epoka Kościuszkowska, promieniąca się tym jasnym, wesołym, pełnym nadziej płomieniem, którym konająca lampa Narodu po raz ostatni niebo ojczyste ozłaca.

Nieraz kiedy najlepiej poszła mi lekcya i spodziewałem się od niego owego żywego radośnego wejrzenia, którem umiał nas malców do najwyższego entuziazmu bakałarskiego doprowadzić — on pojrzał na mnie smutno, kiwnął głową i rzekł: — To dobrze — Horacy, Wirgiliusz, *la Caille* i *Berout* i *Libes* — ale choćbyś WCPan z tego wszystkiego examen mógł zdać jak Jan Śniadecki, nic po wszystkiem, jeźli niebędziesz swoim pożytecznym; nic, nic po wszystkiem, jeźli nie pojmiesz co to dla swoich żyć i umierać poczciwie. —

Takiej był fantazyi ten mój nieboszczyk Pan Siennicki — około tej figury jego wszystkie poważne a razem przerażające pamiątki dziecińństwa mego, krążą dotąd jak barwne ćmy koło świecznika. — Nie dziw więc, że za ukazaniem się jego postaci poczułem trochę trwogi w sercu. —

Pojrzałem w koło siebie, i znalazłem się w pewnym pokoju oficyny domu rodzicielskiego, przeznaczonym w dzieciństwie naszem na szkółkę, nim nas do szkół publicznych oddano. Wielka tablica czarna z nakreślonemi formułami algebraicznemi, stała przedemną — groźna pamiątka ciężkich pochmurnych chwil mojej, z kądinąd dość szczęśliwej epoki szkolarstwa — po takiej bowiem zwykle przez Pana Siennickiego wypisanej formule, trzeba mi było przystąpić do *pensum* do rozwiązania zadania wyższej Algebry. Była to poważna stanowcza chwila: professor przechadzając się w milczeniu, czekał na słowa studenta, gotów zawsze przyjść mu w pomoc, skoro w nim ciemne upatrywał pojęcie formuły, lecz nieubłagany milczał, jeźli czcza gadanina roztrzepanego chłopca okazywała że on rzeczy niepojął i tylko pamięcią chciał nadrabiać; w ówczas milcząca twarz jego przybierała jakiś wyraz gniewu szlachetnego i serdecznego smutku, zdawała się mówić: i na tobie chłopcze zawiodła się moja nadzieja, że jakiś będzie z ciebie pożytek dla kraju, serce mnie ranisz. — A my dzieci tej twarzy gorzej się lękały, jak najsroższej pokuty, tak ten nieboszczyk umiał z najoschlejszej nauki zrobić rzecz ważną dla serca. — Takim mi się i w śnie ukazał —

więc w wielkim byłem kłopocie od czego mam zacząć i pozierałem z ukosa na tablicę, miarkując że tu już idzie rzecz o ważną formułę algebraiczną — po głowie zupełnie co innego mi się snuło, a mój professor po staremu w zdłuż i w szersz szkółki się przechadzał, swoim zwyczajem zatknąwszy obie ręce w kieszenie nizko nmieszczone długiego ciemno sieraczkowego surduta, z spuszczoną w ziemię powieką, tak że niemogłem dostrzedz jego wzroku, co mnie jeszcze gorzej mieszało; więc począłem przez sen wzdychać, a mając w pamięci, iż jedyny sposób udobruchania professora, było pokorne wyznanie iż się niezrozumiało dobrze lekcyi i proszenie o sukurs, więc nieśmiałym głosem rzekłem: — Panie Siennicki, racz mi Pan przyjść w pomoc!

Professor, łagodnie lecz wielce poważnym głosem rzekł: — w czem? — ciągle przy tem z spuszczonemi oczyma się przechadzał.

Senny. Alboż Pan Dobr. niewiesz?

Professor. Może i wiem, ale to WCPanu nic nie pomoże, jeżeli mi sam niewytłómaczysz czego żądasz odemnie.

Senny. Oto Panie wczoraj przypadkiem natrafiłem na stary od dawna zagubiony mój szpargał, początek dziennika, którym przed dziesięcią laty pisał; dotąd utrzymuję takowy

wedle zbawiennego zwyczaju który nam polecałeś Panie kochany. Ach wieleż to ja dobrego winienem Panu Professorowi — (i dalej chciałem się rozwodzić nad moją wdzięcznością — szczerać to była prawda, lecz wyznać należy nie bez pewnego fortelu, żeby w dobry humor wprowadzić surowego professora). — Ale on natychmiast przerwał oschle te czułe wynurzania, temi krótkiemi słowy: — Czego odemnie żądasz?

Senny. Oto Panie łaskawy, niepoznałem samego siebie w tym dzienniku; nieumiem pojąć, jak ja takie rzeczy, takim jak tam się znajduje stylem mógłem opisywać.

Professor. Albo teraz inaczej WCPan piszesz?

Senny. O! zupełnie inaczej, jak między nocą a dniem, taka zachodzi różnica między tem dawnem mojem pisaniem a teraźniejszem, a jednak nie więcej jak dziesięć lat upłyneło, między temi dwoma dziennikami; a kiedym pierwszy pisał niebyłem też chłopięciem ale dojrzałym mężem. — Taka niesłychana zmiana we mnie w tych dziesięciu latach nastąpiła, że mi niepodobna ani piórem ani mową tak się wyrażać jak przed dziesięcią laty. —

Professor. Więc lepiej teraz piszesz? bo człowiek z czasem powinien także do rozumu

lepszego przychodzić. Dziesięć lat to nie dziesięć minut, to nie bogatela.

Senny. Oni mówią że lepiej.

Professor. Któż to są ci oni? Tłomacz się jaśniej.

Senny. Daruj Professorze ale mi się zawsze zda, że Jegomość musisz być zawsze świadom wszystkich szczegółów tyczących się moich prac i nauk.

Professor. Może świadom a może i nie. Tłómacz się jaśniej WCPan.

Senny. Przyjaciele moi literaci mówią, że lepiej piszę.

Professor. A Wasan co na to?

Senny. Wyznam szczerze iż sam niewiem jak mam o tem ich zdaniu trzymać i w głowę zachodzę. Z jednej strony, kiedy zajrzę do tego mego dziennika dawnego, widzę rzeczy ważne lub pospolite, wedle okoliczności rzeczywistich które mi się pod pióro nawijały, dość jaśnie, wiernie i poczciwie opisane, tak że mnie owe czasy żywo w duszy się malują; ale cóż kiedy jeden z owych moich przyjacioł literatów, kiedym mu te pamiątki czytał dla próby, z początku z uwagą słuchał, a potem ziewać począł, a przy końcu rzekł: Wiesz, że tam są niektóre wyborne szczegóły, jest tam jakiś zaród poezyi, ale forma niepoetyczna; pisałeś jak stary mój

Wój Pan Regens prandyczył, niema w tem stylu powieściopisarza, który powinien idealizować swoje przedmioty. — A kiedym mu uwagę zrobił, że mi tylko szło o to, ażebym skreślił wiernie prawdziwe wypadki, tak jak w swym czasie żyły w mej duszy, to on mnie zbił z tropu, mówiąc: — Co tam po prawdziwych wypadkach, kiedy w nich poezyi niemasz. Już i tak dość zarzucona nasza literatura, temi prozaicznemi ramotami familijnemi, z których ani dla historyi, ani dla kunsztu, niema żadnej korzyści. Wierz mi, niewdawaj się w tę niebezpieczną robotę opisywania rzeczy i czasów nudnych, niepoetycznych, obcych teraźniejszemu pojęciu rzeczy. Zepsujesz sobie styl i nic więcej; zabijesz w sobie poezyą.

Z drugiej strony, kiedym zajrzał w teraźniejszy mój dziennik, w którym wiele opisów pochwalił mój przyjaciel, mnie się jednak wiele tam wyrażeń i peryodów całe niepodobało, zwłaszcza po odczytaniu dawnego pamiętnika. Zdało mi się nieraz, że co innego miałem w sercu kiedym pisał, a co innego w głowie, i że z tej plątaniny uczucia i myśli, wyszło na papier coś dziwacznego, sentymentalnego, skrzywionego, coś nieszczerego, niby jakaś poczwarka myśli i czucia, jedwabnik niedospiały w skorupce pogmatwanych ciemnych słów

zasklepiony, z której złotej nici dobyć niemożna.

Professor (surowo). Tak zupełnie jak teraźniejsza WCPana gadanina — i zamilkł smutny, a jam się mocno przeraził na tę niespodzianą replikę.

I obaśmy milczeli przez kilka chwil.

Potem rzekłem nieśmiale: — Wielka prawda: lecz proszę Jegomości, zkąd to pochodzi że ja swego stylu niepoznaję po dziesięciu tylko leciech?

Professor. Dawno czytałeś Horacego *Carmina — Epistolam ad Pisones?*

Senny. Dawno.

Professor. A Cornela, Cyda i Polieukta?

Senny (trwożliwie). O bardzo dawno.

Professor. *A Cicerona de fin...b...*

Senny. O już niepamiętam kiedym je ostatni raz miał w ręku.

Na to Professor pierwszy raz się uśmiechnął.

Professor. A Liwiusza albo Tacyta z którym się nad WCPanem tyle nabiedziłem?

Senny, milczał wielce strwożony, co znaczyło wyraźnie że o nich dawno zapomniał.

Professor. A Kochanowskiego i Górnickiego? Ks. Skargi?

Senny (z żywossią). O! ci mnie nigdy nieodstępują.

Professor. Rozumiesz ich?

Senny zamiłkł z wielkiego podziwienia, a po chwili rzekł: — Czy żartuje Professor?

Professor. Nieżartuję, rozumiesz naprzykład Skargę?

Senny. A któż kochany Professorze, niewyzuty zupełnie z czucia, niesparaliżowany cudzoziemszczyzną, nieumarły na sercu polskiem, niegłuchy na dźwięk czarowny ojczystej mowy, niebędzie zachwycony głosem Skargi, tego patryarchy naszej literatury. (Z zapałem coraz większym). — Jak u Francuzów Bossuet — Skarga nasz jest nietylko najpierwszym mowcą, ale jedynym prawdziwym naszym poetą, aż do epoki Mickiewicza i Bohdana Zaleskiego. (Tu Professor głową potrząsł, ale senny mało na to zważając dalej mówi.) Bo cóż jest poezya, proszę P. Professora, w najwyższem, najwspanialszem swojem znaczeniu? Dar Boski, w najprostsze, najbardziej zużywane formy mowy ludzkiej nowe wlewać życie — umnictwo najwyższe, z niewielu farb pospolitych najcudniejszy wyrabiać koloryt — tworzyć język nowy, nie knując nowych wyrazów — jak czarnoksiężnik mieć na rozkazy całą przyrodę ludzką — gminnymi na pozór wyrazy, poruszać, zaklinać i wywoływać przed sobą wszystkie tajemnice dusz, ich miłości,

gniewy, nadzieje — jedne z nich rozbrajać, drugie pętać łańcuchem złotej wymowy, wszystkie koić, osładzać czarowną siłą serdecznego słowa — mówić po prostu jakby do gminu, a tą mową prostą, poufałą, najwyższe umysły wstrząsać i jakby gromową iskrą zapładniać je nowymi myślami — nieznane im dotąd ognie ciskać do serca, wzbudzać w ich duszy słodkie przeświadczenie wysokiego ich przeznaczenia, przenosić ich w wyższą błogą krainę światła, w której oni siebie samych, drugich i świat cały jaśniej widzą i lepiej pojmują — utworzyć dla nich mowę anielską, duchowną i barwną razem, jak tęcza niebieska, promienistą blaskiem nadziemskiej intelligencyi, potężną sercem, a razem tak naiwną, rzewną, swobodną i wstydliwą, jak słowa dziewicy chrześcijańskiej. — «Żaden z dawnych pirarzy (mówi dobrze Jan «Śniadecki) tyle się nieprzyłożył do prawdziwego «zbogacenia języka ile Skarga. Jemu winniśmy «wiele słów i sposobów mówienia, zawsze pię«knych, mocnych i prawdziwie polskich: n. p. «jakież to są cudne zwroty: — wlewać ducha «wiary — spuścić ducha zgody — wszczepić «mocną wolę poprawy w drogach sprawiedli«wości — utopić serce w świecie — pływać «w szczęściu tego świata — odsadzać się od«świata — zaprawić się miłością Boga.»

Professor (markotny przerywa Sennego). — Dość tych cytat i niepotrzebnej erudycyi. I Wasan sądzisz iż zrozumiałeś świętego Skargę, dla tego że z napuszoną deklamacyą uciąłeś mi tu chryję o jego literackich zasługach, i zrobiłeś z niego bakałarza filologa — szukasz w rozciętych oderwanych okresach dzieł jego, ducha tego Apostoła Polski, jak chirurg swym scyzorykiem anatomicznym śledzi tajemnicy organizmu trupa przed sobą leżącego. Porzuć Wasan te brednie i próżne mozoły, to nie z martwym do czynienia. Wasan nie chirurg a Skarga nie trup. Bóg niejest Bogiem umarłych, ale Bogiem żyjących. Patrz tedy wzrokiem ducha i prawdy (jeźli jeszcze zdołasz) na wspaniałą swiętą wielką postać Piotra Skargi, jeźli chcesz pojąć ożywiającego ducha dzieł jego nieśmiertelnych, a nieślabizuj i nierozbieraj po bakałarsku tylko składnią mowy. *Spiritus est qui vivificat; căro non prodest nihil.* — To jest także prawidło literackie jeźli je dobrze zrozumiesz; patrz na patryota, obywatela Skargę, na Apostoła Polski, jeźli chcesz zrozumieć mowcę i literata Skargę.

I począł Professor wielce poruszony szybko przechadzać się, potem podniósł wzrok i pojrzał na mnie. — Pierwszy raz od kiedy mi się ukazał pojrzał na mnie; a był to wzrok

smutny, pełen litości przenikliwej i upominającej razem, serce mi wskroś przeszył, i łzy w oczach stanęły — milczałem z wielkiego rozrzewnienia; nagle mi się ukazał dziedziniec rodzicielskiego domu, sady go otaczające, owe kobierce z kwiatów co mój dziecinny wzrok zachwycały, jaśniały w jutrzence złotej — pierwsze łzy rosy błyszczały na ich rozwierających się listkach — pośród szpalerów ogródka nieboszczyka Ojca, migały się siostry, brat, krewni i przyjaciele domu ojczystego, twarze ich jasne i wesołe, zdawały się na mnie patrzeć i czekać z utęsknieniem; niekiedy śpiew Kasi dolatywał mnie, nuta jej ulubionego kantyczku o Matko nasza. — To znów wśród ciemnych konarów starych topoli z poblizkiego kościoła Reformatów przebijał się głos organu przeciągły i cichy, jak smutek w sercu przytłumiony, i słowa święte płynęły po tej poważnej melodyi: Zawitaj ranna Jutrzenko. I słońce poczęło wschodzić, i wszystkie ptaszki, wszystkie kwiaty, wszystkie ich przecudne kolory, wszystkie wonie niewinne, wszystkie serca mi drogie, wszystkie złote promienie pierwszej wiosny życia, w koło mnie obleciały, błysnęły, wionęły i zakwitły mi w duszy: Wiosna to była w całym swym blasku, pierwsza wiosna młodzieńczych lat

— niewinna, jasna, pełna czystej, dobrej nadziei.

I piosneczki brzmiały pośród domowych sadów, zapomniane lecz dobrze znane sercu — łagodne niewinne towarzyszki dziecięcia w rodzinnem życiu; lecz nuta ich była dziwna i mowa także — niema takiej na ziemi — niezdawała się wychodzić z piersi ludzkiej lecz wprost z duszy do duszy. — Taką nutą i mową przemawia może tylko matka do dziecięcia którego miała za straconego, a po długiem szukaniu po całym świecie, znalazłszy dziecie trzyma je mocno w swem objęciu, sercem do serca. Wszystkie te drogie istoty zdawały się patrzeć na mnie litościwie jak święte Pańskie, jakby mówiły: co się z tobą biedaczku zrobiło!

A ja niewiedziałem co na to odpowiedzieć, tylko mocno płakałem. I Professor zdawał się mocno poruszonym i widocznem było iż wiedział co się w moim duchu dzieje, albowiem tak się po chwili ozwał:

—Moj Boże! moj Boże! Nie słusznie ja kiedyś mówiłem: Naco się Wasanu, nauka, praca, mozoła książkowa przydadzą, jeżeli z tego nie będzie pożytku dla bliźniego, dla swoich, dla kraju! — Widzisz więc Wasan co się w WCPana sercu dzieje, jaka w niem odmiana

nastąpiła od kiedy z Wasanem tyle lat strawiłem. Jeźli siebie samego niemożesz już poznać, i tak się widzisz dalekim od tej pierwszej, lepszej pory życia twego — jakże możesz pojąć wspaniałą pełną życia i miłości epokę twojego kraju, w której jaśniał Skarga? Wieleś mi Wasan nabajał o tej poezyi (jak ją zowiesz) tego nadzwyczajnego Męża, o zasługach jego w literaturze. Miły Boże! Czyż to literaturą naród stoi, zwłaszcza taką jaką wy sobie teraz marzycie. Czy to o krasomowstwie, o poezyi i o zbogaceniu nowemi frazesami języka, o całem tem waszem bakałarstwie literackiem Skarga myślał, kiedy płynęła z jego serca owa mowa zapalająca braci jego — kiedy na Sejmie cały naród niesforny, rażony gromem słowa jego, jak jeden człowiek powstał i porwał się do oręża przeciw grożącym Bisurmanom! Bynajmniej! — Skarga tylko myślał o miłości, którą cały pałał dla kraju, a miłość ta była wielka, potężna — jak nieszczęścia które jego Ojczyznie zagrażały, — i dla tego potężna jego mowa; bez tego ogniska w sercu, bez miłości oczyszczonej z wszelkiej prywaty, Skarga z wszystkiemi swemi przyrodzonemi dary, byłby tylko retorem, kwiecistym mowcą, genialnym literatem, jak wy to zowiecie: poetą z kunsztownem natchnieniem, jakich u was jest krocie — niebyłby

Skargą; potęga serca, miłość zrobiła go tem czem jest.

— Kochanowski w swych Trenach, w swoich Śpiewach, w swem Psałterzu, nawet w swej Wyprawie posłów greckich, dla tego jest pierwszym poetą polskim, że w nim miłość Ojczyzny wszystkie szlachetne uczucia, wszystkie wspaniałe myśli, wszystkie bohatery całego świata, nawet Greków i Rzymian, wszystko święte i wyniosłe co się malowało w jego fantazyi poety, w szaty polskie stroiła. Jego także szczera miłość kraju zrobiła wielkim poetą.

— Toż samo można powiedzieć o Birkowskim, o Grochowskim i Miaskowskim zbyt mało cenionym — i o tych wszystkich Zygmuntowskich wielkich pisarzach, którzy piętno święte miłości kraju, na mowie Ojczystej tak głęboko wycisnęli. Nawet w Sarbiewskim owym Horaciuszu Sławiańskim, pod szatą łaciny złotego wieku, przebija się dusza polska.

— Co mówię, we wszystkich owych łacińskich pisarzach, których wasza głupia tegoczesna pogarda klassyczności wyśmiała i niepojęła, więcej jest życia, barwy i potęgi narodowej w rzymski język przelanej, niżeli w waszych teraźniejszych najzachwaleńszych napuszonych zimnych Odach i Elegiach patryotycznych, polskim rymem nadstawiających się. Ich Polak,

nawet po łacinie mówiący, miał serce i myśli polskie — wasz teraźniejszy literat, po polsku wprawdzie biegle rymuje, płacze w tragedyi, śmieje się w komedyi, w historyi filozofuje lub bohaterskie pieśni składa, lecz na to, żeby, pożal się Boże, światu okazał jak on głęboko i dowcipnie zapatruje się na rzeczy polskie po francuzku albo po niemiecku, alboliteż ze stanowiska humanitarnego, (po waszemu mówiąc) to jest ze stanowiska egoizmu najwyższego.

Nie możecie dotąd zrozumieć ducha Zygmuntowskich pisarzy, lubo niekiedy ich czytacie a jeszcze więcej o nich paplacie, macie dość ostre szkiełka na dostrzeżenie ich wad — (których nie myślę bronić, bo na cenzurę jednostronną dość jest cokolwiek dowcipu i sporo zarozumiałości) — ale na ocenienie ich wielkich zalet narodowości, ich czerstwej, jędrnej, przesiąkłej wiarą mowy, zmysłu wam brakuje. A wiesz Wasan zkąd ta wasza niepojętność owych wieków? krótko powiem: nierozumiecie ich, bo niema prawdy w waszem sercu — a niema w was prawdy, bo niema wiary, nadziei i miłości — *tria haec sunt, spes, fides, charitas, major est autem charitas.* — (Tu się wstrzymał Professor, jakby żałował zbyt surowych słów swoich, a po chwili dodał): —

— To się powiedziało ku zbawiennej prze-

strodze Wasana, wszakże zawsze się ma rozumieć że zdanie ludzkie niedokładne, bo częstokroć zbyt ogólne, przemilcza o wyjątkach chwalebnych — moje więc serce o nich niezapomniało — wiem o nich i za kilku teraźniejszych waszych młodych nieszczęśliwych pisarzy modlę się do Boga — niemniej jednak *exceptio confirmat regulam* — — — — — — — — — — — — — — — — — —

TREŚĆ

PAMIĘTNIKÓW

NIEKTORYCH PRZYJACIOŁ MŁODOŚCI MOJEJ.

TREŚĆ
PAMIĘTNIKÓW
NIEKTÓRYCH PRZYJACIOŁ MŁODOŚCI MOJEJ.

Wojciech Myszkowski najmłodszy syn Adama Myszkowskiego Starosty Grodeckiego, z Maryanny Suskiej Łowczanki Łomżyńskiej urodzony, staranne staropolskie wychowanie odebrał w domu rodzicielskim; bo P. Starosta po upadku kraju przeniósłszy się z majątku swego w Bracławskiem, do dóbr spadkowych po stryju w Sieradzkiem, niechciał oddać chłopca do szkół, w których, jak mawiał pociesznie, *was ist das?* górę brało. Uczony Benedyktyn z Tyńca Żulikowski przewodził jego wychowaniu: Mentzel, Inżynier korpusu Kadetów Dresdeńskiego, ćwiczył młodzieńca w naukach rycerskich: kilku metrów cudzoziemców, w niemieckiej i francuzkiej literaturze. Młodzieniec niezaleźał pola w surowej ryzie przez Ojca trzymany — wcześnie rozwinęła się w nim niepospolita moc charakteru; lecz przy tem i wady

właściwe wszelkiemu wychowaniu domowemu, acz najtroskliwszemu: upór, przesądy rodowe, i uprzedzenia tradycyjne względnie familji przemożnych partyi Ojca, który Targowicą się brzydził i Stanisława Augusta nielubił, lecz stałym był jego adherentem, przez wzgląd jedynie na P. Podkomorzego Kor. brata królewskiego, którego był od serca przyjacielem. Pycha, nieodstępna towarzyszka domatorstwa, niemogła się rozgościć w umyśle chłopca — bo on niebył faworyt Jegomości, lecz starszy brat Adam, który zginął pod Szczekocinami; lecz właśnie że był upośledzony przez Ojca, pod surowem zimnem jego okiem w zaciszu domowem, jakąś nieugiętą wyłączną dążność przybrał jego charakter. — Wielką tkliwość uczuć głęboko zamknął w sercu, niemając towarzyszów wieku i nauk, z którymi by mógł podzielać swe uczucia. Z matką tylko, wielkiej świątobliwości kobietą, był bardziej otwartym; lecz długie i srogie jej niemoce, które ją ciągle na łożu trzymały, niedozwalały cząglych stosunków: zwłaszcza że Pan Starosta Grodecki, surowo przestrzegał, ażeby Wojtek jak najdalej był od fraucymeru, a w tym wyrazie i sama Jejmość była umieszczona. Siostrę miał tylko jednę, Jadwigę, o kilka lat od niego starszą, niepospolitej urody, zdolności umysłowych i tak wiel-

kiej pobożności, że ją w sąsiedztwie z maleństwa nienazywali inaczej jeno piękną zakonniczką — bo cały wiek dziecinny strawiła przy łożu matki cierpiącej; a kiedy o dorosłej ręke kilku znakomitych rodzin młodzieńców starało się, zręcznie potrafiła odmówić wszystkim, pomimo nalegania rodziców, którzy ją nad wyraz kochali i cenili —dając za przyczynę słabość matki, której w tym stanie opuścić niemogła, przytem nadzieję polepszenia jej zdrowia: wduchu zaś kryła mocne postanowienie wstąpienia do zgromadzenia Szarytek. — Zawsze wesołej myśli lubo mało rozmowna, prócz z bratem i matką — widząc ją rzekłbyś iż najszczęśliwsza, gdyby lekka bladość twarzy, niewyjawiała jakiegoś skrytego cierpienia. Do niej brata serce zupełnie przylgnęło: słodycz, stałość i dziwna dojrzałość jej umysłu, zepełnie owładły jego nieco ostry, burzliwy, lecz przytem czuły i wielkiego poświęcenia się zdolny charakter. W jej towarzystwie, całe swe serce wynurzał, i składał tę zimną, surową powierzchowność, która go nigdy nieopuszczała pośród domowników, nauczycieli i w obec ojca, tak że chłopiec w domu uchodził za sensata. Słudzy mówili o nim: nasz panicz to filozof; a kiedy bywało Ks. Benedyktyn zaręczał o jego pilności w naukach P. Starostę, to on smutny

wzrok spuściwszy, odzywał się z westchnieniem: — wszystko to dobrze mój ojcze, ale to zimne jak lód i nieczułe jak ślimak, to nie mój Adaś: chyba tylko kiedyś kandydat będzie na beamtera szwabskiego. Ale niech się uczy, niech choć książkę gorąco pokocha, to może i w ten sposób obudzi się w nim żyłka poświęcenia dla kraju.— Dochodziły te słowa młodego chłopca i srogie burze w jego duszy wzniecały: a to uprzedzenie Ojca nieśmielszym jeszcze i zimniejszym go czyniło. Jadwigi słowa koiły te rany: miłość jej miała coś macierzyńskiego w sobie — wyższy, wspanialszy nadała kierunek uczuciom i myślom młodzieńca, które bez tej opieki, w tej porze wieku zgubny obrót wzięłyby niechybnie. Ona była dla niego ojcem, matką, siostrą, całą rodziną, i ta niepospolita dusza, na cały jego przyszły zawód, niczem niezwalczony wpływ wywarła. Gruntowną w nim wiarę zaszczepiły cnoty matki i siostry. Benedyktyn był także niepospolitej nauki i pobożności kapłan: wcześnie go oswoił z wielkimi pisarzami kościelnymi ojczystymi XVI. wieku, rozwinął w nim smak do literatury tej złotej epoki naszej, a przewidując że zasady religijne młodzieńca na wielkie narażone miały być niebezpieczeństwo z strony podówczas w Polsce górę biorącej

filozofji francuzkiej, potrafił w jego bystrym umyśle wzbudzić zamiłowanie do kwestyi religijnych Zygmuntowskich czasów. Ukazywał w błędach ówczesnych różnowierców zarody tego ducha niestatku i płochości, które w ostatnich czasach torując drogę płytkiej filozofji nadsekwańskiej, stały się główną przyczyną sparaliżowania ducha narodowego i upadku jego.— Miłość kraju niewypowiedzianą miał chłopiec wspólną od kolebki z siostrą, a Benedyktynowi posłużyła ona za klucz do jego serca i umysłu, za tarczę przeciwko wszystkim w modzie będącym pisarzom francuzkim. Niechował on ich dzieł przed nim, jak zwykle w niektórych domach polskich pobożnych czyniono: owszem zrobiwszy z nich wybór trafny do swego celu, oswajał zwolna młodzieńca z ponętą stylu ich, wykazując zręcznie miałkość ich zasad i urojoną głębokość i chełpliwość że coś nowego powiedzieli. Czytając z nim niektóre słynniejsze pisma Rousseau, Voltera, lub Dalemberta, niewdawał się w żadną polemikę, lecz w pewnych miejscach zatrzymywał chłopca czytającego, temi słowy:—Patrzno Wojtku, co to ten Francuz śpiewa, niejestże to myśl żywcem Moskorzewskiego Ariana, albo ta Reja, albo Ostroroga, a to niejestże Stankara; tylko tamte nasze warchoły z tą wspaniałą udaną mową Zygmun-

towską, naszych braci bałamucili, a Francuz mospanie frazesami jedwabnemi nadrabia: wiem ja że Francuz Polaka nieczytał i niepożyczał u niego, ale to oczewista że oba karmili się dawniejszemi bałamutami — a każdy z nich tak pewien że mu na słowo uwierzą, że nam te kradzione myśli za coś nowego i swego przeda, jak jest pewien że nikt z teraźniejszych ludzi nieczyta dawnych swoich pisarzy ani w swoim ani w innym kraju. Oj ta znajomość trafna nieuctwa swego wieku, to Mosanie wielka broń w ręku tych zakonodawców; na niej to oni budują swoją babilońską wieżę. I w tem przyznać im trzeba dar niepospolity, a mają też i inne talenta osobliwe: wymowę, dowcip i uśmiech szatański — mają, nikt tego im niezaprzeczy; a nasi Zygmuntowscy Aryanie, Jocynianie niemieli ich może, a teraz P. Trembecki i literaci czwartkowych objadów Najjaśniejszego Pana niemają ich może, a to wszystko w przedpokojach Repnina i Stackelberga wycierało podłogi, szarzało się i podliło: a Polska gdzie Mosanie? — Na te ostatnie słowa, które zwykle zamykały podobne rozbiory literackie, chłopiec jak w serce rażony, porywał się na nogi cały w ogniu, mówiąc: — Jegomość, zmiłuj się, dajmy już dziś pokój tym szubrawcom francuzkim; — a Ksiądz na to z flegmą: — kiedyż będziesz z nimi

żyć musiał, *nemo sapiens nisi patiens;* czytaj Wojtku do końca. — Niepomału też Benedyktynowi pomagał do zaszczepienia w chłopcu tej odrazy od francuzkiej filozofji, Inżynier Szlązak z Wrocławia Mentzel; w pierwszej młodości wstąpił do wojska Pruskiego, był ranny na bitwie pod Rosbach, wielkim chwalcą wojennego geniuszu Fryderyka, niecierpiał Francuzów i tylko jedną upatrywał wadę w królu: że przepadał, jak mówił, za tym błaznem Wolterem.

W sąsiedztwo P. Starosty Grodeckiego, przybywał do dóbr swoich z Bracławskiego P. Starosta Dubieniecki z rodziną i przemieszkiwał w nich całe lato. Był to dom ze wszech miar zacny: sam Starosta mąż niepospolitych przymiotów i stałości charakteru. Po zgonie żony, którą młodą jeszcze okropnym wypadkiem stracił, bo pośród licznych domowników, od ognia na kominku, co się jej sukni chwycił, zgorzała: acz w czerstwym jeszcze wieku niepomyślał o drugiem zamężciu, i cały się poświęcił staraniu czworga dziatek: dwóch synów i dwóch córeczek. Średnia Kasia była mu najmilszą, choć tego niepokazywał po sobie i na pozór najmniej się z nią pieścił. Dziwne to było dziecię ze wszech miar, niepospolitej urody przy niezmiernie delikatnem zdrowiu: nad wiek okazywała rozwagę, rozum i statek: wesoła

i tak tkliwego serca przytem, że ją radość równie jak smutek łacno częstych słabości nabawiały. Od pierwszej maleńkości tak była ochoczą do pacierza, że ciotka, która po zgonie matki wychowaniu się dzieciom siostry poświęciła, różnych używała sposobów, żeby w niej zapędy pobożności poskramiać, jako też dobrowolne umartwienia ciała, które nieczytając nawet żywotów gorąco polubiła. Było to dziecię największą pociechą, lecz przytem powodem najżywszych frasunków całej rodziny, bo wszyscy się ciągle lękali o życie dziewczynki, które jak najśliczniejszy płomyczek w kruchej alabastrowej lampie strzegli; jakoteż nieraz o mało co im, pomimo najmocniejszych starań niewygasł wśród ich ręku. Dużo o niej dziwnych rzeczy i przygód opowiadano, o których na innem miejscu jest wzmianka. Owóż z powodu przyjaznych stosunków Starosty Grodeckiego z P. Dubienieckim, dzieci obu rodzin pierwsze lata młodości z sobą strawiły. Wojciech Myszkowski w tym jednym domu sąsiednim był trochę żwawszym i mniej sztywny jak za zwyczaj. Rówieśnik starszego syna Kajcia P. Dubienieckiego, pokumał się z nim cokolwiek, lecz niebyło między charakterami dwóch chłopców coby je mogłe ściśle kojarzyć: bo Kajetan był nadzwyczaj pusty i samowolny

i łatwy do przyjaźni ze wszystkiemi zarówno: a Wojtek szukał już wtedy Pilata i chciał być Orestem, ani mu ta popularność nieprzypadała i do smaku i do jego marzeń studentskich o przyjaźni; więc się miał z nim na ostrożności, a tamten znowu mawiał: — Wojtku, tyś dobry chłopak, ale na mnicha, a ja będę Konfederatem jak P. Kazimierz Puławski; — i były kłótnie nieraz, które Kasia, jak między wszystkiemi dziećmi, tak i między niemi, godziła. Wojtek od pierwszego poznania się z Kasią, dziecinnie lecz namiętnie do niej się przywiązał, i wszystko na jej skinienie czynił, nierad był zabawom do których ona nienależała. Za każdem przybyciem Starosty Dubienieckiego w sąsiedztwo, uczucie to w chłopcu się wzmagało: bo też i dziewczynka już w czternastym roku, pomimo częstych niemocy, cudną miała twarzyczkę z ciemnemi oczkami, ze spajrzeniem cichem i łzawem, z kędziorkami jasnemi, czołem pogodnem; rzekłbyś jedna z świętych panienek, które otaczają Matkę Boską na obrazach sławnych malarzy włoskich. Kiedy już chłopiec miał lat 16. postrzegł nakoniec Ojciec, że coś było więcej z strony Wojtka jak dziecinny afekt ku dziewczynce; przestał więc brać chłopca z sobą do domu Star. Dubienieckiego, a Ks. Benedyktynowi rzekł: — Reverendissime, Wojtkowi

6*

coś po głowie zaczyna się uwijać Kasia Starościanka: więc mieliśmy ślimaka, a teraz będziemy mieć mazgaja w dodatku; bo to osobliwsza dziewczynka, to czysta S. Barbara z obrazku; jej tylko w głowie pacierz i aniołowie Pańscy i niebieskie migdały — a temu basałykowi trzeba co innego: kończyć studia i bodźca dobrego żeby przecie weń życie jakieś wstąpiło. Trzeba więc nam szczerze pomyśleć o Wiedniu: tam go chcę oddać do Teresianum, z tamtąd synowiec mój wyszedł dobrze w nauki wojenne opatrzony: prawda że tam u nich wszystko po szwabsku; cóż robić, przynajmniej że nie po lutersku, a Bogu dzięki też z łaski Reverendissimi i Mentzla, w domu wziął dobre początki, i w takim jest już wieku, że gdyby swoich ojczystych rzeczy zapomniał, toby mi i nieżal było nawet żeby już na zawsze między Szwabami sobie został. O Adasiu! Adasiu! srogiego figlaś mnie staremu wyrządził pod Szczekocinami. —

Była także powodem do tej determinacyi Starosty, wojna Francuzka 1806. r.— Napoleon po zwycięzwie pod Jeną zbliżał się do Polski. W Warszawie nadzieje nigdy nieuśpione, w sercach się ożywiały. Imiona: Dąbrowskiego i Kniaziewicza, piosnka Legionów, brzmiały już w uszach wszystkich. Starosta dawny patryota

partyi P. Ignacego Potockiego, różne po głowie snuł projekta. Chciał więc także wydalić syna, żeby mu zbliżająca się wrzawa wojenna, nieprzeszkodziła dalszemu kształceniu; w nadziei, że rygor większy szkoły wojennej, obudzi w nim cokolwiek ducha brata starszego, a którego on, przez uprzedzenie, w nim niewidział; ale dziwnie zawiedziony został.

Ułożywszy wszystko wprzód z Benedyktynem i z Mentzlem, który miał towarzyszyć synowi do Wiednia, dniem wprzód tylko wyjazdu, krótko a węzłowato oznajmił chłopcu wolą swoją i rozkaz wybierania się w podróż. Dał mu przytem staropolskim obyczajem w niewielu słowach poważne napomnienie, względem jego od niejakiego czasu opuszczenia się w naukach, i celu jego podróży, dodając te słowa: — Pokaże się teraz czy waść z skorupy swej ślimaczej potrafisz wydobyć się i czemkolwiek nagrodzić rodzicielskie trudy, czego życzę waści, bo inaczej nieprędko byś mnie obaczył. — Wojtek na pozór z uwagą obojętną słuchał tych słów, luboć nagle pobladł; pocałowawszy rękę ojca ozwał się: — Mam w Bogu nadzieję, że Jegomość na mnie się niezawiedzie zupełnie: niech mi będzie wolno prosić o jedną tylko łaskę.

— Cóż takiego?

— Żebym się mógł pożegnać z Panem Starostą Dubienieckim, który tyle jest na mnie łaskaw.

Starosta pojrzał bystro w twarz chłopca, który oczy spuścił, a potem rzekł niby obojętnie i uśmiechając się:

— Rad jestem że waść umiesz się poznać na względach zacnego Starosty, któreś winien przyjaźni jego nieocenionej dla mnie: bo prawdę mówiąc, dość szorstki z ciebie był koleżka dla starszego poczciwego jego chłopaka Kajcia. Ale mniejsza o to, mogłbym waści do Dubienki dziś jeszcze posłać, ale Starosta ma dziś tam Kondensensię i ważne interesa; nietrzeba być natrętnym sąsiadom. Zostaw to mnie waść, ja waści sam wytłómaczę, i za waści pożegnam Starościńską rodzinę: a teraz ruszaj chłopcze wybierać się w drogę jutro o ósmej z rana; — i potych słowach wyszedł Starosta. —

Wojtek stał osłupiały niejaki czas, a potem załamując ręce krzyknął: — Więc już nigdy niezobaczę ciebie — i zatrzymał nagle głos jakby przerażony, czy niewymówił imienia jakiegoś które mu w głębi duszy tkwiło, i wybiegł potem jak obłąkany.

Rozstanie się chłopca z matką słabą i z Jadwigą było boleśne: całą noc z sobą przegadali i przepłakali. — Siostrze dużo gadał

o Kasi, z zapałem niezwykłym, trochę gorączkowym, tak że Jadwiga cokolwiek zdumiała, była niespokojną o jego zdrowie. Napisał długą, bardzo długą chryję studentską, gdzie ciągle była tylko mowa, że on w Bogu ufa, że kiedyś Jegomość zmieni o nim zdanie i przekona się, że choć on niewart nieboszczyka P. Adama, co zginął pod Szczekocinami, przecież i onby potrafił dać życie za ojczyznę, byle mu Bóg nastręczył sposobność — że Pannę Katarzynę prosi aby się modliła za niego, jak on też o niej w pacierzu i bez pacierza nigdy niezapomni. — Przepraszał Kajcia i wszystkie dzieci Starościńskie, za swoje, jak teraz dobrze miarkuje, niepiękne obchodzenie się. — Że mu ciężko, bardzo ciężko na sercu opuszczać Mamę, Jadwigę i Jegomościę też (ojca), którego Bóg kazał mu szanować: i boleśno także że niemógł ucałować rękę P. Starosty Dubienieckiego, którego tyle łask doznał: niemówiąc już o tem że niemógł też Panny Katarzyny pożegnać i uprosić ją żeby się modliła za niego, jak wie że umie kiedy zechce, ażeby z niego większą miał pociechę Jegomość jak dotąd. I wszystkie te żale przeplatane były sentencią z Cycerona, to wierszem jakim z Wirgiliusza: osobliwie miał niektóre faworytalne, których zawsze używał per modum dykteryi, kiedy był bardzo

poruszony, np: *O tempora! o mores!* albo z oracyi *pro rege Dejotaro: jam prae lacrymis loqui non possum*; albo te Eneasza: *O terque, quaterque beate! queis ante ora patrum*; a czynił to także rozmawiając nawet z Kasią, która umiała trochę po łacinie, lecz ona mu na te jego cytacie bywało odpowiada: ja twojej Panie Wojtku łaciny nierozumiem, tylko moją: *O Jesu dulcis memoria.* Tak, całą dużą ćwiartkę zapisał, lecz się niepodpisał, ani temu pismu niedał formy listu, i przerwał je dla braku czasu i wielkiego ucisku serca.

Kiedy Jadwiga ujrzała ten długi arkusz, który jej brat do ręki natarczywie wciskał, rzekła:

— Naco to się zda Wojtku? dla kogo to?

— Jak to dla kogo? dla Kasi! — a widząc większe zdumienie siostry, dodał niecierpliwie: — dla Starościanki, dla wszystkich w Dubience, wszak to pożegnanie moje, a bez pożegnania niegrzecznie odjeżdżać: siostro niedręcz mnie.

— Ale to Wojtku pobazgrane, tego nikt niewyczyta: ale uspokój się braciszku, ja lepiej wszystko sama opowiem w Dubience, to co sam pragniesz, i co masz w tym momencie w duszy.

— A co ty wiesz Jadwisiu co ja mam w duszy? rzekł Wojtek dumnie: czyś ty mój spowiednik? Nikt z was tu niewie, co w głębi

duszy Wojtka; ale kiedyś się dowiecie da Bóg — i to powiedziawszy, rzucił w ogień na kominku papier, a potem nagle wybiegł z pokoju siostry, pomimo jej próśb ażeby się zatrzymał.

Nazajutrz z rana przyjął u łoża słabej matki, błogosławieństwo na drogę: mądre przestrogi i relikwiarzyk z drzewem Krzyża S. na szyję mu włożyła. Jadwiga mało mówiąca z niewymowną łagodnością patrzyła mu w oczy z cichym smutkiem, i tylko mu kilka razy powtórzyła: — pamiętaj Wojtku, na świecie możesz mieć wiele ludzi poczciwych, którzy cię będą kochać; ale tylko jedną masz Mamę jak naszą, i jedną biedaczkę siostrę, którejś ty jedynym .... i łzy jej mowę przerwały: a Matka poważnie dodała: i Ojca Wojtku, tyś go dotąd niepoznał, to twoja wina: — *ach!* i Papę takiego, ozwała się znowu Jadwiga. — Na te słowa Wojtek w milczeniu począł całować jej ręce z wielkiem uczuciem, lubo widocznie pasował się z sobą żeby niepłakać. W tem P. Starosta stanąwszy na progu ozwał się: — już czas na mszę, — i niewchodząc do pokoju oddalił się. Chłopiec rzucił się raz jeszcze w objęcia matki, a potem z siostrą udał się do kaplicy; tam już byli: P. Starosta, Mentzel i domownicy, a Ks. Benedyktyn wyszedł ze mszą. Po nabożeństwie i odmówieniu nad podróżnymi Itinerarium, Ks. Bene-

dyktyn krótką, przenikliwą uczynił naukę, na te słowa: *Angelis suis Deus mandavit de te, ut custodiant te in omnibus viis tuis;* i dał podróżnym Krzyż Pański do pocałowania. Kiedy wyszli wszyscy z Kaplicy, już stała bryczka upakowana i zaprzężona, dla Wojtka i Mentzla, i wózek dla Macieja, starego sługi przydanego paniczowi. Starosta pominął je, jakby na nie niezważał udając się niby do swojej bażantarni; a po rozmówieniu się z ogrodnikiem, który go spotkał, obrócił się nagle ku powozom, przy których Wojtek z Mentzlem w jakiejś oczekującej niepewności stali, i ozwał się: — A to widzę doprawdy Panie Wojciechu się wybierasz? — a gdy chłopiec przystąpił do niego i chciał mu upaść do nóg; on go nagle z niezwyczajnym afektem podniósł, pobłogosławił, pocałował w czoło i rzekł zwolna te słowa: — Wojtku, uczono cię w domu: *diliges Deum tuum ex toto corde tuo, et proximum sicut te ipsum;* także: *honora patrem et matrem tuam;* i wiele innych pożytecznych nauk: i dalej w nich masz się statecznie ćwiczyć. A czy znasz waść, rzekł dalej uroczyście, matkę naszą, co w grobie leży? i jak pamięć jej masz czcić? Czy wiesz że *anathema qui non diligit matrem?* — Wiem ojcze, odpowiedział z wielkim afektem lecz zmieszany trochę chłopiec: — i mam w Bogu nadzieję, że

dla niej uczyć się, żyć i umrzeć potrafię. — Podobał się ten zapał chłopca Staroście, i rzekł dalej: *memento puer, fuit Ilium, fuimus Troes et ingens gloria Dardanium: et nunc vade in pace. Deus sit tecum:* obróciwszy się szybko żeby ukryć swe łzy, postąpił do Mentzla, uściskał go serdecznie, a potem z ogrodnikiem wesoło rozmawjając udał się z wolna do Bażantarni: a podróżni wsiedli na wózki i tuman prochu za szybkiemi kołami się podniósł. Domownicy na podwórzu wołali: bywajcie nam zdrowi Starościcu, wracajcie nam na koniku przy szabelce. — Jadwiga która w kaplicy uścisnąwszy po raz ostatni brata musiała wrócić do matki dla pocieszenia słabej, długo z okna z obliczem zapłakanem śledziła lecące powozy, rzekła tylko z cicha: — Kiedy ja go zobaczę? i czy on już ujrzy na tej ziemi matkę. — Nakoniec znużona myślami dobyła koronki i odstąpiła od okna. —

TREŚĆ.

Mentzel z Wojciechem przybywają do Krakowa. Tam chłopiec zapada w ciężką nerwową gorączkę, w malignie woła: puśćcie, puśćcie mnie do P. Generała Dąbrowskiego: Adaś mnie każe bić się za ojczyznę, i Kasia się modli — i tym podobne. — Po dwuniedzielnej cię-

żkiej niemocy, choroba sie przesila. — Mentzel w nadziei że będzie mógł rychło donieść Staroście razem o przebytej niemocy i wyzdrowieniu, nic doń przez długi czas niepisze z Krakowa. Ztąd w Krasnyst. ... niespokojność rodziców i Jadwigi. — Starosta Dubieniecki przybywa do Krasn..... dla pocieszenia P. Grodeckiego: ale sam jest także zmartwiony, bo Kasia od kilku dni febry dostała; wziąwszy Benedyktyna na stronę rzekł doń: Ojcze Dobrodzieju! znacie moją biedną Kasieńkę i wiecie jaki mamy zawsze kłopot z jej zdrowiem, a i choroba u niej nie tak jak u ludzi: od dwóch dni dostała febry z gorączką na przemiany, i niepostrzegliśmy tego, bo co dzień chodziła do kaplicy. Pozawczoraj zemdlała na modlitwie, klęcząc jak zawsze przed obrazem Matki Boskiej. Kiedyśmy ją do łóżka zanieśli, ona niby przez sen z półotwartemi oczyma i zwykłym swoim uśmiechem rzekła do mnie: — przepraszam Papę, ale ja będę znów zdrowa, tylko uspokój Starostwo i Jadwisię, bo oni ciężko zasmuceni o P. Wojtka — bo ta jego jego choroba nie na śmierć — ale też z szkoły Wiedeńskiej nic niebędzie. — Modlę się za ciebie Wojtku, modlę. — Pamiętaj tylko żebyś kochał Matkę Boską. — A potem podniósłszy oczęta w górę i rączki, rzekła z wielką radością i

jaśniejącą twarzą: — O! Matko Przenajświętsza, jakżeś prześliczna; — a potem westchnąwszy głęboko i opuściwszy główkę rzekła: a ja biedna grzesznica — i łzy jej się puściły z oczu, i znów umilkła i spokojnie zasnęła. — Po przebudzeniu się była wielce osłabiona, blada jak opłatek lecz bez gorączki. Niepytaliśmy się o nic, bo wiem że to ją biedzi i pogarsza stan zdrowia. Doktor przyszedł, znalazł puls dobry i niczego złego niewróży tylko zwykłą tercyannę. — Dziewczynka dziś znowu wesoła i apetyt odzyskała. Ale przyznam ci się Ojcze Dobr. że te jej słowa niepokoją mnie o Wojtka.

— Wszakże, mówi Starosta, zdrowie chłopcu wróżą — a z resztą Ojcze Dobrodzieju to dzieciństwa i zwyczajnie fantazya gorączkowa, nieprawdaż?

— Być może: ale ja znam dobrze Pannę Katarzynę, to panienka *secundum cor Dei;* już to nie nowina że kiedy coś zapowie, pokaże się w końcu że słowa jej niebyły dziecinne. Tylko szkoda nam naszej Starościanki, że to zdrowie jak u gąsienniczki; — potem zamyśliwszy się cieco dodał: *Mirabilis est Deus!*

— Ach Ojcze Dobrodzieju! co już to dziecię mnie frasunku nabawiło; lecz proszę o tem ani słowa przed Panem Grodeckim, bo toby wszystkich tu niepotrzebnie zatrwożyło.

Tegoż samego dnia przybyły listy od Mentzla z Krakowa, który całą chorobę chłopca opisywał, i przesilenie się choroby; a jak Star. Dubieniecki postósował daty, właśnie przypadło ono w dzień kiedy Kasia po omdleniu zapowiedziała co się działo w Krakowie z Wojtkiem. Cztery tygodnie musiał zatrzymać się Mentzel w Krakowie, nim do zupełnego zdrowia przyszedł Wojciech. Po chorobie tej ciężkiej dziwna w jego charakterze przemiana się ukazała. Zrobił się daleko otwartszym, rozmowniejszym i bardziej udzielającym wszystkie swoje myśli i uczucia: sztywność też go dawna opuściła, i w chłopcu co bardziej wprzód na melancholicznego choleryka zakrawał, żywość i ruchawość, czysto krwisty temperament sie objawił; z czego lekarze dobrą wróżbę, o dalszem jego zdrowiu, czynili. Jak wprzód mało o Ojcu rozmawiał z Mentzlem, tak po chorobie najbardziej był Jegomością zajętym i wielki ku niemu afekt okazywał, a doleko mniej wspominał matkę i siostrę: o Kasi gadał więcej i z uczuciem, lecz jak o świętej, i przyznał się Mentzlowi: że ona go nauczyła prawdziwie bać się Boga. Raz tak z wielkim afektem odezwał się: — Zobaczycie P. Majorze, że ta święta Starościanka długo niebędzie gościć na świecie, bo ja wiem, że ona się modli i pokutuje za nas

wszystkich i za Polskę, a w takiej osóbce subtelnej i delikatnej niewytrzyma długo dusza i pójdzie gdzie jej lepiej będzie; ale mnie mówiła nie raz P. Majorze, że Polska powstanie znowu z grobu, i że ja powinienem dla tego pracować poczciwie, naprzód uczyć się a potem i własnej krwi nieżałować. Ale i to także Panie Majorze raz od niej posłyszałem: będziesz i ty Panie Wojtku nie raz w krwawej robocie, chociaż cię teraz ślimakiem zowią, i będziesz z wielu twymi towarzyszami szukał naszej matki, której grób strzeże Najświętsza Panna; ale jak zapomnicie o Matce Boskiej i niepoznacie Jej, to i matki nieznajdziecie; bo ich rozłączyć niepodobna, i nieodzyskacie jej chociaż strumienie krwi na jej grobie przelewać się będą; bo ona się brzydzi krwią dumnych i niewierzących w P. Jezusa — i rączętami sobie oczy zasłaniała z przestrachem i jakby istotnie na krew patrzała — ale pomimo tego matka ożyje dla lepszych i cierpliwszych między wami. — To wszystko Panna Katarzyna raz powiedziała pośród gry Cenzurowanego, ni z tąd ni z owąd, kiedy najmniej się człek spodziewał; zdziwiony zapytałem: — Co to znaczy Panno Katarzyno? Czy to żart? — a ona się boleśnie uśmiechając temi słowy tylko zbyła: — Niebędzie z Waćpanem żart kiedy przyjdzie Bonaparte.

Idź Panie Wojtku na pokutę pod ścianę.—Dzieci i goście się śmiały widząc obyczaj Kasi, która i pośród zabaw śmiejąc się po kaznodziejsku lubiła gromić. Ale ja, com jej dobrze się z blizka przypatrzył, pewnym był, że te jej żarty nie były bez ale: i patrzno P. Majorze, oto już Bonaparte w Poznaniu. —

— Hola, hola! mój asindzi, przerwał mu Mentzel, otoś rozpuścił żagle swej fantazyi języcznej: *das ist nichts*, a doktor kazał żebyś niewiele gadał i więcej ruchu używał: ruszaj mi na spacer, porzuć te panieńskie prognostyki i mistyki, a myśl raczej jak tu nam się najprędzej do podróży Wiedeńskiej gotować, a jak piersi przestaną boleć to i o Examinie Wiedeńskim trzeba będzie dobrze w głowie posztudirować, i jutro do Jegomości napisać kiedy wyjeżdżamy. A pójdzie dobrze wszystko, mój asindzi, tylko żwawo i wesoło, jak widzę chwała Bogu, że na to idzie — a *mistick, mistick das ist nichts*, będzie Polska i bez mistick dla przyszłego wojaka. He, co, nie prawda mój asindzi? — Te słowa zachęcające rozweseliły chłopca i odpowiedział: — Masz racię Panie Majorze, że mnie wybijasz z głowy te dziecińѕtwa, trzeba mi teraz co innego żeby czas stracony powetować. —

— A co nieprawda mój asindzi? — i poszli razem na zwykły spacer. —

Wkrótce potem wyruszyli do Wiednia, bo chłopiec do zupełnego przyszedł zdrowia. Z wielkim zapałem wziął się do swoich książek, a najbardziej do tych, które o strategji traktowały, w czem mu był Mentzel biegłym przewodnikiem i bodźcem. Był to Inżynier dawnej szkoły Fryderyka II. którego nad wszystkich wodzów świata wyżej stawił, i tylko pozwalał przyrównywać go z Annibalem. Musiał więc Wojciech sztuderować z nim wszystkie kampanije i batalije siedmiotelniej wojny. Nawet batalija pod Kolin i inne przegrane przez Fryderyka, miały swoje apologie, i mawiał: — Mój asindzi Wojtku uważaj no: pod koniec afery kiedy wszystkie rezerwy puścił na nieprzyjacielskie linije rejterujące się żeby je znieść zupełnie. — Alboż to dobrze Panie Majorze i podług reguł? — Silencium mój asindzi, dla takiego geniuszu wojennego niema reguł; to rzecz dla studentów jak ty Wojtku, *das ist nichts*. — Ale piękne *nichts*, kiedy, proszę Pana Majora, Fryderyk, który tego samego dnia otrzymał plac batalji i miał w ręku zwycięztwo, pod wieczór na głowę pobity został.

— Larifari pleciesz mój asindzi, Fryderyk nigdy na głowę niezostał pobity.

— Jakto? zmiłuj się P. Majorze, alboż pod

Kolinem niestracił całej artyleryi i najlepszą swoją kawaleryą.

— *Das ist nichts.*

— I tylu Generałów?

— *Das ist nichts.*

— I sam chciał zginąć, i ledwo samotrzeć z paziem i jednym oficerem umknął z placu.

— *Das ist nichts,* powtarzam tysiąc razy mój asindzi, pomimo tych wszystkich klęsk, które wyliczasz, stary Fryderyk niebył pobity na głowę.

— To chyba P. Major żartuje?

— Ja nigdy nieżartuję mój asindzi, kiedy mowa o Wielkim Fryderyku. Powiedz mnie mój młokosie: kiedy po przegranej pod Kolin, cudownym prawie sposobem skupił swoje rozbite wojsko i wkrótce znowu stawił pole nieprzyjaciołom, i tak przedziwnie zakończył tę kampaniję, w której najgłębsze się okazują kombinacye strategiczne; powiedz mój Solonie, czyja to głowa sprawiła?

— Ta zapewne Fryderyka.

— Ta zapewne! a widzisz więc mój asindzi, mój Solonie, że niebył więc na głowę pobity Fryderyk, jak ty pleciesz, kiedy z niej tyle rozumu potem dobył i pobił. I dla tego mój asindzi, ta batalija pod Kolinem, tak mnie za-

chwyca; bo żeby był jej nieprzegrał, niebyłby może tak świetnie geniusz jego rozwinął się; więc mój asindzi, *disce puer*. —

Przez długi czas o kampanijach Bonapartego nielubił gadać, ani dawał ich do czytania Wojciechowi: a kiedy bywało o tem go zaczepi chłopiec, który począł bardzo się zapalać do Napoleona, zwłaszcza po jego świeżych zwycięztwach i zbliżeniu się do Polski, to on zimno mawiał: — Bonapart, to mój asindzi, szarlatan Włoch, przerzuca pułkami jak gałkami kuglarz; tu jest, tu go niema, hocus pocus. Żadnego planu głęboko w kabinecie wyrozumowanego i potem zręcznie wykonanego. Tylko mój asindzi wszystko na placu improwizuje, jak pod Trebjo, jak pod Rivoli, Mantuą. Chytry Włoch widzi że głupi niemiec Wurmser felery robi, więc on dalej sobie mój asindzi rozrywa mu kolumny: przed jedną się cofa dzisiaj, na drugą napada jutro i bije. Austryak myśli że on już mu z oczu umknął, a patrz on drugiego dnia w oczy mu zachodzi: a francuzików, świstaków, roztrzepańców do takiej bieganiny zaprawił, że to tylko ciągła strapacz koni, ludzi, *das ist nichts*; a potem jak przyjdzie suss do głowy, a on wszystkie swoje kolumny i oddziały w jedno jak karty w talji tassuje, mój asindzi, i niedawszy ani swoim, ani przeciwnikom wytchnąć,

pali mój asindzi, przeciw wszelkim prawidłom przyjętym, bataliją solenną, jak szuler, ryzykowny wa bank: ani myślał o leżach zimowych, ani coby było gdyby mu karta źle padła, a *eventus magister stultorum:* mawiał *Fabius maximus cunctator.*

— Ależ Panie Majorze, zawsze dobrze mu karta padła. —

— No, wielka rzecz, bo szuler mój asindzi, bo figlarz, bo miał do czynienia z Wurmserem który stare karty tylko znał, a ten figlarz Włoch, mój asindzi, nowe sobie pofabrykował i nowe powymyślał sztuczki, *das ist nichts;* ale gdyby mu przyszło grać z starym Frytzem, toby on mu zadał dobrą kozerę, i nauczył: że co innego wielkie obroty stratega dojrzałego wodza *a la Fritz,* a co innego to *hocus pocus* i *larifari* włoskie, *das ist nichts,* i powiadam: że rozbierając kampanije tego Bonapartka, to człek, pradziwy inżynier, w głowę zachodzi: bo tam poważna sztuka wojenna do góry nogami przewrócona, i trzeba dobrze głowę namozolić, żeby te jego manewra sapermentskie pod pewne reguły podciągnąć, a student, mój asindzi, może się zupełnie obałamucić.

— Ale mówią że to geniusz?

— Świstaki mówią, francuzi, mój asindzi, *das ist nichts.*

Kiedy doszła go wieść o przegranej pod Jeną, choć był najlepszym Polakiem i nielubił Prusaków, przecież w wielką wpadł animozyą na Napoleona i na generałów pruskich. Z buletynami i gazetami w ręku, z okularami na nosie siedział przed mappą wojenną, pozatykaną długiemi szpilkami, ciągle je dobywając i przestawiając z miejsca na miejsce, z sobą tak rozprawiał: — a co za hebesy, mój asindzi te teraźniejsze generały pruskie. Po co ten stary cap Brunświcki w Turyngji armię skoncentrował i lewe skrzydło odsłonił. — Ha niespodziewała się Durchlaucht że offensive pierwszy rozpocznie Bonapartek. Szande, Durchlaucht, to mi stary Fabius mówił: że niema nic haniebniejszego dla wodza, jak to słowo: niespodziewałem się. A cóżby dopiero powiedział stary Fritz. Szande, Durchlaucht, Zeszwibsch, Hohenlohe kręcą się jak ćmy koło Turyngierwaldu, a ten szarlatan tymczasem w pięciu dniach opanował kraj między Salą, Elster, i Elbą. Albo te gorące paniątko, ten muzykus Printz Ludwik, po co uderzył na Sucheta pod Saalfeld, kiedy miał rozkaz cofania się; otóż niezgryzł orzeszka i udławił się nim nieborak.

— Szkoda go P. Majorze, bo mówią że był zuch i wielki szarmant, i ślicznie grał na fortepianie, i komponował.

— Fortepian i zuchowstwo i szarmanterya i kompozycya dobra do Solonów dla kobiet i na leitnanta perfumowego; ale dla szefa na placu bitwy trzeba innych szarmanteryi i innej muzyki. I stary Fritz grał ślicznie na flotrawersie i komponował także muzykę; ale na innej grał dudzie w Salonie, a na innej nieprzyjacielowie przed batalliją. A i ten Bonapartek mój asindzi, który niewie że Brunświk maszeruje na Auersztadt a już po swojemu improwizuje plan bitwy pod Jeną — no, nie hazardowny to gracz? A Brunświk nieosadza gór artyleryą nad Multhal, i dopuszcza tam usadowić się francuzowi: a ten Brüchel co przybywa już jak musztarda po sztukamięsie. O hebesy! dałby wam stary Fritz gdyby z grobu powstał: wszyscybyście do Profossa poszli. *Durchlaucht* i nie *Durchlaucht, das ist nichts.* Macie teraz kwit za Rozbach i dobrze wam tak. — I było takich pociesznych dyalogów wiele, za każdem przybyciem nowego bulletynu. Lecz kiedy przyszły listy z Berlina z szczegółami o przybyciu Napoleona, a między innemi że on odwiedził grób Fryderyka w Potsdamie z wielką czcią i uwielbieniem dla zmarłego Bohatera, z zapałem szpadę jego wziąwszy w rękę oświadczył: iż ona go nigdy nieopuści; Mentzel z radośnem zdumieniem czytał te szczegóły

i w najlepszy wpadł humor. Wojciech który na to przypadkiem nadszedł, widząc go jak zawsze nad mappą i z tak dobrą fantazyą — a co tam nowego Panie Majorze, (rzecze) czy niepokpił sprawy mały Włoch, bo P. Major coś bardzo wesół?

— O kim to mój asindzi (odpowiedział poważnie Mentzel) tak *leichtfertig* mówisz?

— Jakto o kim? o tym figlarzu Bonapartku co już tyle nabroił?

— *Jugend kennt keine Tugend. O Juventus prona ad judicandum!* — niepięknie mój asindzi tak płocho o sztuce wojennej paplać, *das ist nichts.*

— Ale ja P. Majorze, ozwał się dalej strapiony nieco Wojtek, nie o sztuce wojennej ale o Bonapartku.

— A choćby go zwano Bonapartkiem, cóż z tąd mój asindzi, *quid ad rem?* I Fryderyka W. grenadyery jego zwali Fritzem, a on niebył Fritz, po naszemu mówiąc, ale wielu sam na naszych frytzów wystrychnął. — Bonapartek, Bonapartek: co to szkodzi Napoleonowi; słyszę także że gwardyaki jego zowią go *petit caporal:* a on sam na kapralów wystrychnął i Brunświka i Hohenzolera i tego mazgaja *Rüchla, quid ad rem* mój asindzi?

— *Ad rem,* to mi się zdaje P. Majorze, że

P. Major sam nieraz szarlatanem uważał Napoleona, i niejedne mi jego *hocus pocus* strategiczne wykazał.

— *O Juventus verbosa! Geduld*, mój asindzi, jeszcze ci mleko pod nosem; więc tego *non capis*, ani *capere* mażesz znaczenia słów wyższej strategicznej krytyki. W pewnych nadzwyczajnych wypadkach, każdy wielki wódz musi mieć pozór szarlatana i swoje *hocus pocus* wyrabiać, *das ist nichts*, to jest *disce puer:* mówiło się tak dla profanów, dla studentów w sztuce wojennej, żeby nieważyli się małpować geniusz w jego oryginalnych wyskokach, bo widzisz mój asindzi: *quod licet Jovi, non licet bovi.* Ale dla tego, taki niby szarlatan i figlarz jak Napoleon, może być czasem wielki generał, stratega, wielki capitaine; bo i Fritz był stary Fuchs, a także go za szarlatana z początku mieli, *das ist nichts.* Mnie jako Inżynierowi ex professo należało długo suspendować moje zdanie o geniuszu wojennym Napoleona i brać go w prasczęta Analizys strategicznej i smażyć go w tyglu krytyki i badać: czy te jego figlarstwo i szarlatanerya dobrej próby. Czekałem i doczekałem się; wytrzymał szpitzbub próbę, poznał się na swoim mistrzu, na wielkim bohaterze Fryderyku, i przypasał sobie jego

szpadę, mój asindzi. Choć tego nierozumiesz, powiem ci: że ten jeden krok jego, wytłomaczył mi cały jego geniusz wejenny, i podał mi klucz do wszystkich jego poprzedniczych dwuznacznych obrotów wojennych. Już ja rozumiem taraz wszystkie jego kampanije Włoskie i Niemieckie, *summa summarum.* Ten szarlatan, figlarz, to drugi tom Fritza, wielki człowiek i wielki wódz: a żem go tak wprzód nazywał nieżałuję tego; bo na lisa trzeba lisa: trafiła kosa na kamień, mój asendzi; ja stary inżynier i znałem dobrze starego Fuchsa Fritza, a ty Wojtku, mój asendzi, czytaj te listy i nieszwadronuj trzy po trzy, *disce puer.* — Potem Mentzel oddawszy listy z Berlina Wojtkowi zdumionemu, z tryumfującą wesołą miną wyszedł z pokuju, mówiąc: — wytrzymał szpitzbub Napoleon próbę, niema co mówić, *das ist ein Sapermentskerl.*

Wojtka famulus, Maciej Zacharkiewicz, była to także ciekawa figura. Syn starego wielce zasłużonego leśniczego w dobrach ojca Starosty Grodeckiego, będąc prawie równego z nim wieku wyrostkiem, oddany był razem z nim do Pijarów w Międzyrzeczu, przez wzgląd na zasługi ojca; lecz chłopcu była tylko fuzyjka i trąbka w głowie. Ledwie więc wylazłszy z infimy, niechciał już ani słyszeć o ła-

cinie, lecz podczas rekreacyi na spacerach samotrzaski tylko stawiał, i kije strugał do palcatów, w których nielada był majster. Razu jednego; wydurzywszy u jakiegoś mieszczuka starego samopoła i prochu, nabiwszy starym grochem począł się zaprawiać na kogutach żydowskich, wywabiając je po za domowstwa: nieodrazu postrzeżono psotnika; lecz w końcu złapany na uczynku, kiedy kalafarz z boćkowskim był już w pogotowiu, a prefekt doń się ozwał: — Łotrzyku! Opryszku! co to jest? kto cię zaprawił na tę kokoszą wojnę? *nescis latro:* niezabijaj, niekradnij, niepożądaj ani wołu, ani osła! —

— To kogut Jegomość.

— *Qualis mihi:* ani żadnej rzeczy która jego jest, łotrzyku, ani żadnej rzeczy: dalej kalafarzu *fac quod facis.* — A kiedy boćkowski począł dobrze zalecać się *ad posteriora,* a Ks. Prefekt ciągle powtarzał: — ani żadnej rzeczy: *ergo neque gallum, gallus* i to rzecz: *ergo neque gallum.*

— Oj Jegomość! krzyknął Maciek, zmiłujcie się nad świętą intencyą.

— *Apage calefactor:* mów co za intencya?

— Oto Jegomość, kiedy się koguty żydom zabijały, to dla tego widzi Jegomość, że pomyślałem sobie: kogut do wizerunków męki

Pańskiej należy, i na krzyżu stoi; a więc jakie, te niewierne żydy mają prawo do niego? niemają Jegomość; oto widzi Jegomość święta intencya. — A Ks. Prefekt na to: — *qualis mihi interpreta?* wal kalefaktor za fałszywę interpretacyą, wal za farbowaną intencyę, wal za szalbierstwo i wykręcanie dwornie rzeczy świętych. — I było tego wal dopóty, póki za powtarzającym Prefektem, niepożądaj żadnej rzeczy, *neque gallum*, Maciek wielce żałośnym głosem niepoczął wołać: *neque gallum, neque gallum,* niech przepadnie moja głupia intencya! — i tak się z ciężkiej przeprawy uwolnił. —

Wszakże wkrótce potem drapnął z Międzyrzecza i przez wiele lat słuch o nim nawet zginął. Nakoniec kiedy P. Starosta Grodecki po śmierci ojca na sejmie r. 17.. przybył do Warszawy jako poseł Województwa Bracławskiego: przyszedł doń Maciej w starym mundurze wytartym, artyleryjskim tabaczkowego koloru. Przyjęty łaskawie opowiadał mu swoje rozliczne przygody i nędzę: jak po ucieczce ze szkoły, porwany przez werbowników Austryackich puszkarza pełnił służbę przy bateryi, odbył ostatnią kampaniją Austryacką przeciwko Fryderykowi; wyćwiczył się także robienia fejerwerków, w której to sztuce wielkiego sprytu dał dowody. Stojąc z swoją komendą nie-

daleko Kruszwicy, gdzie Ks. Generał letnią porą przebywał i świetne dawał zabawy, używany był Zacharkiewicz do illuminacyi i urządzenia rac. Że zaś był przytem krotofilny i rezolutny w mowie, tak podobał się sławnemu Dzierżanowskiemu, który w ówczas z swych podróży awanturniczych wrócił, że on postarał się o jego uwolnienie z służby Austryackiej i przyjął go do swojej; lecz u tego Pana cięższy był jeszcze chleb jak u Austryaka. Ciągłe awantury, bójki po drogach, zawsze musiała szerpentyna być w robocie, bo bywało P. Dzierżanowski na czterech, pięciu porwie się zrobiwszy burdę w gospodzie, a kiedy Maciej było odezwie się: Panie czy nielepiejby po jednemu wyzwać? to Dzierżanowski krzyczał: — *Coquin, maraud*, ja królem byłem, ja tobie i wszystkim łby pościnam, żebyście o tem wiedzieli, że ja królem byłem; — i dalej rąbanina, w której wprawdzie Maciek się dobrze wprawił do krzyżowej sztuki, ale też nieraz i balwierz musiał zaszywać wargi. Po takowej jednej boleśnej przeprawie w Warszawie, przyszła mu ochota pójść do spowiedzi do OO. Reformatów. Tam dopiero tak zbawienna w nim nastąpiła odmiana, że już chciał tam zostać braciszkiem; ale gdy się przypadkiem dowiedział o przybyciu P. Grodeckiego, i spo-

wiednik uczynił mu uwagę, że powinien udać się do swego dawnego Pana i przeprosić za dawne zgorszenia: co też on uczynił, a nieczując w sobie dość ducha do życia Reformackiego, serdecznie pragnął pozyskać względy swego dawnego panicza. P. Grodecki pomimo łaskawego przyjęcia, nieodrazu przypuścił go do swych usług; wszakże pamiętny na zasługi jego ojca, zapewnił mu swoją opiekę i wziął go do swoich dóbr. Postrzegłszy w nim potem niezwykłe przywiązanie do swej osoby, przytem rozsądek i dziwną przezorność, które w nim rygor wojskowy i rozmaite przygody rozwinęły, zbliżył go do siebie dając mu nadzór nad stajnią i łowiectwem. Odtąd przez lat dwadzieścia nieodstępnym był przy Panu we wszystkich jego podróżach: a na sejmikach szlachtę przeciwnej partyi trzymał w ryzie; bo jego szerpentyny nieraz doświadczyli ze swoją konfuzyą. Choć był raczej stateczny i krotofilny niżeli warchoł, ale kiedy poczynał być facecionatem i słodkim, wtedy najwięcej trzeba było jego się wystrzegać; dla tego mówiła szlachta: strzeż się mospanie kici P. Grodeckiego, bo kiedy miauczy, to najgorzej wtedy drapie. —

Na starość zrobił się nielada dewot i mortyfikant. Wielkie miał nabożeństwo, zwłaszcza

do S. Barbary patronki wszelkich prochowni; i posty i nowenny do niej odprawiał, jakoteż we wszystkie wielkie uroczystości Matki Boskiej. Lecz dwa dnie były w roku, które w wielkiej pokucie obchodził: Wielki Piątek i 1° Marca w którym go werbownicy Austryaccy złowili i w kamasze ubrali. Cały dzień do północy prócz kufla z wodą nic do ust nieprzyjął; ale nie w temci był sęk, bo Maciej dobrze zaprawiony był do śledzia w swojem życiu: ale cały jeden dzień pożegnać się z fajką, która od lat czterdziestu pięciu wierną mu była kumą i nigdy mu od ust nieodstępowała, to ale sroga była dyscyplina. Jakoż w tym poście fajkowym wyglądał jak Łazarz, jak gdyby z krzyża zdjęty: że zaś wyrobił mu się z lewej strony gęby pewien grymas sardoniczny, właściwy wszystkim tytiuniarzom palącym z krótkich zakrzywionych soldackich fajek; więc w owym dniu maceracyi, wyraz ten jego ust niezamaskowany luleczką, jeszcze dzikszą przybierał ironią. Odmawiając więc pacierze spluwał, a postrzegając się że właśnie mu ślinka przypomina miłą towarzyszkę, jeszcze mocniej spluwał, jakby na złego ducha i przychodziło aż do krztuszenia i kaszlu, który popijał wodą. Przepędzał ten dzień w osobnej komórce, w której nietylko fajki, ale nawet żadnej z swych

ulubionych ruchomości, jako to: fuzya, kordelas, obuszek niechciał mieć, a to z przyczyny następującej: kiedy razu jednego odbywając te swoje rekollekcye w własnej swojej kwaterze, a P. Sędzic Jacek Męciński, dobry sąsiad P. Grodeckiego niewiedząc o niczem zaszedł do niego i przywitawszy go rzekł: co ci jest Panie Zacharkiewicz żeś tak spaszował i fajeczki nawet niepalisz? Oj te niecnoty kamaszniki pozbawili ciebie zdrowia;— na te słowa kamasznik, Maciej porwawszy za fuzyę i zaśmiał się dziko, i niby z flegmą się ozwał: *das ist nichts?* kapusta kwas; — to jedyna była z jego dykteryi niemieckich, kiedy był w gniewie wielkim — krótkiej fajeczki niepalę, ale z tej dłuższej wypalę do ciebie kusicielu; — i już go brał na cel jak się należy, tak że Sędzic ledwie miał czas umknąć. Z czego potem P. Maciej ochłonąwszy mocno się kajał, i karząc się za tę impetyczność, skazał siebie na jeden dzień jeszcze postu fajkowego, a potem przy wszystkich ze łzami przepraszał Sędzica; ale już odtąd wszyscy wystrzegali zachodzić Mąciejowi drogę we dnie jego maceracyi: już przyjęto z P. Maciejem niegadać o kamaszach w dzień postu jego, bo w inne dnie to on sam z nich sobie żarty pocieszne stroił, i mawiał bywało: — bociek pijarski oduczył mię do kogutów strzelać, austryacki

fuchtel oduczył mnie gawronić i kamasze drzeć; to może przed śmiercią zjawi się trzeci jaki Salvator, co mnie i od tego utrapienia lulkowego wybawi, choć wprawdzie nieboszczyk major mój Rauchman, co pod Belgradem zginął, nieraz mi długo demonstrował; że w statecznem paleniu lulki jest wielka filozofia: alias, jak to oni po szwabsku mówią, system; i niema co mówić, gładko dowodził choć zwyczajnie po niemiecku i zawsze wściubiając *sintemahl* za każdą parą słów, co niby u nas znaczy: a więc, tylko że to u nas, mój *Herr Offizier* (to było przysłowie Macieja) to, a więc, nie tak kaducznie cięży na języku, jak to *sintemahl,* co jak laweta pod 24ª armatą cięży w szwabskiej mozgownicy. — A kiedy był w dobrym bardzo humorze P. Zacharkiewicz, to bywało tłómaczy swoim przyjaciołom, system P. Rauchmana: o czem się kiedy indziej jakie słówko może powie. Był przytem P. Zacharkiewicz niezmiernie czynny i ruchawy i zręczny, różne umiał roboy tokarskie, a prócz sztuki fejerwerkowej, rozmaitego rodzaju wyborne szczotki urządzał: od najmniejszej damskiej toaletowej, aż do pokojowej, i w tem miał niepospolite upodobanie, i rozdawał potem przyjaciołom i kobietom elegantkom. A że widać u tego majora Rauchmana nabył żyłki do dumania

i prandyczenia moralnego, więc na leżach zimowych upatrzył on sobie po swojemu system niby filozoficzny w szczotkarskiem rzemiośle, który dość był ciekawy; lecz z nim nielada przed kim się popisywał, bo miał swoje dziwactwa. — Nietylko z powodu swego przywiązania, lecz też że był porządny, czysty i skrzętny około siebie, nielada rachunkowy i oszczędny, P Grodecki go uznał za najprzydatniejszego do towarzyszenia Wojtkowi w podróży Wiedeńskiej. Z paniczem był poważny i bynajmniej niepoufalący się, ani też dopuszczał względem siebie uchybienia; zawsze doń mówił, Panie Wojciechu, a nie Panie Wojtku, jak wszyszy inni domownicy; co chłopca trochę żenowało, bo kochał bardzo starego P. Leitnanta Artylleryi, (nigdy on wyżej feldfebla rangi u Austryaków niedosłużył się, lecz ten forsztelunek był winien jedynie łaskawym sąsiadom P. Grodeckiego). Podczas choroby Wojtka, jak najczulsza matka dniem i nocą od łóżka jego nieodchodził, i w tedy go, Wojteczku mój nazywał; ale skoro chłopiec wyzdrowiał, w codziennem trybie mało z nim rozmawiał i bawił się, ściśle przestrzegając, ażeby w ubiorze, w zachowaniu porządku lekcyi przepisanego przez Mentzla był pilnym. Musiał mieć zawsze swój osobny pokoik, w którym wszystkie sprzęciki

i fuzyje i kordelasy, szczotkowy i tokarski warsztacik, jak w jakim małym Zeighauzie, najporządniej były urządzone. Wielka to była łaska, kiedy pozwalał Wojtkowi bawić się w nim w wolnych chwilach, a największa kiedy mu jaką z licznych dawnego swego życia przygód opowiadał, o które chłopiec jak o łakocie jakie dopraszał się i różnemi pochlebstwy za język go ciągnął i tumanił; ale stary postrzegłszy się na fortelu zwykle odpowiadał: — Panie Wojciechu, widzę WCPan karmiony szpakami, ale ja stary wronami, więc ruszajmy: WCPan do swej roboty mój *Herr Officier,* a ja do mojej. —

Ponieważ w półroku po przybyciu swojem do Wiednia, t. j. w Grudniu, Wojtek miał odbyć swoj examen ażeby być przyjętym do Teresianum: P. Mentzel kilku sprowadził dla Wojtka Professorów, zwłaszcza do niemieckiego języka i do Fizyki i Chemji, bo matematyczne w ich przystosowaniu do wojennej sztuki sam na siebie wziął, i na nikogo niechciał się w tej mierze spuścić. Przyjął także metrów: słynnego podówczas Kromera do skrzypców, do których wielką miał zdolność chłopiec; niejakiego Francuza Laforet do tańców i do fechtunków, bo był w obu tych kunsztach gimnastycznych wielce biegły a najzręczniejszy w boju na szpady i *le baton des basques.* Ze

wszystkich tych nauczycieli najmilsi byli Wojtkowi Kromer i Laforet: pierwszy dla swego nadzwyczajnego talentu i słodkiego ojcowskiego humoru; a drugi dla niezmiernej swej zwinności, rzutkości i zapału jaki umiał podniecać w fantazyi chłopca do kunsztów swoich. Był to 28 letni Bretończyk, małego wzrostu lecz silnego składu ciała i kształtny w swej całej osobie: twarz miał bladą zupełnie oszpeconą od ospy i z pierwszego wejrzenia nieco odrażającą; lecz w rozmowie, z pod czarnej gęstej brwi błyszczało dowcipne wesołe oko i jakiś dobroduszny zapał marsowy przyjemnie ożywiał jego rysy. Było w nim jednym jakby dwóch odrębnych, zagorzałych zuchów: tancmistrz i fechmistrz, a niewiadomo który prym trzymał: bo kiedy przyszedł dzień lekcyi tańców, przybywał w pończochach białych, jedwabnych i krótkich spodniach z trzewikami paryzkiemi jak ulanemi do nogi, ktorą miał bardzo foremną. Był cały w podrygach, w susach, w kołysaniach się jak ptak na gałęzi. Niemożna było w tedy żadnego ciągłego mieć z nim dyskursu pośród nieustannych: plié, battement, entrechats, jakiemi przeplatał swe słowa; a kiedy Wojtek, co więcej do broni był ochoczym jak do tańca, o fechtunkach mu wspominał: to on go gromił mówiąc, że cym-

bał, kluska, bez życia, nigdy niepojmie sztuki rycerskiej jeźli z gracyą się niepogodzi i nierozplącze swych zaspanych członków. Plótł mu o wojennym tańcu Korybantow, co tańcząc zabijali swych przeciwników; i skarżył się, że z nim, tak ospałym uczniem, sam utraci swoją sprężystość — i dalej go zapędzać do kontredansów, które ze zwykłym swym zapałem wyskakiwał, wołając co chwila: — Patrz WPan, to Duporta genre, a to pas młodego Westrysa; i ani słowa mu niedał mówić o fechtunkach.—

W dzień przeznaczony na lekcyę fechtunku, przybywał w spodniach długich i bócikach węgierskich z mocnemi obcasami, dla lepszego tupania podczas szermowania na szpady i pałasze, i zupełnie inną fantazyą przybierał; już nieunosił się na palcach, lecz stąpał silno i ciągle tuptał, i z wielkim zapałem zaprawiał do broni ucznia, zwłaszcza do szpady, w której Wojtek niepoślednią okazywał zręczność. Ponieważ te lekcye były bardzo mu miłe i nieraz był zachwycony nadzwyczajną biegłością swego metra, radby był bardzo żeby i P. Zacharkiewicz, o którego biegłości w krzyżowej sztuce dobrze wiedział, był przytomnym na której z jego lekcyi: więc go bywało bardzo prosi o to, ale Zacharkiewicz zawsze mu się obojętnie wymawiał: — Daj mnie Panie Wojciechu

czysty pokój, lekcyje to nie moja rzecz, a i bez tego słyszę dość krzyki WCPana Francuza: angard, sesa, *(c'est cela)* alą, bię i jakie tam licho, a ja tego języka nierozumiem, tylko wiem: że gdzie wiele krzyku tam mało szyku. —

— Jakto P. Porucznik taki sławny rębacz, to by mu serce się radowało żeby widział jak P. Laforet przedziwnie się bije. — Na te wasze cienkie rożenki z guzikami, co je floretami zowiecie, rzekł z szyderskim uśmiechem Zacharkiewicz. — Nie tylko na szpady, ale i na szable. — Pokaż mnie je WCPan? — Wojtek pobiegł do sali i przyniósł dwie zupełnie długie, proste klingi, tak nazwane rapiery, Espadony. Skoro je ujrzał Zacharkiewicz, przeżegnał się i rzekł: — I to u was szable? te długie niezgrabne kociuby? — Ale spróbuj je Poruczniku, spróbuj? — A tobym sobie rękę splugawił. — Ale żebyś P. Poruczniku wiedział co z niemi Laforet wyrabia? — Niech sobie wyrabia co chce, to nie moja rzecz mój *Herr Officier*, ale to ci tylko Zacharkiewicz powie: że w te kociuby nigdy żaden francuzki djabeł robić szablą nie nauczy, ani potrafi w to ażebyś pyska od szerpetyny pierwszego Łęczyczanina ustrzegł; a co do waszych rożenków, to co innego, to nie moja rzecz, daj mnie WCPan czysty pokój. — I nigdy już odtąd niezdołał Wojtek go

namówić na przypatrowanie się jego lekcyom fechtunków; sam też począł tracić ochotę do szermowania na pałasze, z czego niebardzo frasował się Laforet, bo mawiał: — że szermowanie pałaszem psuje rękę do szpady: a kiedy to zdanie zdziwiony Wojtek powtórzył Zacharkiewiczowi, to on na to rzekł, z przekąsem: — Czy tak? niechże Francuz WCPana prosi tylko Boga, ażeby jego rożenek nigdy niespotkał się z demechą Łęczycką — ale potem jakby zmiarkowawszy się, że ta uwaga nieprzydatna dla Wojtka, dodał: — co kraj to obyczaj mój *Herr Officier*, więc gdzie rożenki w modzie, ucz się P. Wojciechu rożenkiem wywijać, to nie moja rzecz. —

Miał pod ówczas P. Mentzel dobrą znajomość z niejakim Sabaudczykiem imieniem Turpin. Był on niegdyś Pułkownikiem wojsk Sardyńskich i słynnym z swych pism wojennych i nauki strategicznej. Po wypędzeniu panującego rodu w Turynie przez rewolucyą i wojska francuzkie, przeszedł on do służby Austryi i był wielce ceniony od Arcy Księcia Karola. Niecierpiał Francuzów, a zwłaszcza Bonapartego (którego nienazywał inaczej jeno, ten człowiek, cet homme) bardziej jeszcze jak Mentzel, luboć jego antypatia chłodniejszą i bardziej naukową przybierała barwę. —

Przywiązany duszą i ciałem do wyrugowanej z tronu rodziny sabaudzkiej, niecierpiał rewolucyi francuzkiej i jej następstwa; a ze wszystkich generałów francuzkich najnieznośniejszym mu był Bonaparte. Okrom więc stosunków zbliżających do siebie ludzi jednego rzemiosła, ta nadewszystko okoliczność była powodem i niejako sympatycznym pociągiem, który Mentzla ścisłą z nim przyjaźnią skojarzył.

MEMORANDA,

CZYLI

ŻYWOT STĘPLOWSKIEGO.

MEMORANDA,

CZYLI

ŻYWOT STĘPŁOWSKIEGO.

Pulvis es et in pulverem reverteris.

Dwie rzeczy nic do rzeczy, Mospanie: młodzika o radę pytać, a starego o krótką odpowiedź; bo w młodego mozgownicy fumy i niestateczne myśli, skwapliwszy do działania, jak do rozwagi — a staremu usta się niezamykają kiedy jemu ową jego złotą przeszłość na pamięć przywiedziesz; lecz trzecia rzecz, zda mi się najgorsza: kiedy to patrzysz na dziadka, a on, jak to Pismo Boże na jakiemś tam się miejscu wyraża: *puer centum annorum* stuletnie pachole, na włosach śnieg starości, a pod tym śniegiem w głowie' młode, lekkie myśli jak bańki u świstaka podrostka, a w sercu burze i rebellje jak u hajdamaki. — Oj Panie Franciszku, czas by się już opamiętać, czas, i przyjąć dobrze do serca owe: *pulvis es et in*

pulverem reverteris, które dzisiaj słyszałeś z ust szan. Ojca Jacka, kiedy ci starą czuprynę popiołem świętym posypywał. Jużci to prawdę mówiąc, w tej materyi napisało się Offertorium do dzisiejszej wotywy — porządny chorał na cztery partye: alt, tenor, dyszkant i bas, *cum solo organo* i to tylko z regestrem, bez żadnych, broń Boże, fafrów rzniętych lub dętych instrumentów, bez żadnych obligatów i fanfarońskich solów skrzypiec i wszetecznych fletów; lecz jak Bóg przykazał na manier mego zacnego Pana Gotlieba Albrechtbergera, co w Wiedniu był pierwszym Magistrem Contrapunctu muzyki kościelnej (swieć Boże nad duszą jego pobożną) z fugą posuwistą na finał. I rzeczy byłyby nie źle poszły, ale cóż kiedy ów niecnota wokalista Baryłkowski, dobry zresztą Mospanie bass, skrewił mnie w najważniejszem miejscu, bo mi niedotrzymał jak się należy gułki *Ge* i niewyraźnie dobywał z gardła te słowa, *pulvis es*, które snać mu niebyło dobrze wyschło po wczorajszej konsolacyi zapustnej: a na tych gułkach *pulvis es*, była (jak to mowią) cała forsa mego chorału; więc już go miałem dobrze przeżegnać smyczkiem; ale jakoś w tym nieforemnym ruchu ręki, z dopustu Bożego spadła mi szczypta popiołu O. Jacka z czupryny do oka, tak że mi pomimo-

wolnie łza się puściła i pomyślałem sobie: Panie Franciszku, a przypomnij sobie waszeć, ile to razy na świecie Bożym sam poturbowałeś przedziwną harmonią wielkiego moralnego koncertu Bożego w przykazaniach Jego świętych — więc dałem pokój Baryłkowskiemu, a teraz siedząc w mej komorze klasztornej i rozmyślając *amare nad* rozlicznemi defektami i fałszywemi akordami kompozycyi moich — boć to najwłaściwsza *in hoc quadragesimali tempore*, miałem to na baczeniu, że najpierwszy warunek dobrej pokuty jest: *redde quod debes.* — Przypomniałem sobie żem WCPanu Panie Karolu obiecał opisać jako tako przygody życia mego grzesznego. Oj brzydkoż to pobazgrana partytura prawdziwego partacza — akordów ex quinta fałszywych co niemiara, pożal się Boże — bo Franciszek Stęplowski to stary pozytyw, wszystkie w nim piszczałki podezelowane, jeno dwa regestra w nim cało pozostały: jeden, nadzieja w miłosierdziu Bożem: drugi, ufność w opiece litościwej Przenajświętszej Panny, Królowej Polskiej — oba słodkie, miękkie flety, co jak łza czyste płyną po kościele duszy i balsam pokoju na nią zlewają. Więc widzisz Panie Karolu że to nielada pokuta spełnić ci daną obietnicę; lecz i to sobie też uważam, a niejest to mi bez

pociechy, że czytając *delicta juventutis meae,* zechcesz pamiętać o duszy biednego Franciszka, kiedy już ona stanie przed straszliwym trybunałem Bożym, a o mojej Franusi wiem że także niezapominasz — choć, prawdę mówiąc, mam jakieś silne przekonanie, że ta gołąbka w chórze Aniołów już śpiewa wieczną symfonię miłości. — Gładkiego Pisania niemasz się też odemnie spodziewać, bo wiesz dobrze Panie Karolu że ja nie literat, przytem wiele już się w starej mozgownicy zatarło, wiele od ciężkich przygód w pamięci się stępiło; ale co Bóg dozwoli, to się powie wiernie i poczciwie bez przydatków niepotrzebnych — a też ładu wielkiego nieżądaj w gawędzie starego, bo to rzecz ludzi statecznych, u których rozum z dawna przewodzi nad sercem w świętym pokoju Chrystusa, a tak niebyło w życiu Franciszka Stęplowskiego. Oj niebyło, jakżeż ma być na starość? — Więc już zaczynam, bez dalszych ambages, *in nomine Patris et Filii et Spiritus sancti — Miserere mei Deus.* —

—Ojca i Matki nieznałem i mało wiem o nich. Dowiedziałem się później tylko z pewnością, że byli sobie małżonkowie prawi, że się niezwali Stęplowscy i że jakaś tajemnica nad moją kolebką zawisła, której nigdy, przyznam się

niebyłem bardzo ciekawy: bo co Pan Bóg przed człowiekiem ukrył, za tem człowiek nigdy bez swej szkody nieszperał. — Jakiś w podeszłym wieku Jegomość w myśliwem odzieniu dość sutem, zajechał kolasą pod wieczór do dworku Pana Strzębskiego gajowego Pana Hetmana Ogińskiego, który zawiadywał królikarnią i bażantarnią pałacową, co w ówczas była trochę o podal ogrodu zamkowego w Słonimie — miał z sobą mamkę mazurkę i niemowlę kilkomiesięczne — certował długo z Panem Strzębskim o przyjęcie i chodowanie dziecięcia; bo choć mu od razu ofiarował kiesę z dwiesto czerwonemi złotyma i przyrzekał solennie że po kilku leciech zabierze dziecię, — Strzębski, staruszek poczciwy lecz sierdzisty i skrupałat nielada, niechciał ani o tem słyszeć, z właszcza że nieznajomy odmawiał powiedzieć kto jest, i jeno ukazał metrykę świadczącą: że dziecię z szlachetnych generosis rodziców urodzone Karola Sł. i Fiamety de Castro, 4. Grudnia w Warszawie u Karmelitów ochrzczone przez Ks. Przeora; wspomnieni byli Kmotry: Włoch Viotti Kapelmejster Dworu J. Kr. Mości i Pani jakaś D'auvigni Francuzka. — Niebardzo zaspokajała P. Strzębskiego i owa metryka, zwłaszcza te cudzoziemskie imiona Kmotrów, mruczał więc pod nosem: Włochy, Francuzy,

jakieś zapewne adweny — a potem zdjąwszy okulary rzekł: Wielmożny Pan niechcesz mi nic o sobie powiedzieć i tylko mnie tentujesz swem złotem, a daruj mnie Wielmożny Pan, w temci najgorszy sęk, boć za dobry uczynek nietrzeba tentować Bogu dzięki starego Strzębskiego. — Ależ Panie Gajowy, to sierota, dla miłości Chrystusa Pana, tylko parę latek, a jaka wielka zasługa u Pana Boga. — Och tożto osobliwa zasługa parę latek, dali Pan, żeby takiego błazenka mógł człowiek sobie przybrać za swego, to jeszcze pół biedy, bo Bóg Strzębskiemu nieraczył dać dziatek; ale tak, na parę lat, człek się tylko znęci tem maleństwem a potem cię znowu puszczaj na ten wielki świat, który, z przeproszeniem Pańskiem, i ze złotem Pańskiem niewiele wart. — Tymczasem Pani Strzębska, staruszka słodka jak gołąbek, weszła do izby z dzieckiem na ręku; już ona wszystkiego dowiedziała się od Mazurki, i przyniosłszy do męża, rzekła cichym głosem: — Co ty stary niedźwiadku mruczysz? patrzno jaki to śliczny koteczek różowy jak wisienka, takiusienki jak nasz Jacek co go nam Pan Bóg zabrał: patrzaj jak rączki do ciebie ściąga; mruczże więc sobie niedźwiadku mój biały, a ja koteczka tego wezmę i nieoddam, bo to go-

ściniec Pana Jezusa, a potem będziesz mię prosił żebym ci go pokazała a ja go ci niedam. — Róbże sobie Wasani jak sama chcesz, rzekł już Strzębski, ale zobaczysz Wasani, że to jeszcze na dworze hetmańskim zrobią z tego jakieś fabuły. — Moja w tem rzecz Panie Gajowy, rzekł nieznajomy z pewną miną Pańską: bądź pewny że z tej strony niebędziecie mieli żadnego kłopotu. — Jeszcze chciał coś wspomnieć o kiesce ze złotem, lecz P. Strzębski przerwał mu mówiąc: — Niegadajcie mnie już ani słowa o tej mamonie, bo natychmiast sam wyprowadzę z domu mamkę z dzieckiem. Widzicie Panie co mamy w domku, to będzie i dla sieroty; proszę was niepsujcież mi już serca, bo widzę że mojej mateńce niedam rady. A teraz wypocznijcie i posilcie się trochę dobrym miodem kowieńskim, a przenocujcie z nami bo już noc późna — i wyszedł do swej staruszki dla przygotowania noclegu dla gościa. Lecz z wielkiem podziwieniem wróciwszy niezastał go już w izbie, dowiedział się tylko: że on po krótkiej rozmowie z mazurką, wyszedł z podwórka piechotą i wsiadłszy w kolasę znikł z oczu. To wszystko ci tak dokładnie wypisałem, bo mi n. P. Strzębska do brodzika moja, obyczajem swoim niewieścim nie raz, ale sto może podrobnie opowiadała. —

Pierwsze wrażenia niemowlęctwa mego były bardzo słodkie i ciche — prześliczne kwiaty ogródka Strzębskich, w których staruszka bardzo się kochała, zwłaszcza pewien gatunek róż białych centofolji, które były przeznaczone na ubieranie ołtarza jednego podczas Bożego Ciała, nadzwyczajnej piękności, tak że je w Słonimie nazywano od imienia Pani Strzębskiej, Dorotkami — białe króliki z czerwonemi jak rubiny oczkami, które krociami po murawie królikarni latały — szum jodłów przyległego boru, głos mojej staruszki, co pomimo wieku miała dziwnie czysty i rzewny jak łza, osobliwie w tej pieśni: o Matko Boska bądź matką naszą, i na którą ja potem fantazyą na fortepian skomponowałem, — a nadewszystko jeden wysoki dziwnie miękki ton *F.* waltorni maleńkiej, której miasto trąbki używał P. Strzębski dla dania co rana i co wieczór znaku gajowym podwładnym sobie że jest w domu, i puściwszy kilka krótkich niższych ostrych dźwięków w bór, kończył przedziwną jakąś zwrotką na owym boskim tonie *F.*, która długo, długo płynęła po cichym borze, i z ostatnim promykiem słońca gasła — wszystko to mi już w tedy dziecinne serce dziwną jakąś tęskną melodyą kołysało. — Nieraz, w dojrzałym wieku kiedy już o poczciwem życiu czło-

wiek przemyślał, bywało zagra mi w duszy ta pierwsza prześliczna śpiewka mojej doby dziecinnej, a w tedy porzucam wszystkie partytury i kompozycye jakie tylko mam pod ręką — wszystkie muzyki i instrumenta w świecie, bo takiej melodyi nigdzie nieznalazłem — i tak mi ona mocno szturmuje do serca, że łzy pomimowolnie płyną, choć wiesz Panie Karolu że ja nie płaksa i płaksów nielubię; więc bywało radbym pochwycić nutę tej wnętrznej śpiewki, choć cokolwiek, choć kilka okresów.— Ani sposób Mospanie; skoro się wezmę do fortepianu i do pióra, wnet pocznie śpiewka wnętrzna słabiej się odzywać, coraz ciszej i ciszej jakby jaki głos powoli odchodzącego anioła i jeno tylko z dala, kiedy niekiedy dźwięk Boski się ozwie jak na pożegnanie — a ja rzucam pióro i klawicymbał i padam wtedy przed obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, bo już niemam innego sposobu żebym do statku przywiódł zburzoną duszę. — Ale za to, Mospanie, po takiej przeprawie zawsze idzie się do spowiedzi i człowiekowi łżej na sercu, choć już nic tej muzyki dziwnej niepamięta, bo ona do żadnej ziemskiej niepodobna. W każdym ważnym wypadku życia mego, muzyka ta wnętrzna mnie nawiedzała, i mam ją sobie za przestrogę, że mnie coś czeka do czego trzeba

mi się dobrze przygotować; nie raz tą przestrogą wzgardziłem, ale mi to na złe wyszło — ale po co mi się o tem rozwodzić, boć może to się wydać błazeństwem, i jak to mówią zwykle, exageracyą Panów muzykusów — ale Bóg wie że prawdę mówię i dość mi na tem.

Pierwsze najmocniejsze wrażenie, które tylko zasięgnąć może pamięć moja dziecinna, następujący sprawił wypadek. Od kilku dni już niebyło P. Strzębskiego w domu, objeżdzał z P. Łubą Łowczym P. Hetmana i myśliwemi dworskiemi pewien zastęp puszczy Słonimskiej, w którym strzelcy pańscy obsaczyli byli niedźwiedzicę, z dwoma piastunami — dla uczynienia przygotowań należytych do łowów bardzo hucznych, które P. Hetman sprawić miał, jak powiadano, dla jakiegoś wielkiego gościa spodziewanego z Warszawy. — Babcia Dorotka (bo takiem ją z maleństwa przywykł nazywać) była w swojej ulubionej altance grochowej, którą do Ś. Tekli nieopuszczała, choć już jesień wszystko powarzyła, robiąc na klockach koronkę do towalni kościelnej — tam na godzinę przed południem siadywała, z robotą swoją, rzucając coraz okiem na duży murowany gołębnik z przeciwnej strony z po za starych lip ukazujący się. — Wszystkie bowiem liczyła pary gołębi do komórek wlatujących, i stosownie do gatunków

(albowiem było ich wiele rozmaitych i bardzo rzadkich) dawała im przezwiska pobożne, i tak: białe, pawiaste, najśliczniejsze nazywała niepokalanki, od Niepokalanego poczęcia N.P.M. — czerwoniawe, męczeniczki — ciemno szare, zakonniczki — wiszniowe z białą odmianą, Tereski, od S. patronki Karmelu i. t. d. a wszystkie mocno srokate, po prostu hołotą światową. — W jesiennej porze pilniej im się przypatrywała, i czyniła różne prognostyki z ich lotu, muskania się o przyszłej zimie. — Miałem pod ówczas może lat cztery, i jakąś sobie dudkę od Sulimy chłopca domowego byłem wyprosił, za co mnie Małgosia mamka mazurka (co ze mną się coraz srożej obchodziła) dobrze poszturchała, gromiąc, że się kumam z temi piskorzami litewskiemi: gdy pośród płaczu posłyszałem nagle ón prześliczny głos waltorni P. Strzębskiego, co jak promień z nieba, rozpędził nagle mój smutek — i wpadłem do ogródka nagle, mówiąc: — Babciu Dorotko! Jegomość blizko. — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

A. M. D. G.

WODY KRZESZOWICKIE.

PAMIĄTKI Z DZIENNIKA ŻYCIA MOJEGO.

A. M. D. G.

WODY KRZESZOWICKIE.

PAMIĄTKI Z DZIENNIKA ŻYCIA MOJEGO.

ROZDZIAŁ I.

Mój Boże na co to się dzisiaj oczy moje patrzały? jeszcze mi serce mocno bije i uspokoić się dobrze niemoże. Niewiem jak potrafię wiernie opisać szczególniejszy wypadek który mnie spotkał przed niewielą godzinami — a jednak trzeba tę rzecz koniecznie jakkolwiek skreślić, bo mi brat i siostra niedadzą pokoju za moim powrotem do Krzeszowic, będzie pytań bez końca: co mnie zmusiło w Alwerni zostać na noc? jak tak daleko mogłem się zapędzić w zwykłej przejażdżce konnej? A zdrowie? a przepisy doktorskie pogwałcone, a kąpiel opuszczona, a katar i przeziębienie? bo był to Maj dżdżysty i wieczory chłodne — słowem, czeka na mnie kweres i inkwizycya niemal hiszpańska w gronie tego poczciwego

Braterstwa; trzeba więc przygotować jakiekolwiek dokumenta, usprawiedliwiające moją niezwykłą wycieczkę, ażebym się mógł niemi składać przeciw impetycyi tych serc zbytnie troskliwych o mnie, zwłaszcza że ledwie miałem czas pchnąć posłańca do Brata, dając na prędce mego przenocowania w Alwerni najpierwszą przyczynę która mi przeleciała przez myśl — pono ochromienie konia mego kozaczka, bo o prawdziwej ani myślić było im wzmiankę czynić, takby ich była potrwożyła.—

Rzeczywiście zaś rzecz tak poszła: O trzeciej po południu stosownie do przepisu mego Pana Konsyliarza (bo u nas każdy lekarz Konsyliarz, choć go nie o radę ale o same zdrowie proszą), kazałem Ostapkowi osiodłać mi doświadczonego stępaka karosza. Wychodzę na dziedziniec, patrzę, a on mi wyprowadza dziarskiego czerkiesa, mego koleżkę 12 Ułańskiego pułku; szpak to był, na którym drzymać ani gawronić niepodobna, tylko trzeba było ciągle między uszy pilnie strzelać oczyma, a fantazya ani zdrowie moje niebyły po temu: więc markotny pytałem kozaczka o powód tego jego niespodzianego konceptu, a on się usprawiedliwił złem okuciem stępaka, a widząc moją jakowąś turbacyę, z zwykłym swoim kozackim rezonem rzekł: – Nyczoho Batku,

nechaj i Czerkies troche podywyt sia swit toj Lackij, i pohulaje po naszemu, bo szkoda dytyny, duże dawno w stajni skuczajeł, a Panowi bude na zdorowie. Nyczoho Batku, dobre ja mu łancuszek podpiał — a to mówiąc to w pysk konia całował, to głaskał podbródek, to pozierał na mnie błagającem okiem, jak Matka jaka co za swego chłopięcia się wstawia lubo wie że niecnota; więc mnie tyle swoją kozacką filokonią ucieszył, iż niewiele myśląc dosiadłem wspólnego naszego faworyta. Jakoż nie ma co mówić, począł on dobrze po swojemu podziwiać świat Lacki, z kopyta sadząc w górę jak szczupak; ale żeśmy się już z sobą dobrze znali, więc mu niepsułem zbytecznym rygorem fantazyi, a lubo przy kuracyi wodnej nie zupełnie mi przypadała do smaku rada Ostapka, trudno mi było wymówki czynić, bo on ciągle się odzywał za każdym susem Czerkiesa: — Nyczoho Batku, to zwyczajne dytyna zaskuczała, chocze troche pohulaty, bude Panowi na zdorowie; — a w krótce się pokazało że Ostapek dobrze poradził. Za Krzeszowicami udałem się w lewo, drogą prowadzącą do Alwerni, bom się chciał rychło dobrać do piasków sosnowego lasu o pół mili odległego, ażeby trochę na nim ukrócić rezonu Czerkiesa, który ciągle hulał po swojemu.

Prędkoć też stanęliśmy na równi starego Tęczyńskiego zamku, podle którego nigdy nie przejeżdżałem, żebym się niezatrzymał i niewstąpił do wspaniałych ruin, zkąd przecudny był widok; ale dzisiaj ani pomyślałem o takowej chętce, wiedząc jaka mnie czekała niepospolita komocya przy zsiadaniu i wsiadaniu na konia, który o żadnych pięknych widokach i pamiątkach ludzkich niechciał ani wiedzieć ani słysześ, tylko poczuwszy pot, jeszcze lepiej suwał w przód, po szerokim świecie Lackim. Owóż kiedy już tak pędząc, byliśmy tylko o dobrą staję od boru sosnowego, po przebyciu pewnego zakrętu drogi pod stopą góry zamkowej, doleciał nas rozpaczliwy krzyk niewieści, i nagle postrzegliśmy po drodze stojący kocz poczwórny, z którego kilka kobiet wyleciało w największem zamieszaniu, i wpadło w gęstwinę lasu za jakimś męczyzną, o ile można było dostrzedz z dala, bo wszystko to jak błyskawica z gromem mignęło nam przed oczyma. Jam się ozwał do Ostapka którego wzrok sokoli dobrze mi był wiadomy:— Stap widzisz? — Baczu Batku, to jakohoś licha tam nawaryły; nechaj Batko popustyt troche na woliu dytynu, to zaraz prawda pokażetsia. — Jakoż dogadzając woli Czerkies, w kilka minut z takim pędem doniósł mnie na

miejsce poczciwy koleżka, że aż ugodził łbem w pudło powozu, potem nagle się osadził na zadzie i parschnął ponuro, głowę i rozognione chrapy wyciągnąwszy ku borowi, jakby wietrzył coś w nim sobie nieprzyjaznego. Woźnica, który z konia powoził furmanką pięciokonną, ozwał się z fukiem: — Cóż tam znowu za paralus tłuce się kieby kret bez ślepia? — A ja oddawszy konia kozakowi, przyskoczyłem do powozu: — Co się stało? kto to jedzie? — W koczu siedziała tylko jedna panienka, jak widać było z twarzy i z ubioru cudzoziemka, z trwogą na mnię wytrzeszczyła oczy, kiwając głową i mówiąc tylko: no, no, na znak oczewisty że mnie nierozumie — pojrzał na mnie z pogardą furman stary wąsal, w czamarze zielonej wytartej, niby z węgierska szemerowanej z magierką na bakier, w stroju na wpół wojennem: — Paplacie jak człek co niewie co lepszego począć, kiedy ludziom bieda, a jemu głowa nieboli; miasto powozy rozwalać głową końską, wolelibyście tam oto pobiedz w te krzaki i pomódz naszej biednej Panience co z tem generałowiczem tyle ma kłopotu — i potem jęknął: — Och święty Floryanie! Kiedyż to się skończą te korowody; bo co las, to biedę mas. — Na takie słowa wpadłem w bór ku stronie ukazanej mi przez furmana; połamane gałęzie niższych

krzaków, wskazywały ścieszkę przemocą utartą, która miała mnie do celu mego doprowadzić; niedługo przedzierałem się przez krzewy, bo powtórny krzyk niewieści dał się słyszeć o kilka kroków tylko odemnie, za ogromną sosną która była na pograniczu niższych krzewów. — Jednym prawie skokiem znalazłem się u celu. Była tam mała polanka wśród rzadszego boru, pod sosną na w pół leżał na w pół siedział młody człowiek passujący się z jakąś ciężką niemocą, która zdawała się więcej trapić duch jego jak ciało: mógł mieć lat około dwadzieścia dwa. Gdyby nie bladość, ledwie nie śmiertelna, rozlana na całem obliczu, nigdy foremniejszych i szlachetniejszych rysów niezdarzyło mi się widzieć; charakter twarzy zupełnie był południowca, brwi mocno odznaczone, oczy czarne, wzrok choć omdlony smutkiem lecz tlejący się jakimś niedobrym ogniem, włosy także czarne, obfite, jak od burzy rozwiane w gęste kędziory, czoło wspaniałe i nad wyraz rozumne — szyja i piersi były obnażone, i strój jego w największem nieładzie; miał na sobie czamarę kroju huzarskiego z potrzebami, lecz zupełnie czarną, przez co mocniej jeszcze się odbijała przykra bladość oblicza — trzymał pistolet w prawej ręce, która mu konwulsyjnie zaklękła, jakby przez obawę aby mu go nie-

odjęto. Po prawym boku w sukience ciemnej, w kapelusiku słomianym klęczała młoda panienka trzymając drżącemi rączkami w swych objęciach młodzieńca: strój jej ciemny lecz wielce staranny, wielka delikatność rysów, wdzięk niewypowiedziany skromności, słodyczy, miłości z boleścią i męztwem najmocniejszej rezygnacyi połączony — wszystko to się mocno malowało w jej ciemnem jak sarneczki oku, na jej blado różowej twarzyczce niemal dziecinnej, (bo niewiem czy więcej szesnastu lat można było tej blondynce liczyć), po której ciche łzy ciągle płynęły, a oczy miała ku niebu podniesione — w milczeniu ustami ruszała, widocznie modliła się, jakby oczekiwała przemiany na lepsze w stanie młodzieńca, tylko za każdym jego poruszeniem mocniej go swojemi rączętami przytrzymywała. Po drugiej stronie klęczała także niewiasta już w podeszłym wieku, przyzwoicie ubrana, podpierała jedną ręką głowę słabemu, a drugą mu skronie pocierając rzeźwiącym spiritusem; przy nogach siedział na klęczkach stary sługa z wąsami, prawdziwy wiarus gęstej miny, ubrany z węgierska, jak woźnica któregom zdybał po drodzę — rozwijał chustki białe i podawał je starej damie dla przewiązywania głowy słabemu; trzymał on flaszeczki z spiritusami, sam ciągle się pa-

trzył w oczy młodzieńcowi, mówiąc z cicha:— Mój Boże, kiedyż to będzie temu koniec. —

Przerażony na ten widok dla mnie tak niespodziany, zatrzymałem się nieco pomimowoli, a że z boku przybiegłem, więc nie wpadłem w oko młodzieńca (co było więlkiem szczęściem); pierwsza mnie postrzegła sędziwa dama, pojrzała na mnie okiem czarnem, przenikliwem i bynajmniej niestrwożona mojem nagłem ukazaniem się, położyła tylko palce na usta i potem dala znak niemal rozkazujący ażebym od nich odstąpił. — Dostrzegła mnie także panienka, równie i sługa, ale oni na mnie niezważali, jakby mnie niebyło, co mnie jeszcze mocniej zmieszało, i już sam niewiedziałem co począć i jaką im pomoc przynieść; po kilku chwilach postanowiłem niezważając na przestrogę staruszki zapytać: w czem mógłbym im usłużyć.

W tem jak strzała z napiętego łuku wyrwał się z nadzwyczajną szybkością z rąk trzymających go młodzieniec, a kobiety krzyknęły i załamały ręce. On stanął na nogach lekko jak jelonek i poważnie, potem począł postępować przed sobą licząc każdy krok, doliczywszy sześciu, wrócił na pierwsze swoje miejsce — stanął w kroku jak człowiek który przeciwnika oczekuje, i gotuje się do walki — potem

wytężając ciągle wzrok przed sobą w las i dostrzegłszy że coś z dala majaczy się jak człowiek zbliżający się, począł wołać donośnym głosem — po kilku słowach zatrzymywał się, i coraz mocniej go podnosił: — *Capitaine Marat, me voila, les pas sont comptés, les temoins sont la. Assassin de mon ami et de mon honneur, tu ne m'echappera plus; voila un an que je t-attends tous les jours, pour te forcer a être un homme d'honneur, et te demander compte du sang de mon ami. Capitaine Marat à moi! Capitaine Marat à moi!* — Na te głosy coraz mocniej rozlegające się straszliwym echem po lesie, idąca ku nam postać zatrzymała się nieco, jakby wahając się i zamyślając a odwrocie. Postrzegłszy to młodzieniec zadrżał cały, i podniósł w górę pistolet, a panienka krzyknęła: — *mon Dieu le pistolet!* — Niebójcie się Generałowno nienabity, — rzekł do niej pocichu sługa: — niebójcie się: czy ja student, żeby trzymać w powozie pistolety nabite bez potrzeby? Uspokójcie się Generałowno, dajcie mu się trochę nakrzyczeć, a obaczycie że prędzej przeminie to chorubsko honorowe! — i stanął sługa ostrożnie za Panem swoim. Ten po kilku chwilach widząc próżnem swoje oczekiwanie, ciągle wzrok natężając przed sobą zawołał: — *Marat, tu doute encore, que je suis*

au rendezvous? Je te forcerai bien à me reconnaitre; tiens me voici! — i począł spiesznym krokiem do nieznajomego postępować. Wszyscyśmy już pomimo woli za mim pobiegli; wkrótce ukazał się przed nami, wysoki, barczysty rumianej, wesołej twarzy starzec: kapelusz ogromny słomiany, spadał mu na brew gęstą, wąs miał także potężny, był w parciance zblakowanego koloru granatowego z wyłogiem amarantowym, rozpiętej zupełnie, z pod której ukazywały się szerokie, amarantowe, spłowiałe hajdawery, na gołej szyi i piersiach mocno zarosłych i odkrytych wisiał szkaplerz i obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej; w jednej ręce trzymał pod pachą samotrzask z ptaszkami żywymi, w drugiej długą żerdź z lepem — u guzika wyższego kapoty wisiały różnego rodzaju wabiki, na niższym nasiek czyli potężna łaga dębowa, krzemieniem i ćwieczkami naszpikowana. — Nie dziw więc że mi z dala trudno było wyrozumieć tej dziwacznej postaci. Widząc już blizko siebie młodzieńca, stanął, złożył spokojnie samotrzask i żerdź, a nasiek wziął w prawą rękę, a zdjąwszy kapelusz i pociągnąwszy wąsa, rzekł uśmiechając się poważnie: — A co to dalej będzie? — Młodzieniec ciągle szedł ku niemu z pistoletem, stanąwszy na krok tylko przed nim, rzekł już

cichym głosem: — *Marat, me voici? Le premier coup est pour toi, c'est une chose convenue? voici ton pistolet* — i wyciągnął do niego pistolet. Starzec wyrwał mu go jak piórko z ręku, z zimną krwią opatrzył panewkę, dobył stępla i puścił w lufę, a przekonany o braku naboju ozwał się: — To widzę strachy na lachy, ja nie Mara ale katolik żyjący, Józef Koc, Porucznik kawaleryi narodowej. Ale Wasze Paniczyku ktoś jest? niezdaje mi się żebyś mi tu za trznadlami zabłądził. Patrz mi go, *qualis mihi*, z próżnym pistoletem po lesie fanfaronować; pono pojedynki z zającami chcesz wyprawiać; aleś na starego kota gracza natknął się, co dobrze ślepia wytrzeszcza. — Przy tem utkwił w młodzieńca wzrok przenikliwy i bystry, który przez ten czas jak posąg blady, zimny, nieruchomy stał, i wnet rzekł dotykając się czoła swego: — Przepraszam, widzi mi się że gospodarza w głowie niema, gdzieś wyjechał na chwilę; szkoda chłopca bo niczego z twarzy francuzik — Potem dobył szkaplerza z pod kapoty, przyłożył go do czoła młodzieńca i rzekł z wielką czułością: — Niech cię Matka Boska Częstochowska ratuje, i ma w swojej opiece przenajświętszej, — mówiąc zwolna: *fecit potentiam in brachio suo.* — Na te słowa młodzieniec jakby z ciężkiego snu prze-

budzony, głęboko westchnął, łzy mu się potokiem puściły, cały drżeć począł i słabym rzekł głosem, po polsku: o Matko moja! — Częstochow... Matko—potem skłonił się i padł na moje ręce i sługi, myśmy go ostrożnie złożyli pod drzewem, a kobiety wnet go otoczyły, i poczęły rzeźwić wódkami i przewiązywać głowę.

A Pan Koc: — A i Pan Szef tu? — potem uściskawszy mnie serdecznie — ale co to za awantura Szefie? — rzecze.

— Niewiem kochany kolego, bom ja także na chwilkę tylko przed Porucznikiem przybył: odbywałem zwykłą przejażdżkę konno, kiedy nagły krzyk niewieści dał się słyszeć, i ja tu przyleciałem na scenę którąśmy widzieli.

— Za pozwoleniem twojem Panie Szefie, muszę zajrzyć czy mi mała hołota moja niezrobiła jakiego figla, — potem zajrzał do samotrzasku, opatrzył pilnie: — nie, wszystko dobrze — i złożywszy go znowu ostrożnie na pieńku, rzekł do mnie:

— Trzeba tu w sukkurs przyjść tym Niewiastom, bo to choć *devotus femininus sexus*, ale z takiemi awanturnikami, to mulierculae rady niedadzą; patrzno Szefie co to się święci — i wskazał na młodzieńca który ciągle leżał bez zmysłów, blady jak nieboszczyk, aż z żalu serce się krajało; bo to oblicze przed chwilą

tak namiętne, było jakby uśpione słodkim snem, ciche i rzewne, rzekłbyś obraz świętego Sebastyana kiedy go strzałami przeszytego od drzewa odwiązano.

—Ja zaraz chciałem się rozmówić z temi damami, ale mnie kazały milczeć, sprobuję teraz raz jeszcze; — to wyrzekłszy, zbliżyłem się znowu do młodej Panienki która mi się zdała być wyrozumialszą od staruszki, a myśląc że są francuzki, jak najczystszym akcentem na jaki mi stało, ozwałem się: *En quoi pourions nous vous être utiles, nous sommes à votre service Mesdames.*—Panienka nieodwracając się ku mnie, ciągle zajęta trzeźwieniem młodzieńca, odpowiedziała skromnie po polsku, lecz trochę włoskim akcentem:—Dziękuję Panu za łaskę, ale tu tylko Bóg pomódz może nie ludzie, — i poczęła młodzieńcowi skronie przecierać ręką, ciągle się modląc.

—Piękneś to powiedziała moja Ponieneczko, ale lepiej jeszcze święty Augustyn: *qui te creavit sine te, non potest salvum te facere sine te,* to się znaczy: pracuj lichy człeku z Bogiem, jeźli chcesz być w niebie błogiem; ale chwała ci Panie że przecież Panienka po naszemu przemówiła, to się prędzej porozumiemy; próżno, próżno, nic wy tu moje *piae Mulierculae* same nie poradzicie z tym słabym Paniczem, bo to

widzę bardziej niedobre jakieś cherubsko duszy, jak ciała; — i ja mówię, mruknął pod nosem Wiarus — święte słowa Jegomości. — A więc, ozwał się dalej Koc, *quid statis otiosi?* trzeba dać pokój tym perfumom paryzkim, co mu pod nos stawiacie, bo to mu na nic, trzeba innego spirytusu żeby się niebożątko z tej niemocy wykichał. O ćwierć mili z tąd Alwernia, u Księdza Jacka Gwardyana jest dobra, wygodna prowincyalska cela, tam będzie wygoda dla duszy i ciała, i pomoc skuteczniejsza: jest też i moja chateczka niedaleko kościoła, nieosobliwa w prawdzie, alkierz i izdebka, kuchenka i lamusik; ale Bogu dzięki choć ubogo to przecie chędogo, bez śmiecia i wilgoci, *domus mundata scopis* choć *non ornata*, a tu wilgoć i już poźna pora. Ja dla państwa odstąpię całego domku z serca, wyniesą się kanarki i wielkie moje ptastwo ażeby nie wrzeszczało, bo ja mam także moją celę u Bernardynów. Ks. Jacek, *homo Dei,* poradzi na wszystko: zapraszam więc uniżenie do siebie. — To powiedział Koc salutując słomianym kapeluszem z pewną konfederacką fantazyą.

Sługa Wiarus znów się odezwał: — święte słowa Jegomości — potem podszedł do Panienki i Matrony, i coś im począł szeptać pokaleczoną francuzczyzną, ale widać było

że nakłaniał kobiety na propozycyą Pana Koca. —

Po chwili, Matrona podpierająca ciągle ręką głowę młodzieńca, rzekła do Porucznika z wielką powagą i uprzejmością, z wyraźnym akcentem włoskim: — *Nous profiterions de Votre grande charité Monsieur, mais comment transporter le malade dans cet état.* —

A Koc do mnie: — Ot zagadała do nas terefere, a mnie na starość nieuczyć się parle france. Panie Szefie, co mówi ta Starościna, bo to jakaś poważna Mulier. — Z gadza się, (odpowiedziałem) z wdzięcznością na twoją łaskawą gościnność, ale upatruje trudności w przeniesieniu chorego do powozu w takowym stanie, luboć on niedaleko stoi na drodze, o kroków kilkadziesiąt.

— Czy w tem sęk, rzecze Koc, to są *nugae;* odstąpcie się damy i damki! — *Mesdames, faites place,* rzekłem, *nous emporterons le malade,* — lecz te poczęły się wahać. — Panie służba, rzecze Koc do sługi, jak się wabisz? — Floryan, rzekł Wiarus wyprostowawszy się. — Dobrze mój kwiatku zwiędły w kościele, S. Floryan sam cię bierżmował, trzymaj mi to, — i podał mu do rąk wszystkie wabiki, a potem nasiek i kapelusz słomiany, i żerdź z lepem, mówiąc: — tylko broń cię Boże pogubić mi to, bo byś i mnie starego na wieki skonfundował. — Potem do mnie się

obrócił: — Panie Szefie, z przeproszeniem Waszej rangi, weźcie mi ten samotrzask, i przyrzeczcie że mi go ostrożnie do drogi poniesiecie, tylko do drogi. A oto tu drzwiczki; drzwiczkami ku sobie trzymać Panie Szefie, bo inaczej przepadną moje trznadle — i mówiąc to podawał mi samotrzask ostrożnie, i nieuspokoił się, pókim nieujął go w ręce tak jak on chciał, a ja ciągle mówiłem: — co to z tego będzie Panie Kocu, jakże ja z tem ci pomogę zanieść chorego. — Już pomogłeś — odezwał się spokojnie, a potem przykląkł przy młodzieńcu, objął go ostrożnie silnemi ramiony, i potem raźnie z nim powstał, i trzymał go w objęciu tak lekko i zręcznie, jak chłopięcia jakiego, tak że z podziwienia kobiety lekko krzyknęły. Koc się zatrzymał trochę i rzekł komenderującym tonem: — Iść mi na przód, i torować ścieszkę przez krzaki, żeby jaka gałęź niezawadziła o twarz Paniczyka, mnie nic to nieszkodzi, ale co innego z tym delikacikiem; — więceśmy wszyscy naprzód ruszyli. Kobiety szły naprzód z największą obawą i troskliwością obłamując gałęzie, i obzierając się na Koca. Ja niemogłem im podać ręki pomimo chęci kortezyi należnej, z powodu tego fatalnego samotrzasku, szedłem tuż przed Kocem, ostrzegając go o zawadach. Sługa z tyłu postępował; po drodzę odezwałem się:

— zmiłuj się Kocu, niechciałeś żebym ci pomógł, w twoim wieku ty się zmożesz. — Nic nie znaczy, odpowiedział, równym pewnym krokiem postępując z swym ciężarem. — Józef z Arymatei dobrzeć był stary, a niósł martwe ciało Pańskie. Ja także Józef: a choć grzesznik Koc, niezmoże go to paniątko, a też to jeszcze żywe Bogu dzięki, i żyć będzie, bo czuję jak mi na piersiach jego serce się tłucze. — Wkrótce szczęśliwie przybyliśmy do powozu, tam już pomogliśmy wraz z furmanem i sługą złożyć omdlałego w kocz, potem kobiety do niego wsiadły. Panienka z dziwnem rozrzewnieniem patrzała na Koca i chciała mu przez wdzięczność rękę ucałować, a stary na nią: — a pfe Mościa Starościanko, cóż znów, to ręka moja gruba i czarna jak ziemia, to nie dla Panienki taka podzięka, proszę tylko za starego Koca do Matki Boskiej westchnąć; — potem starłszy pot z czoła przeżegnał się, i rzekł wesoło: — trochę było duszno na piersiach ale to nic. Teraz Szefie gdzie mój samotrzask? A co, niezrobiłeś mi jakiego bałamuctwa? — Kiedym mu go oddał w całości bardzo się ucieszył, a potem do Wiarusa rzekł: — Kwiatku zwiędły, wabiki moje i nasiek. Oj jeźliś mnie zgubił wabik jaki, ani mi się pokazuj na oczy. — Są wszystkie, rzekł wiarus, z wielkim respektem oddając mu je do rąk

wraz z kapeluszem. Prosiłem starego ażeby na konia mego siadł, mówiłem: — Samotrzask na powóz wezmą, a ja na Ostapka konia siędę. — Oj! pojrzał na mego Czerkiesa który ciągle jeszcze był w wielkim rezonie, zaiskrzyły się staremu oczy. — Oj to widzę łepski drapak — a potem począł przepatrywać musztuk i rzekł do kozaka kładąc palce pod łańcuszek u podbródka: —to nadto mocno, któżbo tak widział, to się mu ganasze niewyrobią przy takiej niewoli. — A Ostap z miną humańskiego durnia: — Nyczoho Batku nasz, to tolko szob wołk jeho ne capnuł za borodu — a potem dodał pod nosem: — poprobuj no ty sam bez łancuszka stary bołtunja, czy z nim szo wskurasz. — Takusienkiego kubek w kubek zabito mi pod Kalwaryą, kiedy nas Drewiczowskie huzary obskoczyli; ale to już nie dla mnie jazda taka, a samotrzasku nikt niezawiezie, tylko ja sam go będę piastował; *per pedes apostolorum*, będę wam drogę pokazywał, bo ja tu wiem krótszą, proszę za mną. — I z samotrzaskiem, żerdzią, i słomianym kapeluszem, istny Robinson Kruzoe, za którym ja w mojem dzieciństwie przepadał, począł iść przed powozem, który z powodu słabego musiał bardzo zwolna postępować. Za pół godziny stanęliśmy w Alwerni przed dworkiem Koca: tam znieśli chorego na łoże starego Koca,

który wszystkie swoje kanarki i kwiatki kazał swemu chłopcu powynosić, potem oświadczywszy przezemnie damom wszelkie swoje posługi, wyszedł ze mną, bo już poźno było w noc, i kobiety potrzebowały spoczynku, a myśmy poszli do Bernardynów, gdzie nas Ks. Gwardyan Jacek na noc przyjął, z zwykłą swoją gościnnością.

Oto śliczna awantura, nie ma co mówić, ale proszę uniżenie, jakie ten niecnota Ostap miał przeczucie wyprowadzić mnie Czerkiesa: bo żeby nie dziarski mój koleżka, tobym był nie przybył na razie, a Koc byłby z samego początku udał się w inną stronę sam: bo mi potem mówił, że z dala postrzegłszy jakiegoś uwijającego się po lesie młodzika, mniemał że to jakiś szaławiła student z Krakowa, co się na wakacye wyrwał i psoty wyrabia, — a ja takim (mówił) z niemiecka tresowanym młodym małpom zawsze z pola uchodzę, bo mi się zaraz chce fuklować tych młokosów burszów, a to nieprzeliwki z moim nasiekiem, to nie rózeczka; ale poznawszy Pana Szefa, postanowiłem iść naprzód, bom miarkował że co innego się święci. Już czas iść spać. —

ROZDZIAŁ II.

Ale cóż to jest? powiedziałem sobie przeczytawszy wyżej opisany wypadek? Ale cóż to jest? Szef chciał mi dać do przejrzenia swój projekt do zgody w sprawie granicznej z Księciem Czetwertyńskim Kasztelanem Bracławskim, a tu jakaś romantyczna awantura opisana? I przerzucałem dalej z najwiękczą ciekawością plik papierów leżących przedemną, lecz żadnego ciągu rzeczy nieznalazłem, tylko raporta ekonomiczne, rachunki zbożowe, listy i odpowiedzi jurystów: zniecierpliwiony więc rzuciłem te szpargały i począłem przechadzać się po pokoju czekając z upragnieniem na Pana Szefa Rysinskiego.

Lecz powiesz znowu Siostro: któż to jest ten Pan Szef? bo nieraz mi mówiłaś, ty Bracie zawsze masz zwyczaj z pieca na łeb wprowadzać do twego dziennika jakieś nowe figury i gadać o nich i z niemi jakbym ja była wszystkiemu obecna, a zapominasz że już od dwóch lat niejesteśmy z sobą, a ja mam od ciebie przyrzeczenie braterskie być dokładnie uwiadomioną o wszystkich twoich małych czy wielkich przygodoch: bo wiesz dobrze że to jedyna moja pociecha w mojem po tobie sieroctwie.

Niezapomniałem, nie, i poprawię się kochana Siostrzyczko, zaraz się przekonasz: bo choć w mojej głowie często jak na końskim targu, huk, nieład i spory, w sercu mi głęboko utkwiły na zawsze, twoja słodka poważna twarz, i głos i najmniejsze twoje słówko, które niebawem do głowy porządek zaprowadzają; tak i teraz będzie da Bóg.

Więc prezentuję ci P. Szefa Karola Rysinskiego, jest to syn P. Starosty Zwinogrodzkiego, którego zapewne pamiętasz. Widywaliśmy go często w dzieciństwie naszem w Strzelcach w domu rodzicielskim; podobniusienki do nieboszczyka Starosty, równie przystojny, układny, żywy i wesołej fantazyi, tylko że staropolska kortezya Ojca przerobiła się w synie na szarmanteryą francuzką. Po śmierci żony i ostatnim podziale Polski, znękany na sercu temi straty, starosta Zwinogrodzki wyniósł się z Lubelskiego, i zakopał się w swoich dobrach w Bracławskiem dawnem województwie. — Dla Karolka, jedynaka swego, wypisał sobie z Genewy Francuza Szwajcara Guwernera, bo mu sąsiad jego P. Wojewodzic Lubelski Hryniewiecki, wielki gębacz i dobrze po Wolterowsku wypolerowany, a w którego Starosta jak w cztery tuzy wierzył, wyperswadował: że dla Karolka trzeba koniecznie mieć nauczyciela z Genewy, bo to

tam blizko zawołanego Ferneju, gdzie wszystkie rzeczy biorą się na rozum czysty od przcsądów. Podówczas także tylko co był wyszedł z druku on sławny list Pana Trembeckiego partyzanta domu Potockich, do Ks. Biskupa Warmińskiego, gdzie między innemi te były wiersze:

Zbędzie zgubnych przesądów i rozumu przetrze,
Kto ma szczęście ferneńskie oddychać powietrze.

A choć uczony Ks. Pijar Kopczyński zrobił raz uwagę Panu Staroście Zwinogrodzkiemu zachwycającemu się nad temi wierszami, że się po polsku nie mówi oddychać co, ale czem, i że takie licencie poetyczne gubią język — P. Starosta mimo siebie to puszczając powiadał sobie w duchu; — co tam gramatyka, to bakałarstwo, to dobre dla poczciwego Golańskiego, dla professora Pijarów; ale jaka w tych wierszach głęboka myśl, jaka szlachetna odwaga i dzielność filozoficznego myślenia, wystąpić z takiem zdaniem przed Biskupem? — Więc ta poezya P. Trembeckiego ustaliła w nim postanowienie sprowadzenia z Genewy Dyrektora, który za pośrednictwem Pana Wojewodzica Hryniewieckiego, za grube pieniądze przybył do domu P. Starosty i zajął się Karolkiem mającym lat podówczas dziesięć. — Był to Bakałarz ponury, dość biegły w łacińskiej i francuzkiej literaturze. Woltera niecierpiał, bo był

wielkim partyzantem jego Antagonisty filozoficznego Russa, ktorego dzieła prawie wszystkie na pamięć umiał. — Dawał lekcye porządnie, cierpliwie i pilnie, ale chłopca nieumiał przyhołubić sobie: bo to był człowiek zimny, a Karolek miał żywo w pamięci nieboszczkę swoią Matkę z domu Rzeczyckę, wielkiej pobożności i rozumu kobietę, bo nawet po łacinie czytała Naśladowanie Chrystusa, i z oficium Rakocianum modliła się; znała niemal wszystkich starych Pisarzy naszych Zygmuntowskich i poźniejszych, tylko się Wolterowskiemi i innemi podobnemi dziełami brzydziła, tak; że choć dobrze umiała po francuzku, nigdy tym językiem niechciała mówić, chyba z konieczności, a winna była te swoje rzadkie w niewiastach ukształcenie stryjowi swojemu Exjezuicie, który po kassacie zgromadzenia swego, skończył życie w wielkiej pobożności na łonie swej rodziny. —

Przeciwnie P. Starosta zupełnie był innej fantazyi; wychowany u Pijarów, lubo nieumiał po francuzku i był człowiek staropolskiej wiary i obyczajów chrześcijańskich, ciągle jednak wzdychał za francuzczyzną, za Wolterem i filozofią która podówczas panowała we Francyi, a którejon przy dworze Stanisława Augusta dobrze się był wyuczył — zazdrościł tym co mogą

czytać po francuzku ducha praw Monteskiego, Contrat Social Roussa i tym podobne dzieła; pragnął z serca żeby tych wielkich artystów zdania kiedy panowały w Rzeczypospolitej, a kiedy mu bywało żona skromnie przekładała: że ci autorowie na kościół katolicki i obyczaje jego powstawali, to on na to zwykle odpowiadał: — ale moja mon kier (te tylko słowa francuzkie zatrzymał w pamięci), to inna zupełnie kategorya, kościół nasz święty katolicki; *Christianus mihi nomen Catholicus cognomen*, ja Mościa Pani z tym hasłem żyłem i umrę, w tej mierze żadne mnie fabuly francuzkie nieuwiodą, bo te ich w tym względzie nowinki nie są lepsze od tych które za Zygmuntów u nas z Niemiec przywożono, a przecież Rzeszpospolita jakoś się z nich wykichała. Więc kościół nasz święty, to inna kategorya, a inna filozofia i polityka. My już mamy wiarę dobrą, ale trzebaby nam takich ludzi, jak oni tam mają teraz we Francyi przy tak wysokiej cywilizacyi, na przykład: Monckiego Monteskiego, a zobaczyłabyś moja mon kier jakby u nas rzeczy poszły. — Zwykle taka rozmowa między małżonkami na tem się kończyła; że Starościna mocno westchnęła, a on ją w rączkę pocałował, mówiąc: uspokój się moja *mon coeur*, wszak mnie znasz, — a że był człowiek raczej trwożliwego

umysłu, a dla bardzo miernych umysłowych zdolności, nie mógł zawsze z swojem religijnem przekonaniem pogodzić szczerej chęci wprowadzenia do Polski światła francuzkiego, więc dzielił te rzeczy w swej głowie na kategorye, i zawsze z niemi na plac wyjeżdżał; ale i to niezawsze pomagało, i nieraz po takiej konferencyi z żoną, skrupułami dręczony, brał się do rożańca i da oficium Rakocianum ktore z Starościną odmawiał. Także, pomimo całego zamiłowania francuzczyzny i lubo w ów czas wielu Panów polskich przybrało strój francuzki, on został przy narodowym, a kiedy go Wojewodzic Hryniewiecki namawiał na przebranie się rzekł tylko z westchnieniem po długiem namyśleniu się:
— Zapewne, rzecz by była przyzwoita, ale nie wypada, bo widzisz Wojewodzicu, frak bez języka francuzkiego, to jak chart Mospanie bez ogona. —

Łatwo już się domyślić, że Matka największy wpływ wywarła na syna, którego acz niepieściła nierozważną troskliwością, z poważną miłością wprawiała go do pobożnych zwyczajów katolickich, przy pomocy światłego Proboszcza Ks. Kanonika Łęczyckiego; mocno się troszczyła, ażeby stósownie do pojęcia wieku gruntowną nabył wiadomość religji. A jakby przewidując krótką metę życia swego, wcześnie wrażała

w umysł chłopca troskliwość wiary katolickiej, wystawiała mu niebezpieczeństwo na jakie ona była narażona w obecnym wieku, ćwiczyła go w łacinie a wpajała niemal odrazę do francuzczyzny, mówiąc: że umiejąc dobrze po łacinie, łatwo w poźniejszej porze wyuczy się tej, jak ona nazywała, paplaniny francuzkiej. Karolek był sprytny, wesołego temperamentu i czułego serca, lecz przy tem nad wyraz roztrzepany i kapryśny w nauce, więc mu w smak szło, że mu wielu językami głowy niezaprzątano. Matkę namiętnie kochał i poważał, więcej się lękał Ojca, ktory choć w staroświeckiej ryzie nie trzymał chłopca, przecież zimno się z nim obchodził, w rozumieniu: że Jejmość go pieści, że żadnego Francuza Guwernera niesprowadziła z obawy, żeby fantazyi od lekcyi niestracił, a ten żaczek łacinski (jak mawiał) przed poufałymi, papla cały dzień po polsku, albo *latinum hungaricum, qui facit tremare in castro* z Proboszczem, a po francuzku ani słówka nieumie; jednakże nieodzywał się z tem zdaniem w obec Starościny, dla tych swoich skrupułów o ktorych wyżej się rzekło.

Wszakże i po śmierci żony, kiedy Guwerner Szwajcar przybył, nieprzestały one napastować Starostę względem edukacyi syna; albowiem pierwszego święta, po przybyciu cudzoziemca,

wezwawczy go w kościele parafialnym do swej fundatorskiej ławki (bo sam Karolek zwykł przed ławką klęczeć z książeczką w ręku i do tego był już wdrożony od Matki), postrzegł Starosta że Pan Parisot ani przyklękał podczas podniesienia, ani się żegnał, ani żadnej niemiał przed sobą książki, słowem żadnego chrześcijańskiego znaku po sobie niedawał — niepomału zdumiał i zgorszył się: po skończonem więc nabożeństwie, wnet zaprosił do swej kancelaryi Ks. Proboszcza Łęczyckiego i Pana Guwernera, z którym po łacinie tylko rozmawiał nieposiadając innych zagranicznych języków. Ale że Starosta miał z natury piękną swadę Cyceroniańską, bawił się nawet i poezyą, składał ody wierszem Saficznym na cześć Werwicza, Jędrzeja Zamojskiego — epigrammata na przeciwne swemu stronnictwa sejmu czteroletniego, a trzymał się stale partyi królewskiej, i był lubiony od Stanisława Augusta dla swej niepospolitej urody, więc rozmowa następująca z Szwajcarem jako także biegłym łacinnikiem, płynnie się toczyła, z wielką układnością, boć Starosta sam był dworak. Zaprosiwszy siedzieć przybyłych, począł rzucać pytania o Genewie o charakterze narodu, o sławnym Russo, którego pod nieba wynosił, z dala skradając się jak lis do przedmiotu który mu był na sercu: a że mało mó-

wił o Wolterze, wiedząc że Szwajcarowi był niemiłym (nad czem jednak sam w duchu ubolewał), wprawił cudzoziemca w najlepszy humor; korzystając więc z dobrego usposobienia, niby od niechcenia z nienacka go zagadł: — Czy kościół katolicki w Genewie, ma też dostateczne fundusze i dobrych kaznodziei? — Szwajcar nieprzygotowany na taką interogacyą, nieco się zapłonił, potem z powagą kalwińską się ozwał: — Niemogę dać w tej mierze Illustrissimo dokładnego objaśnienia, musiałbym pierwej przepatrzyć moje notatki statystyczne. — Starosta na to coraz bardziej skrupułami dręczony, jakby się lękał dowiedzieć o całej prawdzie, która mu już z dala niemile w oczy zazierała, rzekł dwornie: — Tak zapewne, statystyka to inna kategorya a wiara nasza katolicka inna; — a Szwajcar na to: — O nie Illustrissime, nasza czysta religia wszystkie kategorye filozoficzne i scientificzne obejmuje w tych słowach Chrystusa, które nam każą wielbić Stwórcę wszech rzeczy *in spiritu et veritate.* — Tu się Proboszcz ozwał: — Niezawodnie, i na to Chrystus Pan postanowił kościół swój święty, ażeby wiernie przechowywał tego ducha i tę prawdę boską, przeciwko któremu *portae inferi non praevalebunt,* boć i to są także słowa Chrystusa Pana do Apostołów, i wszystkich ich w kościele Bożym następców:

qui vos audit me audit. — Szwajcar, z lekkim ironicznym uśmiechem rzekł: — Zacny nasz i uczony Predicator — Przerwał mu wnet raźnie Ks. Kanonik: — Przepraszam Pana Parisot, ja jestem acz niegodny sacerdos Parochus; bo, choć predikacya słowa Bożego jest jednym z najważniejszych obowiązków kapłana katolickiego, charakter atoli jego istotny jest na ofierze świętej ugruntowany, z której wszystkie jego inne obowiązki wypływają, bez której on niemoże być wiernym szafarzem Sakramentów i opowiadaczem słowa Pańskiego. — Concedo, rzekł dalej uśmiechając się zimny Szwajcar, że to jest doctrina Papizmu i niebędziemy się spierać, szanowny Panie, o formy religijne przez ludzi potworzone; czysta religia Ewangeliczna w wyższej sferze się znajduje, kiedy jej drogę toruje pochodnia filozofji. I nasz wielki Rousso płomienistą swoją duszą dobrze to pojął, kiedy tę pamiętną wyrzekł skargę: *que d'hommes entre Dieu et Vous.*

Na to już Proboszcz po polsku rzekł półgłosem do Starosty: — A widzi JWPan, niemówiłem ja zaraz, że to kalwin i może jeszcze co gorszego; a to piękna rzecz? co to będzie z Karolkiem?

Starosta przez cały czas tej krótkiej dyskussyi, najwyższą po sobie ukazował turbacyą.

ciągle Hiszpanki tabaczki zażywał z okrągłej złotej tabakiereczki, i częstował nią to Proboszcza to Szwajcara, uśmiechał się słodko na przemiany, to do Proboszcza, jakby dla złagodzenia jego polemiki, to znowu do Szwajcara niby podziwiając jego rozum, i wreszcie odkrząknąwszy kilka razy poważnie zabrał głos, mówiąc: — *Optime, optime eruditissimi Viri.* Jakto błogo z uczonemi mężami zbawienne mieć rozmowy, zawsze człowiek czegoś się nauczy i na starość, *Audiens*, *sapiens sapientior erit animadvertet verba sapientium et enigmata eorum.* Ks. Kanonik Dabrodziej wybornie wyłuszczył kategoryą kościoła naszego, a Dominus Parisot równie eminenter rozwinął kategoryą filozofji i rozumu. *Gaudeo*, *Gaudeo.* O! bo u mnie każda z tych dwóch ważnych kategoryi, ma swoje odrębne przywileje, odrębny zupełnie wydział, zupełnie odrębny, to moje wielkie *principium: ne misceantur sacra profanis, neque profana sacris,* wszystko *in pondere et mensura;* a teraz czas już nam na profana się udać, do kategoryi objadowej; — i począł wychodząc zapraszać na obiad. Szwajcar już milczał, ale kiedy Ks. Kanonik gorszący się słowy Starosty, chciał protestować przeciw kategoryom Starościńskim, on świadom jego nieugiętej polemiki, ciągle z dworszczyzną go zagadywał temi

słowy: — Złote twoje słowa Kanoniku: *ne misceantur sacra profanis.* — A Proboszcz tylko powtarzał: — Co to będzie z Karolkiem? — i tak jakoś się wyrwał Starosta, wszakże nie bez trudu z tej kollizyi polemicznej między kategoryami. U stołu z powodu gości, nietknięto już tej materyi: Starosta był rozmowniejszy jak za zwyczaj jednak mało jadł, i coraz trwożliwym okiem z ukosa pozierał na Syna; to wszystko wiem z relacyi ustnej samego Szefa, który po śmierci Ojca i Księdza Proboszcza w pozostałych po nim papierach całą tę scenę pociesznie opisaną znalazł.

Następujące zaś szczegóły o domie Rysinskich, i wiele innych o których tu będzie mowa, porządkując archiwum domowe Szefa, dla znalezienia pewnego starego, ważnego dyplomu Zygmuntowskiego, wyczytałem w adnotacyach maczkiem pisanych na obliwiturach kalendarzów politycznych, pod które były białe ćwiarteczki powszywane, z zachowaniem pilnem dat wypadków; intytulacya tych adnotacyi była taka: *Memoranda clarissimae stirpis Rysinsciorum desumpta ex colloquiis quotidianis cum Castellaneo et Canonico Curato in oppida K.* Podpis zaś był zawsze taki: — *Sufficit diei pralitia sua, hoc caput et manuscriptum vacuum.* — *Szczuka Subdapiferus Braclaw. Palat. Sod. Mar.* — Zapewnie jeden z przyjacioł domu.

Po objedzie, Starosta przewidając że się niezbędzie łacno admonicyi Proboszcza, pijąc kawę czarną, z fortelem dworskim stanął w oknie, a dla przyciągnienia nieznacznie do siebie Guwernera, pojrzawszy niby w ogród piękny, obfity w rabaty kwieciste, ozwał się tak do Pana Parisota: — *Eruditissime Domine Parisot,* czy w okolicach Genewy znana jest Alcea nasza rosea? — Szwajcar szybko postąpił do okna na to wezwanie bardzo mu miłe, bo był wielkim Botanistą tak z wrodzonej skłonności, jako też przez czułą pamięć na Russa zamiłowanie natury: — Wiem Excellent. że ten gatunek Alcei ma być wyłącznie płodem krainy polskiej; coś podobnego wprawdzie posiadam w mojej flora helvetica, ale ten exemplarz nie stanowi odrębnej familji Alceów, tylko *varietatem*: radbym więc za pozwoleniem Wasz. Excel. przypatrzyć się z blizka tutejszej Alcei, dla zdeterminowania jej dokładnego. — Tego już dawno pragnąłem, najchętniej rzecze Starosta, każe ci ją pokazać Domine mi — a potem uśmiechając się przerwał dalszą botaniczną dyskussyą, którą Szwajcar z zapałem już rozpoczynał, półgłosem doń mówiąc: — Ale bene, żebym niezapomniał *Domine mi*, proszę żeby nasza przedobjadowa konferencya scientyfizna, pozostała sub rosa enigmatem dla Karolka, bo to nie dla jego głowy

jeszcze takie rzeczy. — *Subintelligitur*, odpowiedział Guwerner. — A potem widzisz *Domine mi*, Rysinskich ród z łaski *Omnipotentis ab antiquis temporibus constanter*, bo nawet za Zygmuntów *fidem romanam profitetur*, a *Dominatio tua*, jeźli się niemylę, *in spiritu et veritate Domini Calvini* i jego zasad, *Deum tuum adoras*; więc widzi *Dominatio tua*, to są dwie zupełnie odrębne kategorye, o których Karolek niepowinien nic wiedzieć, których niepotrzeba mieszać, bo inaczej *perturbatio et confusio idearum* mogłyby łacno z tąd wyniknąć. Proszę więc *Dominationem tuam* żebyś kształcił jego mentem, piękną kulturą filozoficzną którą posiadasz, a kategoryi *fidei* nie tykać, bo o niej chłopiec ma już dostateczne pojęcie, jak na Rysinskiego przystało: o wiarę już Bogu dzięki nietroszczymy się, niech pozostanie ta *in statu quo, sufficit*; ale Rozum, Rozum, światło filozoficzne, o to prosiemy, te poruczamy Pańskiej troskliwości. — *Subintelligitur, subintelligitur Excel.* — odrzekł, ciągle potakując Szwajcar, a potem dodał kiedy się Pan Starosta cokolwiek zatrzymał: — umiem szanować swobodę sumienia *Excellentissime*, umiem się litować nad przesądami. Niech *Excell.* będzie pewny, że o tych rzeczach niebędzie mowy między mną a Pańskim synem, jak dojdzie intelligentia jego do dojrzałości za

staraniem naszem, najlepiej w ów czas potrafi sama uczynić wybór w jakiej formie powinna składać hołd *a l'Etre supreme. Enti supremi.* To wielki Russo miał za zasadę w Emilu. — Jak się cieszę, rzekł już wesoły Starosta że posłyszał parę słów francuzkich które udawał że niby zrozumiał — żeśmy się pojęli, daj Boże zawsze z rozumnemi mężami mieć do czynienia; więc uno *verbo*, zakończę moje życzenia względem Karolka: *In colloquiis tuis cum puero, de Deo parum aut nihil,* bo inna kategorya wiara nasza, a inna rozum. — Tak jest, rzecze także Szwajcar zadowolniony: *subintelligitur, de Deo parum aut nihil*, a jeszcze lepiej *nihil*, bo ta rzecz sama z siebie w umyśle oświeconym rozumie się. Bądź Wasza Excellencia zupełnie spokojny.

I tak się zakończyła rozmowa a parte Starosty z Guwernerem, a która choć była półgłosem prowadzona, nie uszła jednak usz Proboszcza, który niewiedząc (a może i udając że niewie) iż Starosta nie chce w tem jego udziału, jak z samego początku przy głośniejszej mowie przybliżył się także ku oknowi, tak potem z tamtąd się nieoddalił, lecz choć milczał, płoniejące, zapyrzone oblicze okazywało, jak mu te konszachty były niemiłe. — Postrzegł to baczny Starosta, wracając od okna do kom-

panji, i żeby w lepszy humor go wprowadzić, zaprosił zaraz do Rumel-pikieta, ulubionej gry Proboszcza. — Przyjął on to wezwanie z wyraźnym wstrętem, a tassując karty z żałosną miną ciągle powtarzał: — JWPan mnie niewierzył, a ja z pierwszego dnia ostrzegłem, że wlazł w oborę wilk. Co to będzie z Karolkiem? Coby to nieboszczka Jejmość powiedziała? — *Ne misceantur sacra prophanis,* rzecze uśmiechając się Starosta. Tego prawidła się od ciebie nauczyłem Kanoniku, i tego także od S. Pawła: *Non omnes Prophetae, non omnes Apostoli, unus sic, alius sic;* to inna kategorya, a to inna kochany Proboszczu. Co innego katechizm, a co innego rozum i filozofia. — Ależ Mości Starosto, pozwól sobie JWPan przełożyć: Pan tu jakieś kategorye wprowadzasz o których nic nie naucza kościół katolicki, i przytaczasz mi S. Pawła texta *non ad rem, propria interpretatione,* niegodzi się tak występować na plac z pismem świętem. *Increpa, argue, obsecra, importune, opportune.*

— Dobrze wybornie Proboszczu, to twoje piękne powołanie, to twoja rzecz, a nasza słuchać, poważać: *non omnes Prophetae, non omnes Doctores.* — Tak Panie Starosto, a po swojemu myślić i robić, ha, nieprawda? Oj szkoda naszych słów, bo to *predicatio in deserto,*

zwłaszcza od kiedy ten tu Apostoł Rousseau przybył. — Roussa, Roussa Księże Proboszczu, bo *au* wymawia się jak *o* po francuzku. — Dobrze, dobrze, *au* czy *o*, będzie Pan Starosta kiedyś o! o! wołał nad Karolkiem, kiedy go opęta ten bakałarz Genewski. Pożal się Boże; coby to nieboszczka Starościna na to powiedziała? — *Increpa, obsecra, argue, opportune, importune*, ciągle z słodkim uśmiechem odpowiadał grający Starosta na te przycinki Proboszcza: a że filut umyślnie foty robił i przegrywał do niego, więc w krótce tak udobruchał Kanonika, że mu się już nieprzykrzył w tej materyi.

Starosta jednak, acz się uzbrajał niby niezachwianym jakimś systematem w obec Proboszcza, tracił tę fantazyą skoro tylko z oczu mu schodził. Kapłan ten, będąc jeszcze przed kassatą zakonu przyjacielem Pana Podkomorzego Ojca Starosty, wielki wpływ na cały dom wywierał, a przez swoją naukę i cnoty, równie miał wziętość w całej okolicy. Wieku już dość podeszłego, lubo czerstwy na siłach i dobrze starszy od Starosty, poglądał zawsze na Podkomorzyca (jak go zwał czasem, zapomniawszy że już Starostą był i żonatym) jak na młodzika. Uroczyście też był przyrzekł umierającej Starościnie, że Karolka wychowańca

z oczu niespuści, i będzie wspierał rady swemi Pana Starostę. On go też na wzajem wielce szanował, i lękał się razem, bo mu zawsze kontrował Proboszcz w jego systemacie kategoryi, i były zawsze o to spory, jak ten ostatni, a Starosta ufny w swą dyplomatyczną zręczność, wprawdzie nic ważnego niepoczynał, zwłaszcza względem Karolka, bez wezwania go do rady, zawsze jednak rzecz w końcu wedle swego systematu pokierował, a wyrzuty Proboszcza zbywał zwykłą swą dworszczyzną. — Bo Proboszcz lubo przewagę brał nad jego umysłem, przekonania jego nigdy zupełnie niemógł zdobyć, dla tego; że lobo czytał książki francuzkie i znał dobrze ten jezyk, niebył wprawny do rozmowy francuzkiej, i miał do niej jakowąś odrazę, a kiedy czasem przyszło mu wmieszać imie jakie francuzkie, to je z namysłu wymawiał polskim trybem, wszystkie wymawiając zgłoski jak stały jedne po drugich, a czynił to zawsze przed Starostą dla okazania że on niedba o Starosty (jak go zwał) fanatyzm francuzki. Stary więc Rysinski coraz bardziej począł się wyłamywać z pod nadzoru duchownego Proboszcza, na co się nigdy nieodważał za życia Starościny, która najpiękniej tłomaczyła się po francuzku, a jako przezorna niewiasta, nieraz i tego sposobu używała z gośćmi; tak że by-

wało, kiedy mąż w jakiej ważnej rzeczy opierał się Jejmości najrozumniejszym wywodom, albo ją zbywał zwyczajnemi swemi kortezyami, to podczas takiej z obcemi francuzkiej konwersacyi, dziarsko wąsa pokręcał i pasa poprawiał a patrzał na przytomnych i na żonę z jakąś wesołą pychą jakby mówił; a co? Mospanie? Prawda? gada jak książka francuzka. — A kiedy się goście rozjechali, to zwykle z wielkiem przymileniem całował w rękę żonę, mówiąc z zalotnością nowożeńca: — Moja, mon kier, jakżeś mi ślicznie konwersowała dzisiaj: to już *foi de Starosta*, Pani de Żanlis za nic. Ślicznie, ślicznie. A jak czysta francuzczyzna! a najśliczniejsza Marysienka umie kiedy chce, o umie; ale niechce zawsze, niechce, Marysienka się droży z swoim rozumem, szkoda; ale jak chce Marysienka nas uszczęśliwić swoją elokwencią, to niech się wszystkie Marmontele schowają. Prawda Panie Cześniku? — Bo z temi czułemi exwisceraciami występował nawet w gronie poufałych; a w ów czas Starościna byle mu tylko rzuciła słówko, o rzeczy jakiej na którą wprzód go namówić nie mogła, wnet całując ją w paluszek od rączki, przystawał na wszystko mówiąc: — Co ty zrobisz Marysienko i powiesz, wszystko święte, dobre, wszystko tak być musi i będzie. *Foi de Starosta.* —

Wiedział o tem dobrze Proboszcz, postrzegłszy więc po śmierci Starościny że jego rady względem Karolka mało już robią wrażenia na Staroście, który go za namową P. Hryniewieckiego spodjazdował w sprowadzeniu Szwajcara kalwina na Guwernera Karolka — niezraził się jednak w swem gorliwem czuwaniu nad wychowaniem jego — a kiedy jego uwagi w tym względzie niebyły przyjmowane, to zwykle kończył temi słowy: — Coby na to powiedziała nieboszczka Pani Starościna! —

Jakoż w istocie to był argument ad hominem, którego Starosta nigdy niemógł zwalczyć dobrze swemi zwycięzkiemi kategoryami, i zwykle tylko westchnął i o czem innem rozmowę rozpoczynał. Tak się też i stało w owym dniu konferencyi scientyficznej z Proboszczem i Guwernerem: dawszy za przyczynę, że potrzebuje mieć z rana przy sobie kogoś, któryby mu jego pacierze łacinskie przy ubieraniu się czytał, z powodu zapalenia w prawem oku, które niby od niejakiegoś czasu doznawał, oświadczył przez Cześnika Szczukę Panu Parisot: że Karolek, który dotąd miał wspólną kwaterę z Guwernerem, będzie w jego łazience obok jego pokoju sypiał, a po rannych pacierzach uda się na lekcye do Pana Guwernera, pod którego okiem już cały dzień zostawać miał chłopiec.

Ale to była zwykła *pia fraus* Pana Starosty, który najzdrowsze miał oczy w świecie, całe oficium Rakocianum umiał na pamięć, i niepotrzebował w tem żadnego pomocnika, jeno przez zwykłą sobie dworszczyznę lękał się zrażać Guwernera, okazując mu jakąś nieufność w kategoryi religji — i zaraz po tej determinacyi rzekł do Cześnika: — Tym sposobem niebędzie mi się już przykrzył Ks. Kanonik tem ciągłem gderaniem o principia katolickie Karolka, o *exercitia spiritualia,* bo ze mną chłopiec będzie zmawiał pacierze swoje *i acta fidei,* a z Guwernerem będzie rozum i filozofię kultywował; bo cała rzecz jest w tem, żeby niezaniedbywać tych dwóch kategoryi, mieszając razem to, co powinno odrębnie być zupełnie. I może mi już da pokój Kanonik z tą ustawiczną invokacią nieboszczki żony (Panie świeć nad jej świętą i rozumną duszą): coby to Pani Starościna powiedziała na to? Miły Boże, — dodał ocierając łzę — coć by miała powiedzieć moja kochana Marysienka? oto, że mi po jej niczem niewynagrodzonej stracie, świat obmierzł, i podzielił się w oczach moich, na dwie kategorye: w jednej świeci pamiątka jej świętej duszy, i tam mi błogo; w drugiej tylko chaos, *indigestaque moles* zgryzot, to jest okrop na dla mnie kategorya. A jednak, jak zawsze tak

i teraz niemoże być na świecie bez kategoryi. Toby zapewne powiedziała moja Marysienka, a nie jakieś tam konkluzye, o których spekuluje głowa Ks. Kanonika. Prawda Panie Cześniku, że to są odrębne kategorye, a bez nich nic? — Wielka prawda Mości Starosto. Ja tu w Pańskim szanownym domu pojąłem dobrze; chyba byłbym ostatnim hebesem żebym nie pojął: jak JWPan, choć Pan i nigdy niestawałeś u kratek, i chyba tylko z nieboszczykiem Jegomością przypatrywałeś się Palestrze Lubelskiej, paradnie pojąłeś kategorye nasze jurystowskie, że je do wszystkiego umiesz zasto sować, i do Filozofji i do Teologji, do Ekonomiki, zgoła wszędzie. Bo też to z JWPana nie lada Montesquieu statysta.

— Doświadczenie, Dwór, ożenienie, łaska Króla Jegomości, to mi dało świata widzieć, nic więcej: *non omnes Prophetae, non omnes Doctores, etc. etc.* Ale to jakoś człowiek przy pomocy Bożej napadł czczęśliwie na *principium fundamentale et vitale*, i to mu dało świat widzieć. Gdzieby to się już było zabrnęło, miły Jezu, gdyby nie *principium philosophico-morale* kategoryi. — A potem kończąc rozmowę, dodał z niejakąś trwożliwością, kładąc palce na ustach: — Ale Cześniku *sub rosa,* Waszmość mnie rozumiesz? więc mu *mentem* odkrywam,

ale *non omnes possunt portare verbum*, są różne naukowe usposobienia, *unus sic, alius sic*; naprzykład, między nami niówiąc: Ks. Kanonik *homo Dei*, prawdziwy teolog i kanonista jak mało w naszych stronach, ale ma swój systemat odrębny; ma, ma, i w tem jest *pertinax*, bo to nasi szanowni Ojcowie Societatis, zawsze po swojemu chcieli myślić: Molina lepszy u nich od Tomasza z Akwinu, *subintelligitur* nie w rzeczach dogmatycznych, ale *in dubiis*, gdzie *libertatem* daje kościół, więc mają i oni swoje kategorye — rzekł, uśmiechając się filucko — a mnie Kanonik niepozwala mieć swoich. Ale trafiła kosa na kamień. Z tem wszystkiem to najzacniejszy kapłan, którego *ex intimo corde* szacuję: więc Cześniku, to między nami tylko pozostanie. *In fidei dogmatibus veritas, in dubiis libertas, in omnibus scientia;* to zawsze nam w konwikcie Ks. Magister powtarzał, a ja się trzymam tego jak pijany płota Mospanie: to tu są trzy kategorye, a ja tylko sobie dwie zostawiłem. Co innego Katechizm, a co innego Filozofia i rozum; a cóż by ja na świecie począł bez tych kategoryi; *non misceantur sacra profanis.* — Niezawodnie, odrzekł skromnie Cześnik, — i na tem się skończyła podówczas ta poufała rozmowa.

ROZDZIAŁ III.

Za namową także Ks. Proboszcza i po konferencyi spólnej z Szwajcarem Guwernerem, zgodzono się na pewny porządek w studyach Karolka. — Ks. Proboszcz jak dotąd, prócz religijnej, podjął się na dal lekcyi języka łacinskiego, przytem wykładał *humaniora*, *logicam, rhetoricam* i początki fizyki, ściśle trzymając się porządku w konwiktach Jezuickich niegdyś zachowanego, w których sam za młodu był Professorem. P. Parisot wziął na siebie obowiązek dawania języka francuzkiego, literatury, historyi powszechnej, geografji i sferam armilarem, matematyki elementarnej, języka niemieckiego. Sprowadzono także z Berdyczewa starego Stęplowskiego, słynnego w kapeli sławnej Ks. Michała Lubomirskiego z wielkim talentem Skrzypcistę, który grywał nawet dueta z Punianim przed Królem Jegomością, lecz dla nałogu trunkowego, stracił po części swoją wziętość; wszakże, ponieważ na dewocyi od kilku lat już bawił przy kościele Karmelitańskim w Berdyczewie, i rekomendacye pozyskał od Ks. Przeora Daniela, przyjętym został dla ćwiczenia w muzyce chłopca. —

Każdą zaś konferencyą takową z Ks. Proboszczem i Szwajcarem, Starosta zwykł temi

konkludować słowy: — *Doctissimi viri!* mnie już niedługo na tym świecie, *dies mei pauci et breves*, karyery też żadnej *in hoc statu rerum* dla mego Karolka nieupatruję, ani jej życzyć sobie mogę: *fuit Ilium, fuimus Iroes et ingens gloria Dardanum!* A teraz, w którą stronę okiem rzucę, nigdzie niewidzę przyzwoitego pola dla estymy i konsyderacyi, *neque in sacro, neque in toga;* bo jakiejże tu klamki dworskiej się trzymać *in hac impartita dolorosa innihilatione reipublicae.* Niepozostaje więc synowi mojemu, przy znacznej ojcowiznie jaka *Deo dante* nań spadnie, jeno zasługiwać sobie na renomę kawalera ukształconego, ażeby mógł być z światła exemplarz dla ziomków; boć niewiadomo co i jak kiedy będzie: a po odbytych studyach wojażować mu też trzeba, zwiedzić kraje owe słynne z rozumu. Do tego więc tylko Wasze zbawienne usiłowania, *eruditissimi Viri,* mogą *puerum* przysposobić, i na nich zupełnie polegam. —

A takowe i tym podobne allokucye zwykle Ks. Proboszcz wychodząc już, konkludował: — Co tam renoma kawalera ukształconego: każdy dobry szlachcic, *kawaler natus.* Jak będzie pilny w naukach i poczciwy, nieskażonej wiary katolik, to bez wojażów i światła teraźniejszego zagranicznego, będzie dobrym obywatelem, a

bez tego, to i z Paryża nieprzywiezie oleju w głowie. — Na co zawsze też replikował Starosta uśmiechając się: — *Et haec facienda, et haec non omittenda* Kanoniku: dobra rzecz poczciwość i wiara, dobra światło i Filozofia; to kategorye odrębne, *ne misceantur sacra profanis*. — A już Pan Starosta do swoich kategoryi się bierze, trzeba z pola uchodzić. — Jakoż, te nieszczęśliwe kategorye, zawsze Proboszcza nagliły do odwrotu, bo wiedział że daremny byłby o to spór, a przecież niemogł nigdy na sobie przemódz ażeby obojętnem milczeniem je pokryć, i mawiał nieraz do Pana Szczuki, który się dziwował czasem, że on taką małą rzecz kontrawał Staroście: — Waspan Lubelczyk, tego nierozumiesz, i bierzesz te kategorye po jurystowsku, jak stary *quia*; ale u Starosty co innego się święci pod temi niedorzecznemi dystynkcyami. Ja Staroście ich nigdy niemogę przepuścić bez animadwersyi bo sacerdos sum, a Chrystus nazwał milczących w takim razie sług swoich, psami, *muti canes*; bo *qui tacet consentire videtur*. Widzi Wasan, to nie dla Wasana, boś dworak. —

Niektórzy z przyjaciol poważnych radzili ażeby podrostka oddał już, albo do konwiktu Pijarskiego do Warszawy, albo do słynnego podówczas pensionu francuzkiego we Lwowie

P. Gleza, gdzie się chowały dzieci magnatów nietylko gallicyjskich ale i innych podziałów Polski. Lecz pierwszemu projektowi stał na mocnej zawadzie, jako wychowanemu u Jezuitów, jego wstręt do Pijarów, na których patrzał, jako na tryumfujących adwersarzy Societatis. I Ks. Konarskiego nawet nie lubił, lubo on pierwszy Polskę począł pismami swemi namawiać do francuzkiej literatury i języka: bo zdaniem jego, robił to na złość, *in odium Societatis,* która mocniej łaciny się trzymała, lubo wielu z jej członków doskonale posiadało język francuzki. W tem zdaniu swojem był silnie podpartym przez Ks. Proboszcza. Na pension Pana Gleza także niemógł się zgodzić, raz dla tego: że P. Wojewodzic Hryniewiecki zapewniał go, iż stary Glez nieprzestrzega ażeby dzieci prócz lekcyi po francuzku między sobą mówiły, że mają zły akcent; a drudzy ostrzegli że w przyzwoitej ich ryzie nie trzyma, i trafiło się raz na rekreacyi na górze zamkowej: że Wojewodzic Gr. barczysty wyrostek, tak dobrze zmiótł słabszego Kasztelanica R., że on w koziołki musiał potoczyć się ze szczytu aż pod stopy góry, i tylko piasek ratował go od nadwerężenia karku. —

Dla tych więc powodów, jako też i przez słabość ku jedynakowi, którą w prawdzie

umiał pokrywać, wolał do czasu przestać na domowem wychowaniu: ubolewał wprawdzie nad tem, bo mu były z doświadczenia znane korzyści niezaprzeczone wychowania publicznego, jako też przeciwne im, złe skutki domatorstwa — miał więc projekt w zanadrzu, z którym się taił przed Proboszczem, i tylko Cześnikowi i Szwajcarowi się zwierzał go, którzy go w nim potwierdzali, bo pono sam Szwajcar go podał. W piętnastym roku Karolek miał być wysłanym z Guwernerem do Drezdna, gdzieby i Dworowi przyjaznemu Polsce, słynnemu z etykiety francuzkiej mógł się przypatrzyć, i wejść w stosunki z rodzinami polskiemi zostającemi przy dworze saskim z któremi łączyła Starostę dawna przyjaźń i wspomnienia Króla Stanisława — przy tem uczęszczać na kursa akademickie i doskonalić się w talentach, kawalerowi dobrej renomy właściwych.

Takie tedy były plany Starosty, względnie edukacyi Syna, a Korolek jakże im odpowiedział? Jak wszystkie dzieci, dla których dobrze wyrachowane przy stoliku projekta edukacyjne ułożą, nieporachowawszy się wprzód z wrodzonemi skłonnościami dziecięcia; rachunki to dobre, lecz zawodzą, bo robione bez oberżysty.

Dziwaczne też w tem chłopięciu spotkały się i sprzęgły charaktery przeciwne rodziców,

bo każdego cecha wybitna, ukazywała się w jego umyśle już w tej rannej porze wieku, jeno w zupełnie przeciwnych kierunkach, i tak: stałość, rozsądek, i dowcip Matki, dostały się w podział Karolkowi, w rzeczach pospolitych życia, w jego iż tak rzekę zewnętrznych pozorach — wcześnie więc okazywał wielką ochotę i wytrwałość do gymnastyki, do porządku i czystości, zręczność do wszystkich mechanicznych zatrudnień, umysł jego był trafny z nanatury do rzeczy praktycznych, i dla tego matematyczne nauki w swem zastosowaniu do życia towarzyskiego, zwłaszcza do wojennej sztuki, szły mu łatwo i sporo. Podobnie nauki przyrodzone, o ile mu wskazano związek ich z pożytkiem materyalnym, zwłaszcza historya nowych wynalazków z któremi awanturnicze wypadki były połączone, mocno go zajmowała. — Dumał dniem i nocą nad Kolumbem nad Lapejruzem, Cokiem, Beniowskiego i P. Dzierżanowskiego królowanie nad jakiemiś nowo odkrytemi wyspami, było jego marzeniem najulubieńszem, i w tych wszystkich kategoryach, mówiąc stylem Ojca, niemało ukazywał statku, sprytu i wybornej pamięci. Przeciwnie w naukach moralnych, a nawet religijnych, w tem wszystkiem co nieukazywało mu się ściśle powiązanem z działalnością codzienną ruchawego

życia, co było tylko prawidłem ogólnem i przedmiotem czystej myśli — odziedziczył po Ojcu lekkość, niemożność zastanawiania się głębszego, wstręt od pracy umysłowej, od zdania sobie sprawy z tego co jego serce mocno czuło, a z rozumem do myślenia niewprawnem niemógł pogodzić: także filutstwo ojcowskie w wykręcaniu się zręcznem od lekcyi i kwestyi które mu nieprzypadały do smaku. Było w nim więc jak dwoje chłopiąt różnych w jednym ciele: w ulubionej swojej sferze praktycznej był to wyrostek dziarski, dowcipny z dobrze wyparzoną gębą, a nawet na zuchwałego zakrawał — w materyach umysłowych trwożliwym żakiem a czasem hebesem się ukazywał — wdrożony do praktyk pobożnych przez Matkę i Ks. Proboszcza, przestrzegał je pilnie, przez długi czas po jej zgonie; lecz bardziej jak pamiątkę po drogiej Matce, którą ubóstwiał, niżeli z głęboko wszczepionego uczucia, do którego krótkie życie Matki, i oziębłość powierzchowna Ojca doprowadzić go niemogły, wszakże tak miał serce czułe: że dla zawstydzenia go do łez nawet, z powodu opuczczonego pacierza lub niedbalstwa w lekcyi religijnej, dość było żeby Ks. Kanonik ozwał się temi słowy: otóż to czego z Waści była by się doczekała nieboszczka Starościna. —

Do Scwajcara Guwernera zimnego obejścia się nigdy niemógł przywyknąć, lecz go się więcej lękał jak Ks. Proboszcza — bo ten jego wybryki, małemi cielesnemi pokutami poskramiał, a Szwajcar wszystko na rozum chciał brać, a strofowania jego były długie hryje patetyczne, deklamacye wedle systematu Roussa w Emilu — ale za to częściej go oskarżał przed Jegomością jak Ks. Proboszcz, który plackami i klęczeniem się kontentował. A najgorzej było dla chłopca kiedy się sprawa wytoczyła przed Jegomością, zwłaszcza o niedbalstwo w lekcyach francuzkiej literatury, bo musiał za pokutę zmawiać Nowennę do Ś. Wincentego a Paulo na intencyę pozyskania za pośrednictwem jego *donum linguae gallicae*. Bez postu i dyscypliny też się nieobeszło, którą sam Starosta już aplikował, pamiętny na zwyczaje Societatis; niespuszczając się na Proboszcza który raczej wstawiał się za chłopcem w podobnych ciężkich przeprawach. Do Proboszcza możeby najmocniej przystało serce jego dziecinne, gdyby nie lekcye i pensa łacińskie — bo to był kapłan dziwnie czułej duszy, przywiązany do całej rodzini, i często mu przywodził przykłady świątobliwego życia Matki; ale właśnie dla tej swojej gorliwości, przez pamięć na przestrogi nieboszczki Starościny, z obawy obojętności

Starosty na wpływy Szwajcara, zdało mu się że w ciasnych klubach trzeba trzymać chłopca: nietylko więc mu niefolgował w łacinie i innych lekcyach jemu powierzonych, ale jeszcze różnemi go admonicyami suto opatrywał *contra malas suggestiones scientiae qua inflat,* jak zwykł mawiać, pod którą figurą chłopiec rychło zrozumiał że się jego P. Parisot ukrywa. Wszakże wsród lekcyi tylko stawił mu się surowo Kanonik, w innych zaś chwilach umiał sobie przyhołubić chłopca opowiadaniem dziejów krajowych a z właszcza wypadków pamiętnych konfederacyi barskiej; po takich rozmowach zawsze potem z Szwajcarem gorzej lekcya poszła.

Po dwóch leciech ukazały się skutki tego trybu wychowania: w matematyce, geografji, fizyce i w języku francuzkim, znaczne postępy uczynił — bo Szwajcar trafny w dostrzeżeniu skłonności dziecinnych, wystawiał te przedmioty jako wielce ważne, w życiu czynnem i przedsiębierczem, do którego Karolek okazywał wyraźną namiętność; w historyi był tępym, do czego nie mało przyczyniały się kontrowersye jakich w tej mierze musiał być świadkiem między Proboszczem i Szwajcarem, a które zwykle toczyły się około faktów tyczących się kościoła katolickiego. Kanonik wietrzył

o sto mil, iż tak rzekę, *propositiorem erroream* lub *scandalosam* w sexternach Pana Parisot, i zaraz występował przeciw niej z całą swoją gruntowną polemiką, która na tem się konczyła: że w takich przedmiotach Szwajcar z uśmiechem sardonicznym odsyłał chłopca do Kanonika, mówiąc: *c'est l'affaire du Chanoine, il Vous arangera cela à sa manière;* — a przeciwnie, ilekroć chłopiec znużony lekcyą łaciny albo logiki, zaczepiął Kanonika o jakichś odkryciach nowych wysp, albo o podróżach około świata, to on mu odpowiadał: — Waspanu się chce amplifikacyi, nowinek literackich? masz tam swego Pedagoga a la Roussa, to jego rzecz a mnie tu trzeba co innego. — W łacinie i przedmiotach dawanych przez Kanonika, z początku dość był pilnym, ale w miarę jak mu poczęły więcej smakować francuzczyzna i czytanie podróży, i herborizacye po spacerach — to i łacina i pensa Ks. Proboszcza coraz mu były przykrzejszemi. Zaprawiał go Szwajcar do śmiałego skakania przez rowy, wdzierania się na szczyty drzew najwyższych, do urządzenia sobie samemu młynków, samotrzasków i różnych machin projektowanych opatrzywszy go w narzędzia stolarskie, zawsze mu (wedle systematu Emila) wystawując: że młody człowiek tak się powinien usposobić, ażeby mógł

sam sobie ile możności wystarczyć, nikogo niepotrzebować i do wszelkich przedsięwzięć być zdolnym. — Ciągłe powtarzanie, że tylko ten człowiek który z naturą umie obcować i z jej księgi czytać jak przystoi na filozofa, może się wznieść nad poziom ludzi i uniknąć ich skażenia — ciągle ruchowe życie (bo Szwajcar niektóre lekcye swoje począł wedle systemu swego po spacerach wykładać), to wszystko tak mu rozbijało fantazyę, że coraz niezdolniejszym był porządnej szkolnej pracy. Postrzegł to z wielkim żalem serca Kanonik — na różne sposoby brał się wskrzesić w umyśle Karolka zapał do systematycznej nauki, do rzymskich klassyków, do Horacego, do Wirgilego, do Zygmuntowskich naszych Pisarzy — narzekał na te ustawiczne exkursye i herborizacye, na tę stratę czasu, gdzie tylko paplaninę *Vox, Vox praetereaque nihil*, i roztrzepanie zbiera się po polach — że Starościca chce Pan Parisot chyba na Aptekarza formować, każąc mu zbierać te *simplitia*, i napychając mu głowę ich nomenklaturą *latinis barbarismis* upstrzoną, bo *botanicam*, jakiej mu trzeba, po odbyciu kursu filosoficznego za parę niedziel mógłby łacno wyuczyć się. Na to wszystko żalił się tylko przed Starostą, który go zwykłemi swemi fortelami zbywał obojętnie; z Chłopcem zaś ostrożniej

postępował, bo miarkował dobrze, że już trzeba było folgować z dawnej karności temu, który się sam już z niej coraz śmielej wyłamywał. Karolek jednak, pomimo już sporej zarozumiałości z postępów w francuzczyznie i kredytu coraz większego który przez to widocznie nabierał w oczach Ojca, nieodrazu się potrafił wydobyć z pod jarzma łaciny Ks. Kanonika. Zawsze w obec jego tracił swój rezon, a że kochał po swojemu staruszka, który mu tyle dziwnych historyi o Księdzu Marku opowiadał i o rzezi humańskiej — więc się biedził zasmucać go nieukostwem i brał się na fortele; bywało przed lekcyą na którą źle był przygotowany, rzecze: — Ach Ksże Kanoniku, cóż też mi się śniło? dziwnie bardzo; jakiś staruszek kapłan, upominał mnie i mówił: pamiętaj Waść dobrze się uczyć i szanować Ksdza Kanonika — a kto Ksiądz? odezwałem się — Łuskina, będzie się za tobą modlił. — Kanonik trochę wierzył trochę nie, ale zawsze się rozdobruchał, począł prawić o życiu Ksdza Łuskiny, który umarł *in odore sanctitatis.*

ROZDZIAŁ IV.

Coraz tedy więcej edukacya szwajcarska *à la Rousso* zaczęła przemagać nad pojezuicką, wszakże nie bez częstych mocnych kollizyi ich promotorów, to jest, Ks. Kanonika i P. Parisot. Wytaczały się szęsto te spory przed Starostą, który zwykłym swoim trybem jak niegdyś hetmańską władzą, był medyatorum *inter Maiestatem et libertatem* — ale medyacya jego coraz tylko zaciętszemi robiła strony, bo jakto mówią: na dwóch stołkach siedząc, każdą jeszcze bardziej oburzał — a o kategoryach niedał sobie już nawet wspomnieć Proboszcz, nawet i do minus Parisot ich filozoficzną płytkość począł wykrywać, i na tym punkcie (jak tego często widziemy przykłady w dziejach stronnictw i oppozycyi) czasem Filozof łączył się z Księdzem przeciw Medyatorowi i potężnie nań następowali łączną siłą argumentacyi *ad hominem,* — a już Starosta więc z całą swoją grzeczną filuleryą, dworszczyzną, i wprawą do kojenia rozróżnionych umysłów w ciężkich był obrotach i trudno mu było placu dotrzymać, bo i traktowanie hiszpanką, i grzeczności każdemu z antagonistów rzucane niemogły wymódz na Szwajcarze, ażeby wychodząc z konferencyi nie oświadczył: — że jeźli jego systema eduka-

cyjne tyle znajduje oppozycyi w Ksdzu Kanoniku, a u Starosty tak dwuznaczną approbacyą, to on, jako sumienny człowiek, niewie jak długo może się zajmować wychowaniem Karolka, bo niezmieni swoich zasad, ani swego przekonania, więc chyba z placu ustąpi. — Na tokową protestacyę po wyjściu P. Parisot, zwykle poruszony cokolwiek Kanonik replikował: — *mea pace* — choćby i dzisiaj — jedna sroka z płotu a dziesięć na płot — mamy ich tu dosyć krajowych, żeby jeszcze o zagraniczne się frasować; — na co już z wyraźną boleścią odzywał się Starosta: — ależ *Illustrissime in dogmatibus veritas, in dubiis libertas, in omnibus charitas*; to *Societatis et Ecclesiae matris nostrae* jest święte prawidło, toć mnie Waszmość nie raz sam wrażał; niech mi więc wolno i tu tę zasadę przypomnieć. — JWPan zawsze *propria interpretatione* texta święte i kościelne principia wykładasz, to nie idzie: bo *cum duo dicunt, idem non est idem*; do nóg upadam. — To wyrzekłszy poważnie pożegnał Starostę Kanonik. —

Karolek, lubo niewiedział nic o tych dyskusyach, skutków jednak onych niewesołych na sobie doświadczał — zwykle bowiem, w następujących po nich lekcyach, tak przez Szwajcara jak przez Ks. Proboszcza, w większym był

rygorze trzymany i niemógł pojąć z kąd te nagłe chmury nań spadały.

Tak więc coraz bardziej tracił swej raźnej wrodzonej fantazyi, a zapał który chwilowo Szwajcar potrafił w nim wzbudzić do swoich przedmiotów, począł widocznie stygnąć; będąc już wprawnym w języku francuzkim, postrzegłszy ile przez to pozyskał względów Ojca, przy braku umulacyi, tej dzielnej sprężyny wychowania publicznego, w krótce się stał nieczułym na perory Szwajcara o dalsze postępy w naukach, a drażliwym na ugryzki Proboszcza o łacinę — przytem pomyślne rozwijanie się jego sił fizycznych przy nieskażonych obyczajach, fantazya nader rozkołysana deklamacyami o naturze, o wojażach, niebezpiecznie w pływały na jego charakter — po Matce odziedziczona stateczność, na jakąś nieugiętość fantastyczną poczęła się w nim przekształcać. Już w swoich wybrykach nieudawał się do figlarstwa, ale rezonem począł nadrabiać, a mocniej strofowany w niezwykłe wieku swemu dumania się zanurzał. Miał sobie do posługi przydanego staruszka wysłużonego, Kaspra, niegdyś pachołka nieboszczyka Dziada pułkownika Omecińskiego który, wojaczką z swoim Panem w konfederacyi barskiej i w Ameryce z P. Kazimierzem Puławskim się bawił; wierny, trze-

żwy — *quondam* wielki rębacz — a przytem stary lis i fabulista. Z tym więc Panicz i z jego synem Maćkiem podrostkiem, który czasem Ojcu w usługach pomagał, najmilsze miał ukradkiem rozhowory, a im więcej mu lekcye dokuczały, tem mu była milsza gawęda z inwalidem, który mu co się wlazło plótł i łgał o Ameryce i o Puławskim i o Demulierze — o szabelce i koniku, przez co stary wyjadacz wkradł się w łaski paniczowskie, ubolewając nie raz nad tem: że Starościczka te bakałarze na śmierć zamęczą, a przecież, mawiał, niema z niego być bakałarz jeno generał; a niech mnie wszystkie bomby razem w brzuch wlecą, jeźli z ciebie Starościczku, niebędzie generał i to zuch. Czego oni ciebie męczą? —

Takim trybem edukacya ta domowa postępowała przez lat pięć, łatwo więc domyślić się można, że Karolkowi mającemu już szesnasty rok, coraz nieznośniejszem było jego położenie, i różne mu się myśli po głowie snuły: zrobił się ponurym i coraz tępszym w lekcyach, zwłaszcza kiedy raz, ktoś z gości, przywiózł nowinę, że P. Dąbrowski pod opieką francuzkiego Rządu o jakichś legijonach zamyśla. —

Przerwać musiałem, bo w tym momencie kiedym to pisał wszedł Szef co tylko co z Kra-

kowa wrócił — ja go chciałem zaraz zapytać o tej jego leśnej awanturze koło Alwerni, ale on po przywitaniu zaraz mnie zagadł: — Co piszą? — Kiedym mu pokazał dziennik i on przeczytał ostatnie słowa — bo wiedział że wszystko notuję dla ciebie siostro, i chwalił ten zwyczaj zapisywania dziennych wypadków — wpadł w dobry humor, i zaraz tak ciągnął rzecz — (a ja już niesmiałem mu przerywać o awanturze w Alwerni, żeby mu fantazyi nie popsuć): — «I to była najniebezpieczniejsza chwiła młodości mojej. Nieboszczka swą modlitwą w niebie wyratowała mnie z głupiego szału, bo niewiem coby się ze mnie stało. Skrzypcistę Stęplowskiego nam wymodliła. O Stęplowski! Stęplowski! ja cię nigdy niezapomnę; i teraz, po tylu już leciech, ja legionista, z sercem które świat tylu głupstwami pomiął i popaskudził, ja o tobie Stęplowski mój staruszku niemogę bez łez mówić.» — Ale to musi być jakiś osobliwszy muzykus, rzekłem, który ciebie mój Szefie w taki entuzyazm wprawia. Ty co jesteś sam niełada amator, i tak mało zazwyczaj entuzyazmujący się, z twoją dewizą: *nil admirari.* —

— A więc widzisz, przerwał poruszony, że to coś musi być w tem, kiedy ja, jak mnie znasz, un homme positif, może aż nadto, niemogę o

Stęplowskim Skrzypciście z zimną krwią mówić; ale dajmy o tem pokoj, bo żebym wszystko ci powiedział, to albo byś mnie miał za dziwoląga, albo... albo ja byłbym przestał być twoim przyjacielem gdybyś się ty rozśmiał, a kto wie może byś się rozśmiał: a mnie Stęplowski, widzisz wrósł tu w serce tak głęboko, że jego pamięci drasnąć niemożna bez zadania mi ciężkiej rany. *Allons, allons c'est un enfantillage.* — I potych słowach wyszedł zaraz z pokoju Szef. Nigdym go tak gorąco biorącego rzeczy niewidział, niezraziłem się jednak jego wymówką, bo mi wielce ciekawość był zaostrzył tym kaprysem: a widząc dobrą porę i wesoły humor, począłem go prosić już poważnie o historyą Stęplowskiego: — bo ja przyjacielu, rzekłem, twojej młodocianej bijografji, którejś mnie tak poczciwie udzielił, nigdy niezrozumiem dobrze bez Stęplowskiego; to chyba mnie masz za niegodnego powiernika szlachetnych twoich uczuciów, bo oczewiście ten Stęplowski w nich wielką grać rolę musi. —

—Mylisz się (rzekł Szef, po długiej rozwadze), wiesz czem mi jesteś; ale jeźli lękałem się i dotąd ociągam się wchodzić w te szczeguły, to dla tego jedynie że wiem, aż nadto, iż moja paplanina spaskudzi, zniweczy tylko ten najświętszej piękności obraz mego kochanego sta-

ruszka co w mem sercu tak jest żywym, ani ci odbije w setnej części jego przecudnego blasku; bo te rzeczy serca, mojem zdaniem, są jak puszek skrzydełek motylich: zaledwie ich dotkniem niezgrabną ręką, pełzną i tracą wszystkie barwy. Ach! a to nie romanse tylko szczera prawda; ale ja ci niczego odmówić niemogę, bo wiem że ty znasz się na prostych poczciwych duszach, więc już jak da Bóg, opowiem. —

ROZDZIAŁ V.

USTĘP MUZYKALNY.

A toż znowu po jakiemu? — odpisałaś mi kochana Siostro, przeczytawszy dotąd te ćwiartki mego dziennika — prawiłeś mi o wychowaniu młodego Karolka, a teraz mi znowu jak w kołku na murze Szejnekatarynki pokazujesz nagle faciatę już podżyłego Szefa, i za nim jakiegoś muzykusa? i o awanturze tej w lesie zapomniałeś? Zmiłuj się, jak tu trafić do końca z temi ciągłemi twojemi ustępami?— A ja na to ci powiem: pamiętasz nieboszczyka Łoskiewicza co jak o jednej historyi zaczął prawić, to się dziesięć do niej po drodze czepiało— i musiał je rad czy nie, wszystkie do pierwszej

wplatać przez wieczne parentezes, póki o pocie czoła, niewydobył z grubego zmudnego kłębka swej powieści wielką nić i poplątane z nią najmniejsze nitki. Niebyło z nim rady, trzeba było przechodzić z nim przez wszystkie jego parentezy aż do konkluzyi, jak przez zakamarki starego Zamku do sali godowej; bo to był człowiek *plenus sermonibus*, ilekroć go zaczepiono o dawnych czasach. —

Otóż to i ja nieumiem inaczej choć nietyle rzeczy dawnych i poważnych widziałem, radbym tylko jego mieć wytrwałość, tak rozsądnie konkludować i tak porządnie z jednej materyi do drugiej przechodzić — *sed non omnes Doctores*, mówię i ja z moim Starostą Rysinskim — każdy jednak wedle siłeczki swej powinien pracować, więc będę się starał da Bóg, ze wszystkiego wywiązać się, i zdać sprawę przy końcu: *patientiam habe in me, omnia tibi reddam:* niezapomniało się, nie, o awanturze leśnej, ani o dalszych wypadkach wychowania Karolka, i wrócimy do nich; owszem, żeby je lepiej objaśnić, przytaczam tu wiernie następujące opowiadanie już niemłodego Szefa Karola, o człowieku który tak wielki miał wpływ na jego młodocianym umyśle — bo moje słowa słabo bardzo by oddały te pamiątki, co ten poczciwy Szef z wielką prostotą i szlachetną czułością

serca, tak żywo malował — bo jak był pospolicie zimnym i maniernym zbytnie zwłaszcza w salonach, tak w chwilach pewnego usposobienia i w gronie przyjacioł był nad wyraz wymownym i serdecznym.

Owóż tedy Szef, zapowiedziawszy słudze że z rana wizyt nieprzyjmuje z powodu zdrowia, — bo niechciał aby naszą gawędę przerwano, co mu tak była na sercu — począł nakładać w milczeniu swoją dużą piankową fajkę, co zawsze u niego było zapowiednią długiej i ważnej konferencyi — ja także swoją urządziłem i siadłem przed kominkiem do ognia obrócony, położywszy dobrą straż przy ustach, ażebym jaką nietrafną przedwczesną kwestyą nie popsuł mu fantazyi — bośmy się znali jak złe szelągi, a już nieraz niebacznym słówkiem przerwałem mu wenę — tak że on bardzo jakąś zajmującą ciekawą rzecz, która mu wrzała w sercu i już miała z zwykłą serdecznością wybuchnąć, jakby sparaliżowany kilku zimnemi frazesami z ust wykrztusił — a w tedy nic już na razie z niego niedobyłeś. Wiedziałem o tem dobrze, więc nawet nań niepatrzałem przed zaczęciem rozmowy — bo i to niebyło bezpiecznem — takiej był szczególnej fantazyi, że i wzrokiem nie w porę rzuconym, można go było z tropu zbić; wszystkie zaś te ostrożności były tylko po-

rzebne, przed rozpoczęciem dyalogu, bo skoro się wezbrała i puściła swobodnie jego swada— w tedy sam szukał oczu towarzysza i można już było bezkarnie szermować z nim językiem.

Szef przechadzając się w zdłuż i w szerz pokoju niespokojnym krokiem, rzekł nakoniec po chwili: —

— Ja wiem Albercie, że ty lubisz myzykę i masz duszę muzykalną, ale niewiem czy ci potrafię wytłomaczyć, czem ona była dla mnie przez całe życie moje, a zwłaszcza w mej młodości: rajem, czyścem, niebem, a czasem i piekłem, ale daleko częściej, czyścem i rajem. O mój Boże, co jest dla mnie dotychczas trio umierającego Komandora, Donżuana i Leporella, albo finał pierwszego aktu, kiedy niewinność, honor, miłość, cnota, pogarda, wszystkie oburzonej ludzkości głosy przebiegając całą skalę ognistych namiętności, z wściekłością się splatają w jeden olbrzymi chór zemsty, który coraz rośnie, rośnie jak Ocean rozhukany i bije aż pod niebiosa — w którym tyle i tak rozmaitych głosów, dziecinnego jęku, głos męża, płacz niewieści, wrzask gminu przelatuje, błyskawicznie krzyżuje się — zapala jeden drugiego, sam coraz mocniejszym ogniem płonie, a żaden, najsłabszy nawet nieginie, bo wszystkie są podciągnięte pod jeden przemagający Akord —

wszystkie do niego biegną i z jakąś nadludzką radością wpadają. Zemsta, zemsta za zbrodnie jest straszliwy Akord. Nieraz wystawiałem sobie, że takim chórem na strasznym dniu sądnym cała natura i wszystkie stworzenia będą wołać do Boga o sprawiedliwość na ciemiężycieli świata — a sprawiedliwi nawet będą drżeć o siebie. —

Morze tej zemsty uderza na Donżuana, który widząc się już wykrytym i że już wykręty są poniewczasie, odzyskuje siłę swoją w obec śmierci — rośnie on także dumą kolosalną — wyżej, wyżej wszystkich namiętności — wyżej morza zemsty po ktorym, jak te bajeczne starożytności Olbrzymy, zuchwałą nogą brodzi — jego głos w partyturze finału, jak miecz którym potrząsa w ręku, coraz mocniej błyska piekielnym ogniem pośród tej powodzi wrogów wściekłych — w końcu jak grom kruszący cedry przebija się pośród tych niezliczonych tonów zemsty które się jego serca jak węże czepiają, już mu miecz utorował drogę do ucieczki — a jego ostatnia meta już niejest śpiew — niema w niej głosu ludzkiego — to echo tryumfującego piekła na ziemi. —

W tym jednym finale jest historya świata. Albo trio, między Donna Anna, Elvira i Ottavio przed balem; tam znowu niebo nad czło-

wiekiem się otwiera, i Anieli Pańscy płyną do duszy z pokojem Boskim, po strumieniach tych czystych, niewinnych jak serca dziecinne, tych szlachetnych jasnych melodyach które się cnotą, poświęceniem zupełnem połączyły do szlachetnego przedsięwzięcia — każdy tam głos naprzemian z wolna jak wonność ołtarza Pańskiego wzbija się pod niebiosa skalą dziewiczych świętych tonów, i potem czystszy, jaśniejszy, słodszy, wonniejszy spływa z wysokości, jakby dla pokrzepienia i podania dłoni bratniemu głosowi który za nim w też ślady niebieskie postępuje, — a potem wszystkie trzy już upojone świętoscią Pańską, w jedne morze czystej miłości się zlewają — i zda się że ten zdrój wesela i pokoju, cały świat ogarnie i w raj święty przemieni. Jakaż tu poezya wszystkich Homerów w świecie i wiele ich tam jest waszych zawołanych wieszczów, potrafi tak przeniknąć i wypowiedzieć wszystkie tajemnice serca i natury, jak muzyka u mistrza takiego jak Mozart; albo w Stworzeniu świata Hejdena duet Adama i Ewy z akompaniamenten chórów Aniołów — jakie tam światy poezyi. A przecież do sto piorunów co oni teraz z muzyką zrobili? Szynkarkę i baletniczkę — zalotnicę chorobliwą, namiętną, fantastyczną. Bo proszę cię, prócz Meyerbera, którego także psują głupie libretti,

ani mi gadaj o waszych Rossinich, Donizetych i Belinich, i wszystkich tych inich, pünich, to kpy są. —

To wszystko wedle obyczaju Szefa, ilekroć w swadę swoją wpada z największą namiętnością było powiedziane i z przymruczywaniem niektorych aryi, w miarę jak nad niemi się zachwycał — a miał bardzo piękny tenor, dobrze wyrobiony, i był nielada muzyk.

Ja zaś ani słówka niewypuściłem na te interpelacye, bom sobie myślał: skoro się odezwę, to tu się powiększy paroxyzm melomanji, a jeźli zechcę go przerwać, naprowadzając go na obiecaną relacyą o Stęplowskim — to mi się znarowi Szef po swojemu, i zbędzie mnie kilku słowy; więc niepatrząc na niego, ciągle tylko pomrukiwałem: *per modum aprobationis*, *hum*, — *hum*. —

Po chwili znowu chodząc odezwał się: — jak to ci teraźniejsi Maestry, ci romantycy w muzyce za gwałtownemi effektami się ubiegają— a effektami li bijącemi na zmysły albo na piekielne strony serca ludzkiego: dla tego niedość im było pomnożyć w orkiestrze w różnych odmianach dęte instrumenta, owe tłómacze ziemskich nizkich affektów, ale wprowadzili do niej szyderczy Picolin i prostacki gminny Tułumbass, Trąbki z nosowym podłym tonem,

które jak głupi wrzask dusz płytkich zwierzęcych zagłuszają zupełnie słodki melancholiczny Walthorn, ów głos pokutnika wśród puszczy leśnej, z głębokości serca skruszonego płynącej do Pana na niebiosach. Mnie się zdaje, że kiedyś i harmatę kilkofuntową do jakiegoś finału wpakują. Wszystkiego tego im trzeba żeby zwalczyć, czyli raczej ocucić ze zwierzęcego letargu teraźniejszego, słuchacza ich utworów — polują więc na niego jak na grubego zwierza, i bodzą gdzie więcej — byle krzyczał i wył: a ponieważ wyższe uczucia przesyceniem zaskorupieli, więc dalej go ranić w te miejsca, gdzie zwierzęcość jeszcze daje znaki życia. A proszę ciebie Albercie, z całą ich wydoskonaloną instrumentacyą, zajrzyj do partytury najsłynniejszej jakiej ich Opery, choćby nawet Rossiniego Mojżesza — ty się będziesz na mnie gniewał za Rossiniego? ha — powiedz prawdę — Albercie, powiedz. —

I stanął przedemną Szef, czekając na moją odpowiedź z drażliwością — a ja zawsze, niepatrząc na niego, znów tylko mocniej mruknąłem, hum, ścisnąwszy ramiony na znak oczewisty że podzielam jego przekonanie. —

Więc znowu dalej rzekł: — szkoda że pożyczyłem niedawno Pannie Grodzickiej partyturę Mojżesza, przekonałbym ciebie od razu, bo

ty się znasz na tych rzeczach, że pomimo Rossiniego kuglarnej instrumentacyi, daleko więcej jest kombinacyi i rozwinięcia najgłębszych tajników harmonji, a zatem pradziwego grandioso effektu, w kwartecie Cis Bethowena, jak w najhuczniejszym finale jego Mojżesza.— Ja Rossiniemu nieujmuję, Albercie proszę cię nie gniewaj się — to wielki melodysta, dziecko natchnione nieba pod którem się urodził; ale *Charlatan dans les pieces d'ensemble* — ale jak daleki do majestatycznej słodyczy Cherubiniego, cóż dopiero starych Włochów dawnej szkoły, Marcella.

Znasz ty jego Psalmy Albercie? —

Ja znowu mruknąłem potakując, lecz widząc że po tej interpellacyi Szef w taki zabrnie ocean muzyczny, że już żadna ludzka siła niewyciągnie go do brzegu, do relacyi o Stęplowskim — więc już odważyłem się na ostatni środek ratowania go, niebezpieczny wprawdzie, ale jedyny który mnie pozostawał, i sam już go zagadłem, wszakże ciągle patrząc w ogien kominkowy: —

— Powiedz mi Karolu, znasz ty dueta Giarnowika, bo to muzyka starej mody, niewiem czy będziesz mego zdania, bo ty się lepiej znasz, a ja Giarnowika wielce cenię. —

Ledwiem wyrzekł te słowa z pewną nie-

śmiałością — przyskoczył do mnie Szef jak strzała, odłożył fajkę, ściskał za głowę obiema rękoma, pocałował w czoło — wszystko to w mgnieniu oka, wesoło mówiąc: — Och moja ty rybko, jak mnie uszczęśliwiasz że lubisz Giarnowika starego, z którego te Paganiniści się śmieją, błazny, błazny; ale nie Lipinski, nie, — muszę sprawiedliwość oddać — Giarnowik mnie dał świat widzieć w muzyce, Giarnowik jest pierwsza gwiazda nieba mej młodości, najsłodszą jej melodyą — ja Giarnowika z Stęplowskim grałem. —

To wyrzekłszy nagłe umilkł, a potem w czoło się uderzył, i pewnie cały był w płomienistym rumiencu — lubo ja nieśmiałem ani oka ku niemu zwrócić, bo czułem żebym przez to z moją dalszą konwersacyą u samego portu nędznie zatonął — Szef swoim zwyczajem byłby się bolem głowy exkuzował od dalszej relacyi o Stęplowskim, i z gorącego entuzyazmu poetycznego w najzimniejszą prozaiczną konkluzyą przeszedł, mówiąc w tedy już po francuzku z doskonałym akcentem: — że to są enfantillages, niewarto słuchać — bo ilekroć niebył swoim, albo niespodzianie czemkolwiek zrażonym, zaraz wpadał w swadę francuzką i sadził się na wykwintne frazesa. —

Więc w krytycznej chwili czem prędzej rze-

kłem: — a więc chwała Bogu żeś mi mego Giarnowika niezdekretował, bo jabym ci jego nieodstąpił jak Rossiniego, choć ja nie taki konesser wielkich kompozycyi jak ty Karolu. —

Na to Szef powoli znowu nakładając piankową fajkę, co było zawsze pomyślnym znakiem dobrego humoru, jak człowiek w którym się przesila paroxyzm gorączki, rzekł poważnie, lecz wesoło: — Panie Albercie, wielki z ciebie szpak, ja ci miałem o Stęplowskim prawić, a natomiast wpadłem w zwykły mój szał muzyczny. A Pan Albert, Jezuita, ślinkę cedzi i pomrukuje, i podsuwa coraz te same tema, ażeby stary Karol na nie waryował — i waryował na wszystkie tempa począwszy od Andante, Scherza, aż do Allegro alla breve, a P. Albert cyt, Jezuita, bo myśli sobie: z waryatem trudna sprawa. Ha! niezgadłem? ot niepatrzy mi nawet w oczy, Jezuita ostrożny.

— Ale coć znowu P. Karolu, śniło ci się, anim myślał, zartuj sobie zdrów, dziwaczysz i chcesz mnie tylko za to ukarać, że z przyjemnością słuchając twoich improwizacyi muzycznych, niechciałem jej sobie zniweczyć niepotrzebnem przerywaniem. —

— No, no, rzekł już zupełnie uspokojony Szef, znamy się koleżko, masz szczęście że lubisz Giarnowika, dla tego nie będę cię brał

na pytki, i zaraz cię przekonam że Szef, choć czasem waryuje na tema podane, umie też Solo poważnie i z precyzyą wygrać. Słuchaj więc za pokutę, jeźli możesz, z cierpliwością moich dziecinnych banialuk. — — Potem wziął krzesło i siadłszy przy ogniu, z takim tonem rozpoczął swoją powieść, żeśmy już odtąd śmiało sobie w oczy patrzeli.

ROZDZIAŁ VI.

DALSZY CIĄG USTĘPU MUZYCZNEGO.

Nieboszczyk Ojciec utrzymywał kapelę, jak to podówczas było we zwyczaju po majętniejszych domach — i wyście mieli w Strzelcach wcale niezgorszą, pamiętam waszego Skrzypcistę prymiera Zahorskiego i tego waryata Włocha Manarellego, co wyrzucał przez okna pułmiski kiedy paroxyzm dziwactwa na niego napadał; ale prawda, że kiedy siadł do fortepianu, to było co słuchać, niema co mówić. Nasi teraźniejsi młodzi uniwersalni sawanci ruszają ramionami ironicznie, kiedy im wspomnieć o Ksciu Kazimierzu Lubomirskim, którego talent na skrzypcach podziwiał CesarzAlexander: o Ksciu Antonim Radziwile, co swoją Wioloncellą zachwycał dwór berliński: o naszych

starych Oginskich i Wielhorskich, którzy sławne mieli orkiestry, płacili skrzypce Straduarego po 500 dukatów i nawet kompozytorami byli biegłymi, — a przecież to niebyli głupcy; a im się widzi że skoroby się jęli za piękny jaki kunsz, muzyki lub malarstwa, toby ich wielki rozum, co go sobie za drogie pieniędze obstalowali po Paryżach lub Szwabskich akademiach staniał, i niemieliby czasu na swoje szpekuły filozoficzno-polityczne, a mają go aż do zbycia (per S. Jago) na krepsa, na legartostwa, na brudne intrygi; niechcą rozumieć dudki, że kunszt odpowiedni zdolnościom i położeniu towarzyskiemu w jakim się znajdujemy, pielęgnowany *con amore* i zrozsądkiem, jest niebieskie antidotum przeciw truciznie podłych namiętności, zwłaszcza przeciw tej gorączce pieniążkowej, co pali wnętrzności naszych hreczkosiejów milionowych, którym najpiękniejszą melodyą dźwięk karbowańca, albo burczenie kotła parowego w gorzelni — u których częstokroć najstaranniejsze ukształcenie z młodu i najpiękniejsze zdolności umysłowe, wszystka siła ducha, jak strzały z napiętego łuku do jednego celu wylatują, — wszystkie w rubla godzą, który bardzo nizko, bo najczęściej w błocie żydowskiem siedzi; — otóż niechcą wiedzieć, że zamiłowanie, pielęgnowanie ja-

kiego bądź kunsztu, trzyma w pięknej równowadze władze ducha, strzeże go od rdzy sobkostwa, co najwyższe umysły domatorstwem ociężałe posiadła. Kunszt wszelki, jeźli niejest celem próżności i zysku, jest z swej natury towarzyski, udzielaiący się, duch rzeźwiący, bo na przykład: nikt długo sobie sumemu ani grać ani malować niepotrafi, trzeba mu usz, oczu, serc przyiaznych do podzielenia jego uciechy poczciwej — ale każdy doskonale solo rublami cieszyć się może, ba nawet trapi go wszelki akompaniament w tej mierze. — Powiesz mnie że i teraz n. p. śpiew jest w modzie; prawda to, ale tylko dla panienek, i jako rzecz popisowa próżnej wystawy: *un moyen de plus pour trouvez un mari*, a czasem i kogoś jeszcze o którym mąż niechce wiedzieć — nieuczą muzyki, rysunku gruntownie, poważnie, żeby w nich podać środek upiększenia, osłodzenia życia niewieściego — żeby przyszła matka mogła w smutnych chwilach znaleźć pociechę dla swej rodziny, sama kierować dzieci w tem, w czem się jak panna dobrze ćwiczyła: gdzie tam, kilka aryi di comparsa, desperackich, zalotnych, czasem niebardzo przyzwoitych dla dziewicy, których się musi z przymusu ze wstrętem wyexercytować, i już po wszystkiemu; a znajomości gruntownej kunsztu, nawet na

amatora przyzwoitej, ani dudu — więc też nie dziw że skoro się za mąż idzie, i cel dostąpiony, to i wabik już niepotrzebny, chyba jak mówiłem dla trzeciaka, a że tylko kilka aryi wyuczyło się dla popisu, a kilka miniaturek della bella Cince przy pomocy Metra się wygotowało, a kunsztu ani się paznało w swych zasadach, ani się zamiłowało — wszystkie takie sławne artystki panny, po za mąż pójściu przerabiają się w osoby, dziwną doznające odrazę do podobnych zabaw uczciwych, tylko spory kapitał próżności i zarozumiałości w zysku im zostaje, z którym pan Mąż dobrze musi się biedzić.

— Moja biedaczka Dolores, czuła to dobrze, i żeby Bóg mi ją niezabrał w 15. roku życia, byłbyś Albercie słyszał głos jaki tylko w niebie drugi taki posłyszysz. Ach mój Boże, ja o niej niemogę bezkarnie dotąd mówić. — I poszły grube łzy, jak wielkie perły płynąc po pięknej, spokojnej, marsowej twarzy Szefa, która nad wyraz była w ów czas wspaniała, a on rzekł dalej uśmiechając się. — Widzisz, jakie ze mnie dziecko, ale ja się przed tobą niewstydzę choć legionista, i *mauvaise tête.* — Poczekaj no, oczemeśmy to mówili? ale, ale, o teraźniejszej u nas w Polsce pogardzie czy lekceważeniu kunsztów, zwłaszcza muzyki, choć

o niej dużo paplają i piszą. Nieraz mi się trafiało słyszeć, że te dawne wielkie i pomniejsze kapele po domach, były tylko dla dumy pańskiej, żeby podczas imienin przy spełnianiu kielichów polonesy z głupiemi chórami na cześć JWgo Solenizanta wygrywać, jak ów na facecyę wymyślony Kasztelana Rospierskiego, tanczyki Kasztelanowej Kaminskiej, i tem podobne koncepta.

Uważ no, proszę cię Albercie, że teraźniejsza młodzież ile razy o przeszłości naszej rozprawia, nawet i literaci po większej części, zawsze po Wolterowsku na nią się zapatrują, z tym szatańskim uśmiechem co rozkoszuje w dostrzeżeniu nędzy głupstwa ludzkiego, nie dając najmniejszego baczenia na dobre i piękne akorda, które się przebijają pośród chwilowych disharmonji dawnych naszych czasów. Znałem namiętnych amatorów muzyki, z pięknym i wyrobionym głosem, lecz natura odmówiła im ucha muzycznego — więc najtrudniejsze arye z wielką precyzyą i biegłością wykonywali, ale bez taktu i zawsze o pół tonu wyżej lub niżej od wskazanego przez nuty; a to najpociészniejsza, że się nawet niedomyślali że fałszują, i całą aryą z podziwiającą determinacyą kaleczyli, wpadali też czasem z przypadku na ton prawdziwy, i w tedy było co słuchać;

z równą łatwością fałszywe gamy przechodzili, *sempre benissimo*, wcale nie postrzegając tego, a zdawało się im że rzeczy szły dobrze. Takusinkiemi przedstawiają się mi nasze teraźniejsze panicze, ilekroć o dawnych czasach rozprawiają — niema ich dusza ucha muzycznego do wielkiej melodyi przeszłości, niema taktu; piersi i płuca dobre, głosy mocne i wyrobione, ale fałszują Mospanie, fałszują nie o pół tony ale o całe tony — partytura historyi jest dla nich niedostępna, a chcą — chcą czytać *a livre ouvert.* Może oni temu niewinni, że ucha muzycznego nie mają, kaduk ich tam wie; ale niechby cicho siedzieli, i niewrzeszczeli nieproszeni jak pawie.

Otóż tedy, com miał mówić, bo ty mnie zawsze Albercie, gdzieś wyprowadzisz w pole, oj Jezuita. — Ale zmiłuj się, rzekłem, ja ani słówka niepisnąłem. —

— Tak, tak, niepisnąłeś, milczysz, oj znam ja twoje milczenie, co mnie czasem gorzej bębenka podbije, jak innych paplanie: otóż mówiłem, że te młodziki paplają o śmieszności naszych starych polonusów, ktorzy utrzymywali orkiestry po domach, a sami się nieznali na kunszcie; naprzód bają, bo wielu naszych magnatów pod koniec 18. wieku, miało czucie i pojęcie dobre o muzyce — nie pora tu ich wy-

mieniać, ale choćby go niemieli, czyż te wiercipięty niemogą zrozumieć że w możnym człowieku dającym przytułek kunsztom, pierwsza rzecz jest i to najważniejsza, wspaniała uprzejmość, wyrozumiałość, i pomoc podana tym, którzy się im poświecają — a nie zimna, pedancka jakaś protekcya. Franciszek I. Medyceusz, niebrali dłuta, pędzla w rękę, ale mieli oko i duszę, które przyciągały do siebie dusze takie jak Leonard de Vinci i Michał Anioł; nierozprawiali jak teraźniejsi nasi panowie amatorowie, *de omnibus rebus et de nonnullis aliis*, ale ich jeden wzrok rzucony na utwory tych mistrzów, objawiał ich głębokie czucie nieoziębione bakałarstwem, i to dla ich autorów było większą zachętą i nadgrodą jak złote łańcuchy i dary któremi ich odznaczali, — więcej powiem: jeźli człowiek,którego opatrzność obdarzyła dostatkami i postawiła na wyższem miejscu w towarzystwie, podda się wyłącznie jakiejkolwiek manji, jeźli się zrobi melomanem, albo jakim innym manem — znikczemnieje w swem powołaniu, bo będzie z próżności zazdrośnikiem, rywalem tych ludzi których powinien cenić bez względu na prywatę. Będzie ich ogadywał, czernił, będzie intrygował, jak każdy pierwszy z tego licznego cechu artystów ex professo, których włoch prze-

dziwnie trafnie nazwał: *la virtuosa Canaha.* Będzie on także amator wirtuoz ale kanalia. — Alboż to mnie nie raz mówił niejeden nasz młody panicz meloman, i w rzeczy samej wirtuoz nielada, gdym go pytał po długiem niewidzeniu się: a co jak twoje skrzypce? — Wiesz co, od kiedym słyszał Lipińskiego w swoim *Concert militaire,* desperacya mnie porwała, a ja ten Koncert umiałem na pamięć, i wiesz że nieźle mi się udawało, ale po Lipińskim, ani mogę patrzyć na skrzypce moje. — Otóż to łepski protektor kunsztu i amator — on siebie tylko w swoich skrzypcach adorował, on tylko całe życie chciał solo grać dla swej głupiej miłości własnej, a pierwszy atak zazdrości zabił melodyą w duszy; niejestże to także virtuoz, ale kanalia. —

Takiemi niebyli nasi starzy Panowie, chociaż nieumieli z kapelmejstrami swojemi paplać o gammach kromatycznych. Przy tem niechcą ci teraźniejsi drwiarze naszych domowych muzyk uważać: że przy braku w naszym kraju zakładów publicznych muzyki, konserwatoryów po miastach, ich domy były jedynemi szkołami muzycznemi dla biednej naszej szlachty, której dziatki wzięte do kapeli kształciły się pomyślnie pod przewodnictwem Kapelmejstrów zagranicznych; że domowe kapele

częstokroć bardzo skromne, wydały na świat pierwsze owoce muzyki polskiej: Dobrzyńskiego, Duranowskiego, Lipinskiego, Serwatowskiego, Nejmałowskiego, Stęplowskiego.

— Otóż znowu wróciłem do Stęplowskiego i już go nieporzucę, niebój się, tylko żem się musiał wygadać po swojemu.

Nieboszczka Matka miała bardzo piękny głos naturalny, lecz nie kształcony z reguł, sama też tylko dla siebie śpiewała siedząc przy krosienkach, nietylko święte nasze Kantyczki ale różne arye narodowe będące w ówczas w modzie. Nigdy niezapomnę wrażenia jakie na mnie robiła nóta marcyalnej owej pieśni Larum w obozie, albo ta pieśń, Modlitwa obozowa: Do Ciebie Panie wznosimy nasze modły; — tu począł Szef prześpiewywać początki obu tych pieśni: — znasz je Albercie?

— Jakże nie, kiedym był małym chłopięciem, co dzień mi je śpiewała cieniutkim jak flecik głosem nasza Ciotka, kiedyśmy po batalji pod Dubienką z Strzelec do Gallicyi uciekali. — W tej prostej nucie tych piosnek serce moje dziecinne jak ptaszyna w gniazdeczku najmilej spoczywała, a fantazya moja leciała za temi tony jak słowik pod wiosnę w dalekie jakieś piękne cieplejsze śmiejące się kraje, i tam sobie cały świat nowy tworzyła, pełen pieśni,

pałaców, ogrodów pysznych, zabaw, i rycerskich bojów. Matka postrzegłszy w dziecięciu ucho muzyczne i łatwość wielką w powtarzaniu raz posłyszanego śpiewu, sprowadziła fortepian z Wiednia. Była to podówczas osobliwość w okolicy, bo już miał dwa pedały, i klawiatura dochodziła do piątej oktawy w górze; przyięto też niejakiego Mexnera organistę Czecha, sprowadzonego przez Pana Prota Potockiego do Machnówki. — Nieumiałci on wytwornie się obchodzić z fortepianem, lecz znał dobrze Generał-bas i gruntownie uczył początków muzyki. Po śmierci Matki, którą ja nad wiek mój uczułem, bom codzień przez kilka niedziel, o jednej godzinie stojąc przy jej krosienkach płakał śpiewając jej piosnki — dla rozpędzenia smutnych myśli także nieboszczyk Ojciec, domagał się ażeby kapela domowa częściej grywała — a że dom nasz miał sąsiadów bardzo na siebie łaskawych, i projekta też różnym sąsiadkom, Podkomorzynom i Kasztelanowym snuły się po głowie, czy jaka z ich cór niezaskarbi sobie affekta Starosty który jeszcze był bardzo czerstwym: bo żal im był nadzwyczaj, tak mówiły, tego ślicznego Starościczka, co mu tak tęskno bez Mamy, — więc także dla pocieszenia i rozerwania Ojca po ciężkiej stracie, liczniejsze były jeszcze

kompanie i festyny jak za życia nieboszczki. — Ojciec lubo nie pokazywał po sobie jak ja, namiętnego zamiłowania muzyki, przecież był wielkim znawcą, nasłuchawszy się przez długi pobyt w Warszawie najznakomitszych wirtuozów: nieraz o Viottym i Panianim, podówczas sławnych skrzypkach, bardzo ciekawe rzeczy umiał opowiadać, a w tedy cała dusza moja na jego ustach wisiała — postrzegł także że kapela jego, po śmierci Kapelmejstra mocno się zaniedbała, więc począł się starać o nowego i bieglejszego. Długo było o tem zachodu i pisania do Lwowa i Warszawy; jednego dnia nakoniec wszedł z wesołą twarzą z listem w ręku do szkółki, podczas mojej lekcyi z Ks. Kanonikiem: — Dobra nowina Ksże Kanoniku, będziemy mieli Kapelmejstra a zgadnij kogo? Stępłowskiego. — Czy być może? rzekł Proboszcz — owego sławnego skrzypka co przed Królem koncert grał, i potem tę awanturę miał z Włochem o której Pan mnie powiadałeś? Ale słychać było, że nieborak wpadł potem w ciężką umysłową niemoc, a nawet że umarł. — *Ille est vir*, nie kto inny mój Kanoniku. Oto list szanownego Ks. Przeora Karmelitańskiego z Berdyczowa, w którym mnie donosi — i począł czytać list: — »Dowiedziawszy się od Kscia Radziwiła że

JWPan się starasz o Kapelmejstra, mam sobie za obowiązek ostrzedz, iż sławny Stęplowski po długiej chorobie przybył z Warszawy i osiadł przy naszym kościele na dewocyi. Wprawdzie zarzekł się przyjmować obowiązku po domach, lecz kiedym mu wystawiał jakiej to pobożności dom *Illustrissimi*, że się niegodzi zakopywać talentu od Boga danego, więc po długich perswazyach zgodził się na przyjęcie obowiązku Kapelmejstra, pod trzema atoli warunkami: — 1. Żeby na każde uroczyste Święto Matki Boskiej on w kościele parafialnym nie innę grał muzykę tylko swojej kompozycyi. 2. Żeby do tańców niebył zmuszanym dyrygować Orkiestrą. Po trzecie: Żeby mu wprzód o żadnej pensyi niegadano, aż póki JWPan sam nieprzekonasz się czego on wart, a na JW-Pana oznaczenie on z góry przystaje. — Trochę dziwaczne kondycye, nie przeczę, *sed* od których nie chce odstąpić. JWPanu wiadomo że *musicorum genus fantasticum* — ale z tem wszystkiem to mi się widzi człowiek z gruntu *vir catholicissimus* — żadnego dnia mszy nieopuszcza — i *edificat frequentatione sacramentorum.* — Czekamy więc determinacyi JWPana. Zostaję etc.« —

I cóż powiesz na to Kanoniku? — To opatrzność Boska, nam takiego człowieka przy-

syła, bo ja wiem co Stęplowski znaczy w muzyce. — Zaraz więc odpiszę kochanemu Przeorowi, ażeby ambo pollice, przyjął się za mego Stęplowskiego i przystał na wszystkie jego warunki i przysłał mi go jak najprędzej. A waść, rzekł potem do mnie poważnie, pamiętaj żebyś mi dobrze odpowiedział staraniom rodzicielskim o waścinę edukacyę; bo niemasz być kiekyś zawsze tylko żaczkiem łacinskim, ale Kawalerem *in omni bona arte versatum*; więc zaniechać już trzpiotostwo, bo z Stęplowskim to nie z Mexnerem, brząkanina po cembale — rozumiesz Waść — to Wirtuoz niegdyś Króla Miłościwego Stanisława. —

Mija po tym liście tydzień jeden i drugi a Stęplowskiego jak niema tak niema — a moja dziecinna fantazya tem bardziej poczęła bujać około tego zapowiedzianego muzyka — bo jak też to musi wyglądać ten Wirtuoz Króla Jegomości? dumałem sobie — jakie mieć skrzypce, jak trzymać smyczek? Mexner bowiem widząc moją ochotę i na skrzypcach począł mnie trochę uczyć. — Tłómaczył mnie także sposób jakim się tony dobywają niektórych dętych instrumentów, n. p. z klarnetu i flotrawersu, ale niepozwalał mi nigdy zadąć, prócz razu jednego kiedym go o to błagał jak o największą łaskę. Muzykusy z kapeli zawsze z wielką

starannością chowali w futeralikach musztuczki, i odmiany z klapami, zwłaszcza te węże, essy waltorniowe, miały coś bardzo tajemniczego dla mnie — i kiedym którego z nich prosił, ażeby mi je z blizka pokazali, to oni z pewną fantazyą guślarską odpowiadali: — na co to Paniczowi zdało się, brać w usta musztuczek? bo kto nieumie się z temi rzeczami obchodzić, to temu zaraz bis figla spłata i przez klarnet albo waltornię wlezie do serca. —

Wszakże najmisterniejszym ze wszystkich instrumentów były dla mnie skrzypce. — Primier Pan Ciślicki który życie u nas zakończył przed przybyciem Stęplowskiego, pokazując swoje skrzypce niedozwalał dotykać się ich między podstawkiem i grytem, a kiedym się pytał, do czego ten proszek biały, rozumie się kałafonia, to on na to: — Do czego? do czego? Nadtoś ciekawy Starościczku, ale broń Boże się tego palcem dotykać, bo wiedz: że w tym białym proszku siedzą duchy myzyczne, co strzegą duszę skrzypki, a jeżli którego zetrzesz, zaraz skrzypka zachoruje, a oni się na tobie pomszczą; i o tem trzeba żebyś wiedział, że w skrzypcach jest prawdziwa dusza: — i pokazywał mi ją ostrożnie z daleka przez essy, a kiedym ja mu mówił: — ale Panie Ciślicki ja tylko widzę drewienko jak słupek. — Tak słupek,

tego nierozumiesz Staróściczku, w tem co ci się zdaje drewienkiem, jest dusza zaczarowana: jak niebędziesz już miał mleka pod nosem, a ucho ci się lepiej do świata otworzy, poczujesz ty te czary; ale nielada partaczowi co się weźmie do skrzypki odezwie się ta dusza zaczarowana, trzeba żeby też wiedział o sekrecie jak do niej zagadać, jakim sposobem tak ją zakląć ażeby odpowiedziała, a też żeby wiedział co w smyczku siedzi, i co stróny znaczą, a partacz Mospanie tego niewie — więc pod jego też ręką, skrzypka z nim się swarzy, łaje mu fałszywemi tony, że z jej duszą po łajdacku się obchodzi. — A ja na to z przekąsem bywało odpowiem: — A z P. Ciślickim niekłóci się nigdy skrzypka, niekłóci się, nie — co go gniewało mocno. — Nierozumiesz tego Staróściczku, mleko pod nosem, a com ci powiedział Staróściczku, to u siebie zachowaj, bo o tem niedobrze lada z kim rozmawiać, co się nie umył do skrzypców; bo ludzie co niemają w głowie dobrych strón, a dusza źle ustawiona, i język u nich jak smyczek partacza, to Mospanie najniewinniejsze słowa sfałszują Dalipan, zrobią z stróny najczystszej fałszywą Kwintę. — Kiedy czasem Ks. Kanonik albo P. Szwajcar zbliżał się dla przysłuchania się naszy konwersacyi,

to Pan Cislicki, zaraz urywał rozmowę, z jakiemś trwożliwem niedowierzaniem.

ROZDZIAŁ VII.

To jeszcze więcej podniecało moją ciekawość, i dziwne mi się snuły rzeczy po głowie, wszystkie ważniejsze wypadki dzieciństwa mego wiązały się niejako z muzycznemi myślami: jedna zwłaszcza okoliczność, utkwiła mnie żywo w sercu i pamięci, przyczyniła się niepomału do rozwinięcia we mnie coraz większego zamiłowania muzyki. — Nieboszczka Matka opowiadała mi jedną rzecz, która za jej młodości w Warszawie się przytrafiła.

P. Kasztelanic Podoski, mówiła, niepospolitej urody i talentów młodzieniec, tak zapomniał o Bogu, powróciwszy z podróży po cudzych krajach, iż się na wszelkie bezprawia rozpasał. — Niewidziano go nigdy w kościele, trawił dnie i nocy na hulance, przesztając z ludźmi podłych i skażonych obyczajów, przez co także nadwerężył mocno znaczną ojcowiznę, ba, nawet wielu twierdziło, że gdzieś tam w Paryżu na farmazona go przechrzczono, i że to miał być powód jego odrazy a nawet niejakiej trwogi na widok krzyża Pańskiego, albo jakiego kolwiek obrządku kościoła. Rodzice go odu-

marli w małoletności, opiekun Stryj, przestronego sumienia człowiek acz magnat, rad że go młodzieniec zakwitował zupełnie bez ścisłych rachunków z czynności nieprawych opieki, patrzał na jego postępki przez palce, nawet mu pochlebiał — a kiedy po powrocie Kasztelanica do kraju, inni jego zacni krewni, starali się go nakłaniać do ożenienia poczciwego, i życia stosownego z jego rodem znakomitym, już było poniewczasie. — Jakoż był to młodzieniec z przyrodzenia wielce uprzejmego serca, i tylko mu głowę warchoły francuzkie przewróciły — więc wszystkie uwagi krewnych wesołemi grzecznemi żarty zbywał, a sam coraz dalej brnął w złem życiu.

Między innemi talentami bardzo się odznaczał w muzyce, a szczególniej na klarnecie równał się z najpierwszemi Wirtuozami, ciągłe też u niego bywały koncerta, śpiewy choralne z oper, najczęściej bardzo nieobyczajne, do których wielkim kosztem sprowadzał operzystów i muzyków najsłynniejszych.

Jedna atoli okoliczność w tem jego rozpustnem życiu wielce dziwiła sąsiądów: co dzień bowiem po przepedzonej na podobnych hulankach nocy, ludzie po ulicy przechodzący o samym świcie, widzieli jak ktoś otwierał pałacowe okno wychodzące na wschód, a potem za oka-

zaniem się słońca, dawał się słyszeć klarnet i najśliczniejcze tony, jakie tylko wielki Wirtuoz dobyć potrafi, płynęły na nutę Godzinek do niepokalanego poczęcia Matki Boskiej, a z takiem na przemiany słodkiem i bolesnem mocnem uczuciem, z takiemi misternemi przechodami smutnych, rozpaczliwych tonów, do wesołych pełnych nadziei głosów, że zdawało się że to aniołowie Pańscy tak śpiewają płacząc nad grzesznym człowiekiem, a w końcu radują się nad jego upamiętaniem. Ludzie najprostsi na tę nadzwyczajną muzykę, stawali na ulicy i długo słuchali, niektórzy mówili: — a to co znowu, w farmazona domu — bo już go nieinaczej lud nazywał — Godzinki śpiewają, to jakaś tam chudzina z kapeli niebożątko, tak się z rana wsławia do Matki Boskiej, za swoim Panem chrapiącym, ażeby go bis nieporwał z poduszki jak swego, bo dawno na niego w piekle czekają. — Inni znowu na to: — wstydźcie się, wolicie się pomodlić za biedaka co się jeszcze opamiętać może, boć rozpaczać największy grzesznik niema póki żyw, przy łasce Pańskiej może być szczęśliw; — i żegnali się i modlili, a byli to tacy, którzy częste grube jałmużny od Kasztelanica odbierali, bo choć był utracyusz i kartownik, dla ubogich miał zawsze otwarte dłonie. — I niemogli się nasłuchać tej prze-

ślicznej muzyki, wychodzącej z jego pałacu; ale choć pilnie w górę patrzali, niepodobna było dostrzedz grającego, bo widocznie z namysłu w oddaleniu się trzymał od okna.

I tak to trwało przez rok cały po powrocie Kasztelanica z zagranicy: jednego rana, pamiętam było to w same święto Wniebowzięcia Naj. Panny, tylko com była powróciła z kościoła, wchodzi do mego pokoju twój Papa z twarzą na wpół zmieszaną na wpół poruszoną: — Wiesz kochanku, mówi, co się z biednym Kasztelanicem stało? — Matko Boska, rzekłam ja, zapewne nic dobrego (bo mnie żal było zawsze jego, z powodu nieboszcz: Kasztelanowej matki jego, bardzo pobożnej Pani i na mnie łaskawej). — Oto przeniósł się dziś z rana do wieczności, ale do dobrej, nie płacz moja kochanko, bo daj nam Panie Boże każdemu taką śmierć. Tylko co odemnie wyszedł Pan Wojewodzic Hryniewiecki bardzo poturbowany, który wszystkiego był świadkiem naocznym pomimowolnym, dałby Bóg żeby i jemu to poszło in *profectum animae* — boć także zbyt się przejadł francuzkich błazeństw, otóż wystaw sobie, całą przeszłą noc ogromna była gra w pałacu Kasztelanica, wszystkie nasze panicze tam byli: P. Pisarz koronny, P. Pułkownik Kozłowski — byli też de *omni genere Mu-*

sicorum, wirtuozy do filowania karty, jak to zwykle się dzieje na dworze Króla Faraona. Wszakże sam gospodarz choć udawał wesołego, był jak nieswój, grać niechciał, pił także mało lubo do kielichów i do zabaw ze zwykłą sobie uprzejmością wszystkich zachęcał. Pan Wojewodzic Hryniewiecki docinał mu do żywego, między innemi, że go ktoś widział wczoraj na nieszporach przebranego w kościele Reformatów; ale on go tylko milczeniem i słodkim uśmiechem zbywał, a o pewnej godzinie po północy, kiedy w koło kup złota, rozpaleni winem gracze najmocniej szumieli, wymknął się z pokojów. Po godzinie postrzegł P. Hryniewiecki że gospodarza niema i do grających rzekł: — Zemknął Kasztelanic, pewnie komponuje u siebie jakąś kantatę dla Panny Nini, którą jej obiecał temi dniami sekretnie, myśli że nikt o tem niewie; pójdźmy do niego szturmować; co tam te muzyczne koperczaki. Trzeba żeby nam bank trzymał, a Panna Nini woli rulonik holenderczyków od wszystkich w świecie kantat. — Pobiegli tedy najżwawsi za Hryniewieckim do gabinetu Kasztelanica: zbliżając się nagle słyszą głos klarnetu — ale tak przecudny, że pomiwolnie się zatrzymali. Już też switać poczęło, a Hryniewiecki, który także wielki był amator muzyki, w miarę jak coraz

żywsze, świetniejsze wykonywał gammy, rzekł jak w zachwyceniu: — Ja wiem co on umie, ale jeszcze nikt tak niegrał. — A kiedy nagle zwrócił do tempa wolniejszego, ozwał się: — A niech mię djabli wezmą to Pan Edward, gra fantazye na Godzinki, tak, tak, to Godzinki! A to przednia rzecz. — Wpadł do gabinetu a młodzież za nim; wtedy tylko co był zakończył nadzwyczaj silnemi piersi swoją fantazyę muzyczną. — Lecz jak tylko próg przestąpili, zatrzymali się pomimo woli jak wryci — bo cóż ujrzeli? — P. Podoski stał wśród pokoju w surducie rannym, z szyją i piersiami odkrytemi, włosy jego czarne obfite wietrzyk ranny dość silny na wszystkie strony rozwiewał jak gęste kłosy, blady jak nieboszczyk, okiem łzą przepełnionem, ognistem, nieruchomem, wpartrywał się w barwy coraz mocniejsze naprzeciwko wschodzącej zorzy po niebie wypogodzonem, ustami ruszał, jakby się do śpiewu gotował, w jednej ręce trzymał jeszcze klarnet a w drugiej nuty jakieś, od ręki świeżo pisane, stał nieruchomy jak posąg, z głową trochę wyciągnioną ku wschodowi — cała jego twarz okazywała jakiś nadzwyczajny stan duszy, ciche łzy nieustannie jedna po drugiej po niej płynęły, i koszula rozpięta drgała mocno od strony serca, widocznie z powiekszającem się jego

biciem. Zdawał się czegoś ciągle oczekiwać, i co chwila wyciągał i podnosił ręce ku wschodowi w milczeniu. Nic koło siebie niepostrzegł, ani wpadającej wrzaskliwej młodzieży nie słyszał, jakby niebył już na tym świecie — przez co się oni zatrwożyli jeszcze mocniej i wszyscy oniemieli. W tem pierwsza gwiazda poranna błysła w oknach, a Podoski wydał krzyk radości — i począł śpiewać z nut które w ręku trzymał — ale jak? Hryniewiecki co znał jego piękny głos tenor dobrze wyrobiony, powiada że nigdy ani jego samego, żadnego Wirtuoza włoskiego tak śpiewającego, ani nic podobnego na świecie niesłyszał. — Była to jakaś przecudna, miła, kościelna, nieznana mu dotąd harmonia, na te słowa: olej wylany o Marya imie twoje! A słudzy twoi bardzo zakochali się w tobie — a potem i te dwa wiersze:

Proszę byś mnie zbawienną drogą prowadziła,
A przy śmierci mnie słodką Maryą przybyła.

Taka była słodysz, moc, i rzewność w jego głosie, co się coraz mocniej wzbijał, rosł potężnie, aż zdawało się niekiedy że mu dusza i życie z śpiewem z łona zbolałego wypłynie. Chciałem, mówił Hryniewiecki, z początku przymusić się do żartów, przerwać mu te dziecinstwa, choć prawdę powiedziawszy, niebyło mi do śmiechu w sercu — pojrzę ironicznie na

moich koleżków, dla nabrania rezonu — a oni wszyscy jak żubry płaczą, i postawali jak studenty pod murem i chustki przed twarzą trzymają — w tedy sam już zupełnie kontenans straciłem, i tylkom sobie pomyślał: co tu robić, bo biedny Pan Edward zwaryował. W tem zaczął nagle słabnąć głos jego — już przecudnym mezzovoce (co tylko najbieglejsi Wirtuozy potrafią) kończył ten wiersz: A przy śmierci nam słodką Maryą przybywaj — ale tak wyraźnie, czysto, z taką smętną rozdzierającą serce rezygnacyą, że już niebędąc Panem siebie poskoczyłem do niego; lecz w tejże samej chwili, niewymownie potężnym głosem, coby żelazne nawet piersi potargał, krzyknął: — Matko tyś przybyła! — i padł oblany strumieniem krwi w moje objęcia. —

Widocznie żyła w piersiach pękła. Czem prędzej omdlałego zanieśliśmy na łoże, słudzy rozbiegli się po doktorów. — Z jego oczu i ust lały się strumienie łez i krwi, a on rychło przyszedłszy do przytomności — z uśmiechem na twarzy spokojnej, dziękował za posługę przyjacielską, i tylko prosił ażeby mu Ojca Anzelma Reformata czemprędzej przyzwano, dodając: ten doktor mnie wyleczy nie inny. — Próżne były perswazye Hryniewieckiego, musiano jego wolę spełnić — bo odmówienie onej

w coraz gorszy stan go wprawiało i coraz mocniej upadał na siłach; niełatwo też można było dobudzić się doktorów o tej porze rannej; w kwadrans przybył Ojciec Anzelm choć daleko było do Reformatów — przechodził z spuszczo nem okiem, z bladem łagodnem obliczem przez pokoje prowadzące do słabego, lecz kiedy mijał stoliki gdzie jeszcze złoto porzucone leżało, kości i karty — nagle się zatrzymał, odsunął kaptur, pojrzał ognistym przenikliwym wzrokiem (nigdy tego wzroku niezapomnę, mówił Hryniewiecki) po leżących po kanapach graczach co się chcieli nadstawić niby gęstą fantazyą, wziął kika kości w rękę i rzekł wolnym lecz poważnym głosem: — Panowie! losy ludzie rzucają, ale od Pana bywają nastrojone; pomnijcie na wasze, kiedy ukończy się gra żywota. — *Sortes mittuntur in sinum sed a Deo temperatur!* — I nasunąwszy znowu kaptura w milczeniu udał się do P. Podoskiego. — Zamknęli się z chorym na klucz w jego pokoju, i przez dwie godzin nic niebyło słychać, tylko kiedy niekiedy westchnienia silniejsze z płaczem. —

Tym czasem rozstrojeni tym smutnym wypadkiem ptaszki nocne, wesołe koleżki jak niepyszni chcieli się wymykać z domu; ale P. Hryniewiecki, jak go wiesz, despotycznym i trefni-

siem, począł tak zartować z ich tchurzostwa, że ich zmusił do czekania na wyjście Ojca Reformata, mówiąc im: — *parum decenter*; zobaczycie jak ja tu przywitam Ojca Anzelma. Poproszę go, powieważ on się zna na grze hazardownej, jak mówił, żeby też ze mną raczył grać o moją biedną duszę w cet czy liszkę. Może ją sobie wygra. — A kiedym takie żarty zganił Wojewodzicowi, on mnie zaręczył, że tego byłby nigdy niezrobił, jeno chciał tym konceptem paniczów młokosów zatrzymać w domu, żeby i oni lepiej się przypatrzyli smutnemu stanowi chorego, o którego sam był w największej niespokojności — i przyznał mi się przytem szczerze, że mu byłoby straszno samemu zostać, a niechciał opuscić Kasztelanica, bo go srodze kochał — więc żartował a *sic*, dodał, dla rezonu — bo i u mnie była dusza na ramieniu. —

Tymczasem przybyło kilku lekarzów, ale i ci musieli czekać, acz niecierpliwi i niechętni że ich uprzedził ksiądz — co oni mają sobie za złą wróżbę dla medycyny. —

Nakoniec klucz w zamku dał się słyszeć — otworzyły się drzwi oboje, wyszedł O. Anzelm i z słodką już wesołą twarzą rzekł: — Wielmożni Panowie, P. Kasztelanic prosi wszystkich do siebie. — Ruszyli się naprzód Medycy, a mło-

dzież się zatrzymała, mówiąc: nietrzeba przeszkadzać Medykom i chorego trwożyć; — co posłyszawszy O. Anzelm, mocniejszym rzekł głosem: — prosi Kasztelanic wszystkich Panów bardzo, ma im coś ważnego do powiedzenia.—

— Weszliśmy więc do pokoju sypialnego po cichutku. — Słaby leżał spokojny na łożu, na jego obliczu, śmiertelną bladością okrytem, najwyższa radość i pokój duszy się malowały, ręce miał na piersiach w krzyż złożone, obrazek w prawej, który mocno de serca przyciskał; skoro tylko ujrzał P. Hryniewieckiego, z uśmiechem w uściech, głosem słabym lecz bardzo wyraźnym ozwał się: — Wojewodzicu, dziękuję żeś mnie nieopuścił, dziękuję wszystkim moim kochanym gościom, że mnie raczyli jeszcze odwiedzić. Henryku, podaj mi rękę, przystąpcie bliżej Panowie mili, bo mój głos słaby, i coraz słabnąć będzie, w krótce umilknie tej ziemi.—Potem wziąwszy za rękę Hryniewieckiego, rzekł z nadzwyczajnie miłym wzrokiem: — Henryku, ty masz dobre serce, dałeś mi tego dowody przez całe życie moje, ty się powinieneś cieszyć, że Bóg się zlitował nademną; ty masz dobre serce, i powinieneś się radować, że jest w niebie Ten, który umie takie serce cenić, boć i nad mojem miłosierdzie ukazał pomimo szaleństwa mo-

jego życia. Ty powinieneś poznać i wielbić Tego, który mocniej jeszcze kocha twego przyjaciela jak ty, co masz takie dobre serce — (a wiem żeś ty go bardzo kochał) — i uszczęśliwia go, kiedy on wisiał na krawędzi grobu, i wiecznej przepaści, czego ty z całem dobrem sercem niemogłeś uczynić. — I chciał całować rękę Hryniewieckiego, który mu ją wyrwał, i począł prosić, ażeby się uspokoił bo mu ta rozmowa może szkodzić piersiom. Ale słaby przerwał, potrząsając ręką i rzekł mu bardzo poważnie: — Proszę cię nieprzerywaj, bo u mnie czas i słowa drogie, a te ostatnie, które pragnąłem z serca ażebyście wszyscy słuchali, są potrzebne koniecznie do odzyskania mi tego zdrowia, któremu nic na tej ziemi ani pomódz ani zaszkodzić niemoże. Niebędę wam się już długo naprzykrzał, bo com miał najpilniejszego do powiedzenia, o tem już się dowiedział kochany O. Anzełm w generalnej spowiedzi, którąm z łaski Boga i jego teraz odbył, i mogę mieć ufność w jego nieskończonem miłosierdziu; prawda Ojcze? — dodał z nieco trwożliwym głosem. — O. Anzelm przystąpił do łoża, wziął go za rękę, i rzekł z wesołem obliczem: — Tobie mój Panie Edwardzie niema od dziś dnia co innego być w sercu, jeno: *In te Domine speravi, non confundar in aeternum.* —

— O tak, rzekł znów z radością, podnosząc w niebo oczy, — *in te speravi, non confundar in aeternum*; a teraz właśnie Ojcze to chcę opowiedzieć tym łaskawym Panom, co jest we mnie pobudką mojej tej nieograniczonej nadziei. —

Wiecie wszyscy jakie moje było życie, i w jakie błędy po wczesnej stracie rodziców pogrążyło mnie złe towarzystwo za granicą a zwłaszcza w Paryżu. Wszystkie zasady wiary, którą mnie chłopczynie wpajała nieboszczka Matka, zachwiane zostały, pyszniłem się nawet z tego co mnie teraz przeraża, i to aż nadto wam wiadomo. Lecz jedna rzecz wam jest tajna. Oto że mi w całem tem odmęcie życia bezbożnego, pozostał jeden zwyczaj chrześcijański, zmawiania o świcie Godzinek do Najświętszej Panny Maryi, a tak mnie swoim przykładem nieustannem do niego wdrożyła Matka, żem go nawet pośród najgłupszego szału, nigdy zupełnie nie zarzucił, i pod pretextem muzyki, czasem niemal machinalnie do niego wracałem. Trudno pojąć mi, co w nim, przy tak występnem życiu mogło być pobożnego i korzystnego dla duszy, dość żem go nierzucał także jako drogą pomiątkę Matki, którą wiesz Henryku jakem kochał — a co najdziwniejsza, że im huczniejsza była w

nocy hulanka, i głowa wrzała od złych myśli, tem bardziej coś mnie pobudzało, brać się o świcie do tej mojej muzyki; zdawało się mnie zawsze że ta nuta Godzinek uspokaja nerwy i rzeźwi ducha, kryłem się jednak z tem przez respekt ludzki. Pozawczoraj, istotnie byłem w kościele u Reformatów, śpiew tych Godzinek mnie tam przywabił: zakrywszy szczelnie twarz płaszczem wziętym od sługi, stanąłem w kątku ciemnym kościoła, i tak mi żywo przyszła na myśl Matka, jej głos, jej słodkie oblicze, żem już od łez wstrzymać się niemógł, i pierwszy raz od lat dwudziestu przeżegnałem się, westchnąłem mocno i jakby się lękając samego siebie, uciekłem z kościoła. Kiedyś mnie ty dzisiejszej nocy, Henryku, przycinki o to czynił, mocnom się zawstydził, byłem zły na samego siebie, i postanowiłem mocno, dla położenia końca tym (jakem mniemał przesądom) już nieodgrywać Godzinek. Kiedy zaś zbliżała się chwila ranna, poczułem jakąś trwogę i tęsknotę dotąd mnie nieznaną — niemogłem z wami grać; więc żeby się lepiej zagłuszyć pobiegłem do tego pokoju, i wziąłem się do pisania aryi na słowa zupełnie nieprzyzwoite, którąm wiadomej osobie obiecał. — W temeś się nieomylił Henryku, wziąłem się do roboty namiętnie z drażliwością, która coraz

się zwiększała, nakoniec tak mi się ciężko na piersiach zrobiło żem musiał otworzyć okna. W tem już świtać poczęło, pierwsze ukazanie się zorzy przykro mi ubodło w serce — zdało mi się, że to znak dany do zwykłej mojej muzyki: więc czemprędzej powróciłem do roboty, pisałem — ogien czułem w głowie i zimno w sercu — mazałem, poprawiałem, nic się niechciało skleić z mojej kompozycyi, nakoniec po wielkich wysileniach jako tako pierwszą strofę aryi ukończyłem. Głowa mnie mocno bolała, sparłem ją i zakryłem ręką, jakby dla skupienia myśli. W tem posłyszałem nagłe przed sobą szelest sukni jakby niewieściej — z razu niedowierzałem sobie, lecz coraz bliższy i mocniejszy słysząc, podniosłem głowę i ujrzałem nieboszczkę Matkę moją. Słowa niemogłem wymówić, nietyle z przerażenia, ile z żałości pomięszanej z radością. Matka przystąpiła poważnie do stolika, pojrzała smutnym wzrokiem na mnie, wzięła w rękę nuty, i dwa strumienie łez puściły się z jej oczu i padły na papier — ona go na stół złożyła, i znowu patrzyła na mnie smutno w milczeniu. Porwałem w rękę papier, patrzę, wszystkie nuty i słowa zaczętej aryi wypłuczone zupełnie od łez, więc już nieprzytomny sobie, rzekłem z żalem: — Cóż ja mogę napisać już tam, gdzie twoje łzy Matko

padły? — A ona na to, dziwnie łagodnym, rzewnym głosem: — Pisz jeźli jeszcze możesz niżej te słowa: Olej wylany o Marya imie twoje, a słudzy twoi bardzo się zakochali w Tobie! A potem te: Proszę byś nas zbawienną drogą prowadziła, a przy śmierci nam drogą Maryą przybyła. Znajdź nutę w twem sercu na te słowa, jeźli jeszcze możesz. Może się Marya nad twem sercem zlituje w tych ostatnich złych godzinkach nędznego życia twego. O Synu, jam cię inne przy życiu śpiewać uczyła. O Edwardzie! czy się Matka z Synem wiecznie cieszyć będzie? — Potem, jękneła cicho jak dziecie konające i znikła mi z oczu, a ja niezemdlałem, ale jakąś nadzwyczajną siłę w mojej niewymownej żałości znalazłem — zdało mi się, że mi się serce w piersiach w spak przewróciło, bo wszystko co było gdzieś przytłumione, i jak w ciemnym grobie zaparte, do góry wyskoczyło, a wszystko co w niem wprzód przemagało, na dno opadło i zmalało.— Niepojęta jakaś ogarnęła energia duszę moją, wypisałem wszystkie słowa przez Matkę dyktowane, bom przypomniał sobie że są wyjęte z Godzinek—potem począłem dorabiać nutę, tak szybko i z takim zapałem, że mi się zdało nie pióro, ale węgiel żarzący w ręku trzymałem.— Naglony byłem także myślą, że już nadchodzi

święta pora, w której zwykłem odgrywać Godzinki, a po ostatnich słowach Matki czułem, że wolałbym umrzeć jak ją opuścić. Niewiem jak to długo trwało; ale pamiętam tylko, że kiedy pierwszy śpiew ptasząt dał się słyszeć pod oknem, już był śpiew ukończony; porwałem więc klarnet żeby odegrać Godzinki — że grałem nadzwyczaj namiętnie i z jakąś niecierpliwością, bom chciał je ukończyć nim się ukaże zwykła gwiazda poranna, i czułem niewypowiedzianą żądzę za jej ukazaniem się, wyśpiewać moją dopiero zrobioną nutę, na wiadomą modlitwę — coś mi w sercu te słowa szeptało: — Edwardzie, to chwila od której twoje niebo i piekło zawisło, teraz, a potem już nigdy. — Po ukończeniu więc Godzinek, porwałem za nuty ciągle śledząc ukazania się gwiazdy. Lecz za pierwszym blaskiem, po nad obłoczkiem jednym brzaskiem zorzy ozłoconym, mój Boże nie gwiazdę ujrzałem, ale niewiastę wspaniałą przecudnej urody z koroną na głowie, w długim paludamencie szafirowym, z powiewnym włosem i z lilią w ręku, a nad głową gwiazdy jak brylanty utworzyły imie Maryi. Chiałem już paść na kolana, strach nadziemski mnie ogarnął — w tem postrzegłem Matkę leżącą u stóp Najświętszej Panny, i w sercu mojem przeraźliwy głos się ozwał:

— Matka błaga za syna swego Matkę Boską! Edwardzie, teraz albo nigdy, błagaj ty za siebie.

— Więc już jak winowajca, któremu ostatni raz pozwała sędzia zabrać głos na obronę swoją, począłem śpiewać moją nute i modlitwę, a śpiewając ciągle patrzałem na tę Królowę i Matkę u jej nóg leżącą. Z początku Najświętsza Panna surowo zdała się patrzyć na Matkę, która jej stopy łzami oblewała — a ja coraz mocniej moją modliwę śpiewałem, czułem że mi ona serce kruszy na miazgę, a w miarę jak mój głos pośród łez niknął, to Najświętsza Panna milej na Matkę pozierała. Potem przyszła chwila kiedy mi się zdało że serce pęknie — rzuciłem jeszcze okiem na niebo, aż tu, o niewysłowiona radości, MatkaBoska trzymająca za rękę Matkę, już przedemną stoi, kładzie rękę na głowę i rzecze: — Synu, Matka twoja modlitwą drugi raz ciebie na świat porodziła w ciężkich bolach — tak ja was wszystkich — spowiadaj się, i miej dobrą nadzieję.— Krzyknąłem, a potem niewiem co się ze mną stało. —

I w tem coraz słabszym głosem rzekł: — To wszystko chciałem wiernie wam moim przyjaciołom opowiedzieć przed śmiercią, która, już czuję, że jest blizko, bo być może że Bóg przez moją nędzę przeszłą a teraźniejsze wesele, chce do waszego serca przesłać słowa pokoju. —

A niemyślcie, żebym gadał w gorączce albo niemiał umysłu przytomnego: macie prosty bardzo sposób przekanania się o prawdzie mego opowiadania — patrzcie, oto są nuty — (i pokazał je nam) patrzcie, pierwsze te linie muzyczne i słowa zupełnie od łez zatarte — a że nie są moje i ziemskie, to się łatwo możecie przeświadczyć — spróbujcie na tem już suchem miejscu pociągnąć piórem (jak ja to uczyniłem) atrament się jego nie imie. — I tu z wielkiem przerażeniem wszystkich, począł piórem pisać po miejscu oznaczonem, ale daremnie, śladu niebyło pisma. Pan Hryniewiecki umoczył palec głęboko w atrament, i począł po tem samem miejscu wodzić — nic ani znaku, tylko palec mocniej mu się czernił od przyciskania, a linie te były białe jak śnieg — a trochę niżej za najmniejszem dotknięciem wszędzie, wszędzie się plamił papier. —

Wszyscy osłupieli i pobledli. —

Potem spokojnie im rzekł chory: — a teraz dla miłości tego który za nas umarł, przebacz mi złe moje przykłady, mój Henryku, i przebaczcie mi wszyscy! — i zerwał się z łóżka i klęknął ze łzami przed wszystkiemi, błagając o przebaczenie. Wszyscy się rzucili aby go złożyć na łożu, ale on mocno się opierał wołając: — na miłość ukrzyżowanego, niech posły-

szę od was słowo: przebaczamy. — Więc się ozwali dla uspokojenia go — przebaczamy jeźli chcesz, ale niewiemy za co. —

A on uradowany, lecz już mocno zwątlony na siłach: — Ale Bóg wie i ja, dziękuję, za was będę się modlił; a teraz żegnam was na wieczność, zostawcie mnie z moim Bogiem. — I już ani słowa niewymówił, ani na pytania nasze, ani doktorów, tylko ciągle przed sobą patrząc, nucił cichym, czystym głosem jak Anioł: — Olej wylany o Marya imie twoje! — Lekarze wielce byli zniechęceni. W tem przybył Ks. Proboszcz z K...z Panem Bogiem i z olejami. Doktorzy, wszystkie panicze wiercipięty, uciekli jakby ich kto gonił, tylko jeden Hryniewiecki, i Pisarz koronny, zostali przy chorym. Czeladź też się zbiegła i mocno płakała. Słaby, zrobił znak tylko O. Anzelmowi, wskazując kantorek, a ten się ozwał: — P. Kasztelanic policił mi wszystkim wam dwuroczne zasługi wypłacić, i garderobę wam dzieciom oddać, a exekutorem testamentu swego, przed rokiem sporządzonego, postanowił JW. Pisarza koronnego, gdzie o żadnym starym słudze i o ubogich niezapomniano, bo mi go sam czytał; więc nie tyle płakać jak się cieszyć trzeba, dziatki moje, na widok tak dobrego Pana. — Pomimo tego jednak jeszcze większy się ryk zrobił.

Sakramenta przyjął z niewypowiedzianem weselem, po olejach świętych czuł się nieco rzeźwiejszym, i prosił O. Anzelma ażeby czytał pacierze konających; lubo teraz niezdawało się że była już pora po temu, słuchał je z największą uwagą i słodyczą, ciche łzy po twarzy spływały, a kiedy Ksiądz odpoczynek między modlitwą czynił, to on cichym znowu przecudnym głosem swoim, śpiewał na swoją nutę: — Olej wylany o Marya! Dziwna rzecz była, że pomimo coraz większego osłabienia żadnego zwykłego passowania się ze śmiercią nie okazywał, i oddech miał lekki, tak że już O. Anzelm widząc go tak spokojnym niechciał kończyć modlitw, ale radził ażeby cokolwiek odpoczął, w nadziei że go sen pokrzepi, lecz on cichym głosem odpowiedział: — Proszę Ojcze dokończ modlitwy, w tedy będę miał dobry sen. —

Więc przystał na jego żądanie, i mówił pacierze te półgłosem od łez stłumionym. — Lecz kiedy przyszedł do tych słów: *licet enim peccaverit, tamen Patrem et Filium et Spiritum Sanctum non negavit sed credidit* — nagle jakby przy zupełnem zdrowiu podniósł się, klęknął na łożu, i wielkim głosem zawołał: *credo, credo, credo*, a potem już cicho zanucił: — proszę byś mnie zbawienną drogą prowadziła,

a przy śmierci mnie słodką Maryą przybyła — i padł w objęcia O Anzelma. —

Rzucili się do niego Hryniewiecki i Pisarz koronny, ale już Podoski nie żył. —

Wszystkie te szczegóły kilka razy z ust mojej Matki słyszałem, a to niebyła dama do plotków i niedorzecznego paplania. — A co niezła historya? ale co się tobie stało Albercie, tyś widzę pobladł, czy niezdrów jesteś. —

A jam się przechadzał żywo po pokoju i rzekłem: — Otoś mnie uraczył historyą wesołą, ale z tobą zawsze tak: z początku bajesz, hulasz, jak Ułan na werbunku, a potem z nienacka na cmentarz wprowadzasz; ja wiem z tobą zawsze tak — i przyszła mi na myśl smierć nieboszczki matki naszej, i wiele smutnych po jej zgonie wypadków, więc byłem jak powarzony. —

A Szef na to, a widzisz, nietrzeba mnie zaczepiać o dawnych czasach, bo w mojem życiu Albercie, jak na podwórzu farnego kościoła: tu idzie Pan Młody z Panną Młodą, a na przeciw nim kondukt, a między niemi łotry świstaki co się ze wszystkiego śmieją; a widzisz, nietrzeba było Szefa zaczepiać.

— No, już dzisiaj późno, rzekłem, i niewiem jak będę spał po twojej pieknej historyi o Podoskim, ale za to żeś mnie takiem muzykalnem

Rekwiem poczęstował, musisz mnie jutro koniecznie dalej prawić o Stęplowskim. Ale, ale, cóż to jest znowu ta awantura leśna w Alwerni, z Kocem i z jakąś cudzoziemską familią? — A ty zkąd o tem wiesz? rzekł zdziwiony Szef. — Jakto zkąd wiem? dałeś mi swoją sprawę graniczną przepatrywać, z P. Kasztel. Bracławskim, a zamiast Innotescencyi znajduję w pliku twoją jakąś relacyą czy dziennik w którym tę awanturę opisałeś. — Czy tak? rzekł uśmiechając się Szef. Łepski u mnie porządek No, moje życie, potem o tem, bo to długo o tem gawędzić, a może i bez gawędy się obejdzie (i zamyślił się nieco); tak, mogło by się bez gawędy mojej obejść, gdybym ciebie mógł zapoznać z niemi; trochę są originalni, ale pogadamy o tem, daj mi trochę czasu, bo jutro muszę do Generała na Podgórze jechać na rachunki pułkowe, ale za parę dni przyjadę. Adieu Albert. — I to wyrzekłszy swoim zwaczajem żywo wyszedł, tak że niedał nawet z sobą gadać, i zatrzasnął drzwiami. —

A ja sobie powiedziałem: zawsze jeden szus u P. Karola, pomrukał, pomrukał coś pod nosem że mnie z kimeś chce zapoznać, z czego nic nie można wyrozumieć. Z początku swada jak Ocean, a w końcu ledwie kapnie słówkiem. Oj szus u Pana Karola — i poszedłem spać markotny.

ROZDZIAŁ VIII.

Otóż znowu kłopot z moim Panem Szefem, już minęło trzy dni a on nie wraca z Podgórza: znikł jak kamfora i wedle swego zwyczaju ani słówkiem niedaje o sobie wiedzieć, tak że już istotnie niespokojny jestem o jego zdrowie, bo zwykle jest dość akuratnym w swoich obietnicach. Tym czasem niemogę już więjej z moim dyaryuszem się opoźniać — żebym cię Siostro w niespokojność niewprawił, i niezawiódł także słowa danego, przesyłania ci co dwie niedziel kilka kart mojej tej ramoty: boć i mnie może zaskoczyć jakiś nieprzewidziany ordynans od mego Pułkownika Behma; różne wieści przychodzą z Księztwa a pachną wojną. Piszą mnie z Warszawy że Bignon po całych nocach konferuje z Ks. Ministrem Wojny, urlop też mój jest na ukończeniu, trzeba ci na prędce skreślić relacyę moją o Szefie: bo kto wie czy za parę niedziel, będę miał czas pióro trzymać w ręku, przerwałem zaś ją dla tego żem miał nadzieję temi dniami wydobyć z Szefa, pewne szczegóły objaśniające dwa najważniejsze wypadki w jego życiu, co mi się dotąd jeszcze nieudało; ale próżno już na to czekać, więc opowiem już to, co mi jest samemu wiadomo. —

—Pan Karol Rysinski, stosownie do planu Ojca

o którym się wyżej wspomniało, w 17. roku, z wielką swoją radością wysłanym został do Drezdna, pod opieką mentora swego P. Parisot, towarzyszył mu także w tej podróży ów sławny Stęplowski o którym z takim entuzyazmem rozprawia. Maciek syn Kaspra, spory już chłopak, przydany mu był do usług. — Już Ks. Proboszcz przeniósł się był do wieczności; jakoż za życia jego, trudno było Staroście uskutecznić ten swój projekt. — Ojciec wysyłając za granicę, jakby przeczuwał że się z nim już widzieć niebędzie, prócz długich exortacyi w zwykłym swoim stylu, opatrzył go także kilkoarkuszową instrukcyą po łacinie pisaną, która miała służyć już za wskazówkę P. Parisot do dalszej edukacyi Karolka; były tam różne kategorye, sentencye z Cicerona *de Republica,* były przestrogi polityczne, rady jak się ma sprawować kawaler dobrej renomy, a nadewszystko żeby starał się o łaskę JW. Generała Błeszyńskiego wielkiego przyjaciela Starosty, i P. Parisot polecono, ażeby nic ważniejszego bez tego Pana rady niepoczynał. Kategorya Religji i Moralności lekko była dotknięta — jeno po każdym przydłuższym artykule, zawsze to zdanie figurowało: *sub intelligitur, quod Carolus semper prae oculis habebit gravissimam hanc sententiam, haec facienda et haec non*

omittenda, — nempe excolendum intellectum, et servandam Sacrosanctam fidem Catholicam sicuti decet Rysinscium. — Dzień odjazdu był bardzo bolesnym dla Starosty, który pomimo swej pozornej oziębłości względem chłopca, mocno płakał, i polecił mu ustnie pod błogosławieństwem, ażeby w rocznicę śmierci Starościny gdziekolwiekby się znajdował, nabożeństwo żałobne za jej duszę kazał odprawiać, spowiadał się, i na jej intencyą *officium Rakocianum* odmówił; a to polecenie dał mu wziąwszy go do swego gabitu — bo niechciał mieć świadkiem kalwina, swego ojcowskiego pobożnego upominania. Karolek także widząc w tak niezwykłem rozczuleniu Ojca, cały w łzach padł mu do nóg i prosił o błogosławieństwo. —

— W drodze prędko jednak wrócił do swej wesołości, zwłaszcza wielce był szczęśliwy, że Stęplowskiego mu przydał ojciec do podróży i Maćka — do pierwszego się nadzwyczaj przywiązał, wielkie też w muzyce postępki uczynił: żeby więc nieopuszczał się w skrzypcach, jakoteż żeby mieć pewnego człowieka swojaka przy chłopcu, któryby niespuszczając się na guwernera wiernie o wszystkiem mu donosił, łacno Starosta zezwolił na Stęplowskiego podróż, zwłaszcza że on polubiwszy Karola, sam do niej ochotnie się ofiarował — na Maćka zaś

Karolek, jako na koleżkę swych figlów studenckich, mocno także polegał. —

Po przybyciu do Drezdna, za staraniem P. Genr. Błeszyńskiego, który miał wielkie względy u dworu Saskiego, Karolek — ponieważ niechciał być umieszczonym w korpusie kadetów, dla odrazy swojej nieprzezwyciężonej do niemieckiego języka — otrzymał pozwolenie uczęszczania na ważniejsze kursa matematyki, architektury wojennej, i strategji w szkole kadeckiej dawane przez najznakomitszych professorów któremi się ona w ówczas odznaczała; wielką w tych przedmiotach pilność i zdatność ukazywał, równie jak w fechtunku i w szkole maneżowej. W pół roku był jednym z pierwszych młodych jeźdźców i rębaczów, w domu rodzicielskim bowiem jeszcze dobrze go był stary Kajzer do jazdy konnej wedle reguł kawalerskich zaprawił, i już nieraz z Maćkiem dosiadywał młode nieujeżdżane źrebce, a Maciek po swojemu go uczył nawet oklep siedzieć.

Coraz w nim bardziej rosła chęć do stanu wojennego, lecz się opuszczał w praktykach religijnych, do których był z mału wdrożony, na co obojętnym był zupełnie P. Parisot, który się ślepo trzymał instrukcyi Starosty, traktowania z nim *de Deo parum aut nihil* — lecz

Stęplowski począł chłopcu mocniej dogryzać o Mszę Swiętę i o kumanie się niepotrzebne, (jak zwykł mawiać) z temi szołdrami lutrami, co fałszują w wierze. Napędzał zaś go do kaplicy królewskiej mówiąc: — Starościczku, nieopuszczaj mi Mszy śpiewanej w niedzielę, bo tam dusza jak w Niebie anioły, modli się i śpiewa. — A podówczas była sławna Orkiestra królewska z samych pierwszych wirtuozów włoskich złożona, co też niemałą było zachętą do nabożeństwa dla Karolka. Tak te rzeczy szły przez półtora roku. —

Jednego dnia w Maju po nabożeństwie w kaplicy królewskiej, było to w same Zielone Świątki, wraca z kościoła na kwaterę Stęplowski, pyta go P. Parisot o Karola, lecz Stęplowski sądził że panicz był w domu — albowiem widział go wychodzącego spiesznie z Maćkiem, pod czas kiedy on jeszcze przyzostał w Chórze, dla rozmówienia się z jednym ze znajomych sobie królewskich śpiewaków; ale w domu niepokazał się ani Karolek ani Maciek. Czekają na nich z niespokojnością aż do pory objadowej, potem się rozbiegli sami i sług porozsyłali po kilku domach znakomitych, które w dnie świąteczne zwykle z Guwernerem odwiedzał Karol, ale nigdzie ani śladu ani słychu o nim niebyło. — Nakoniec po długiem badaniu do-

wiedziano się, za pomocą żyda Berdyczewskiego, który znajdował się podówczas w Drezdnie z zamiarem udania się na jarmark Lipski — jako Pana Karola widziano przez kilka dni przy kościele i na terassie Resloskiej rozmawiającego żywo z jakimś średniego wieku męzczyzną, który lubo w cywilnym stroju, zdawał się być jednak wojskowym i polakiem. — Tenże sam żyd doszedł nakoniec, że Jantckie koniarz sławny, przedał jakiemuś młodemu Paniczowi najlepsze dwa konie wierszchowe, za dość grube pieniądze. — Wkrótce się o tem przekonano że nie kto inny był ten Panicz tylko Karolek. Lecz zkąd wziął pieniądze, to była zagadka dla Parisota który miał kassę w ręku, i ta była w całości; poźniej pokazało się, że sam żyd filut kredytował Karolowi za ogromną lichwę — ale o tem wypadku życia Szefa, nigdym dotąd niemógł z niego dobyć dostatecznego objaśnienia, widać że to są bolesne pamiątki dla niego. Wiem tylko od jego krewnych, że Starosta dowiedziawszy się: że P. Karol ubiegł z Drezdna z jakimś Panem Zawadzkim, już przyciśniony wiekiem coraz bardziej począł upadać na siłach — późniejsze wieści, że Karol wszedł za wolontera do Legji, którą wraz z Dąbrowskim Wielhorski po batalji pod Marengo formował, pogorszały coraz bardziej

stan jego zdrowia. Starosta niepocieszony po powrocie Stęplowskiego, który najbardziej obwiniał Szwajcara o niedozór, usiłował wszelkiemi środkami korespondencyą nakłonić Karola do powrotu, ale z odpowiedzi jego acz pełnych uszanowania synowskiego i żalu że był powodem cierpień Ojca, przekonał się że Karol był niezachwiany w swojem postanowieniu — więc już doń nic niepisał, przez obawę rządu Rossyjskiego, przed którym trzeba było kryć tę jego karyerę wojenną, i tylko tajemnemi drogami zasilał go pieniędzmi.

Pan Karol w krótce dał świetne dowody swego talentu i męztwa, pierwszy wpadł na szańce twierdzy Casabianca pod Peschiera w oczach Dąbrowskiego, który go zaraz oficerską rangą ozdobił, a dla pięknego jego stylu francuzkiego i talentu niepospolitego w rysowaniu planów, przyłączył do swego sztabu.

Po zwinięciu Legji włoskich roku 1801, pozyskawszy za pośrednictwem Dworu Saskiego amnestyę, wrócił do kraju, lecz z srogim serca żalem już niezastał Ojca w domu: półrokiem przed jego przybyciem już się był przeniósł do wieczności, a umierając bardzo pobożnie, po przyjęciu Sakramentów rzekł Panu Szczuce:
— Karol wróci ale mnie niezastanie, powiedz mu: że choć srodze zawiódł moją nadzieję, bło-

gosławi mu Ojciec i prosi go ażeby się wystrzegał francuzkiej exaltacyi, która się stała przyczyną tylu zgryzot dla Ojca, i pamiętał na rady nieb. Starościny i Ks. Kanonika, bez których niebędzie szczęśliwy na świecie. — Od chwili bowiem ucieczki Karola z Drezdna i obojętnego postępowania w tym wypadku Pana Parisot, który całą tę rzecz krótką, zimną korespondencyą z Starostą załatwił, nieszczędząc nieboszczykowi przygryzków ku wpojonym zbyt wcześnie przesądom pietystycznym Pana Karola, podniecanym ciągle przez Stęplowskiego jak mniemał — więc Starosta jak pierwej francuzką edukacyą nierozważnie cenił, tak potem najwyższym został przeciwnikiem wszystkich francuzkich bakałarzy i guwernerów, do czego się też niemało przyczynił jak zawsze i wpływ P. Wojewodzica Hryniewieckiego — który podczas długiej choroby w Wiedniu, wedle przepowiedzenia Kasztelanica Podoskiego, za sprawą O. Antonina, świętego i uczonego Augustyanina, do Boga serce swe szczerze nawrócił, a na kilka niedziel przed samą śmiercią długiem pismem do Starosty, swoje dawne błędy opłakiwał — a jako był człek oczytany i bystrego dowcipu, gruntownemi wywody okazywał błahość zasad francuzkich głośnych podówszas pisarzy, i ich zgubny wpływ na młodzież, zwła-

szcza polską — prosił przytem, ażeby ten list mógł być przesłany Karolowi, co też i Starosta polecił Panu Regentowi. — P. Szczuka za przybyciem Karola wiernie wszystkie sobie dane polecenia spełnił. — Ubrawszy się w najnowszy swój kontusz i pas Słucki, z wielką uroczystością złożył w ręce P. Karola testament opieczętowany, powierzony mu przez nieboszczyka Starostę, przy tem list Wojewodzica Hryniewieckiego do Ojca, nakoniec poważnym głosem powtórzył ostatnie słowa Starosty, tyczące się Karola, a potem tak zakonkludował: — *haec est ultima praeclara voluntas piae recordationis Illustrissimi Capitanei Zwinog: genitoris tui* — i wnet bez żadnej dalszej osobistej uwagi, nim jeszcze poruszony boleśnie Karol mógł słowa wyrzec, skłoniwszy się nizko, wyszedł z pokoju, jakby się lękał być natrętnym świadkiem tych przykrych chwil dla sumienia i serca młodzieńca. —

Pan Karol mocno uczuł stratę Ojca, a ostatnie słowa jego powtórzone przez P. Regenta silne na nim zrobiły wrażenie. Coraz w nim rosło przekonanie, że jego ucieczka z Drezdna, stała się przyczyną śmierci Ojca; drugiego dnia wpadł w gorączkę, która się rychło w nerwowę niemoc przerobiła — w paroxyzmach gwałtownych ciągle miał na ustach słowa nieboszcz. Ojca. — Już zwątpili byli lekarze o jego życiu,

ale siły nieskażonej dotąd młodości, przyspieszyły zbawczą kryzys; macierzyńskie staranie starej kuzyny niebosz. Starościny P. Godlewskiej — która od P. Karola łoża dniem i nocą nieodchodziła, opierając się surowo wszystkim wybrykom powracającego apetytu, któreby recydywe sprowadzić mogły — w krótce młodzieńca do dawnych sił czerstwości przywróciło. —

Lecz za powrotem do zdrowia zupełnego jeszcze większą w swem sercu czczość poczuł. Lekarze mu przepisywali klimat Pizy, upatrując po tak gwałtownej chorobie w nim jakiś zarodek konsumpcyi. Karol nie mogąc sam już znieść miejsc które mu tyle bolesnych strat na pamięć przywodziły — spełniwszy ostatnie rozporządzenia testamentu Ojca, wszedł w układy z kuzynem, przedał mu ów spadek w Bracławskiem za cenę dość nizką, wszakże pod obowiązkiem ażeby na przyszłych kontraktach Dubieńskich całkowita summa była przesłana na jego imie do jednego z pierwszych bankierów Liwurnu. Wszystko to w przeciągu kilku miesięcy dopełniwszy wyruszył za granicę. — Długo też i z wielką usilnością dopytywał się o Stęplowskiego, który w krótce po powrocie swoim z Drezdna, oddalił się z domu Starosty, ale nikt niewiedział dokąd — nawet Ks. Przeor

Karmel. Berdyczewski nie mógł go w tej mierze oświecić, dowiedział się tylko od niego: że Stęplowski raz tylko był w Berdyczewie i grał przecudnie na chórze podczas festu Matki Boskiej — że był w wielkim pogrążony smutku, tak że żegnając się z nim niechciał mu nawet powiedzieć, dokąd się udaje, jeno tylko zawsze ze łzami mówił: — Oj Karolek, Karolek, grał już tak Mospanie 3ci. Koncert Wiottego, jak *Angelus Dei,* a potem co nam narobił. — Wszystkie te szczegóły dziwnie rozrzewniały Karola, który umyślnie zwrócił był drogę na Berdyczew żeby czegoś się pewnego dowiedzieć o Stęplowskim. —

Pękło mu ostatnie to pasmo drogich dziecinnych pamiątek wiążących serce jego do kraju, któremu stał się zupełnie obcym przez domatorskie wychowanie. — Nic go już w nim nieprzytrzymywało, bo nowych znajomości niechciał i niemiał czasu zawięzywać — i nadzieje, myśli, i wszystkie władze serca jego leciały na południe do Włoch, między współtowarzyszów broni, i kolegów którzy z nim wdarli się na szańce Casabianca. — Opuścił więc kraj z jakąś gorączkową skwapliwością. Widok rodzinnej ziemi, kwewnych, obyczajów w których zrósł, i ten tak rzewny sercu dźwięk mowy ojczystej dla emigranta, były tylko dla

niego ostremi, krwawemi bodźcami, ażeby spieszyć w te strony, zkąd mniemał, (w swej młodzieńczej fantazyi) że przyniesie swobodę dla swego nieszczęśliwego kraju — krótko także zabawił w swojem majątku w Lubelskiem, gdzie się urodził i małoletne spędził lata, a przedsięwziąwszy kroki do sprowadzenia ciała nieb. Ojca (stosownie do testamentu) do grobu kościoła parafialnego w którym i Matki zwłoki były złożone, udał się w dalszą podróż do Pizy.

Tu znowu niemam dokładnej wiadomości o dalszych szczegółach jego pobytu we Włoszech i dalszego jego wielce awanturniczego życia, aż do naszego pierwszego spotkania się. — Zdaje mi się, że Ciebie już ostrzegłem Siostro, iż lubo Szef na mnie bardzo jest łaskaw, i nieraz mi dał najczulszej przyjaźni dowody, są jednak epoki w jego życiu, które przy całej swej swadzie kiedy humor jest po temu, zawsze z jakąś bolesną drażliwością omija, a ja umiem szanować jego w tej mierze skrytość, która, jak zmiarkowałem, nie z braku ufności pochodzi, lecz z najszlachetniejszej obawy wystawienia w świetle nieprzyjaznym drogich mu osób, które były przyczyną jego cierpień i nieszczęść — których on dotąd kocha, których błędy coraz głębiej grzebie w sercu, i kładzie na swój karb, a przymioty w żywej ma pamięci. —

Więc ilekroć przyjdzie mu wspomnieć o pewnych chwilach swego życia, cierpi mocno: bo jako człowiek charakteru wielce otwartego chciałby przynieść ulgę sercu na łonie przyjaźni, ale pewne mizantropiczne prawidła o ludziach, które mu wbiły w głowę pisma Russa, bałamucą go, — więc w podobnych rozmowach dziwaczy, wyrywają mu się słowa które sobie potem wyrzuca, cierpi i chce się zagłuszyć fraszkami a czasem i niedobremi książkami, i potem mocniej jeszcze cierpi — tylko w czynnem wojennem życiu, odzyskuje czerstwość swego pięknego charakteru — w religji, acz ją dotąd dziwnie ma na żołnierza i dobrze sercem pojmuje, widać że pośród francuzów mocno zardzewiał. Dziwna to rzecz w nim: skoro tylko wojna się zaczyna, do wszystkich swoich praktyk pobożnych wraca, spowiada się nawet i różaniec mówi, śmiało i pięknie o tych rzeczach gada, na przekor czasem kolegów libertynów, czego sam byłem swiadkiem; lecz czasu pokoju, zaraz go jakiś respekt ludzki się ima i już go w tej materyi nie zaczepiaj, bo gotów bredzić.

Znane mi są te tylko ważniejsze wypadki życia jego. Wroku 1806 po sformowaniu powtórnem Legji polskiej był w Sztabie Dąbrowskiego jako *Oficier du Genie*; pod Frydlan-

dem, za waleczne i biegłe kierowanie bateryą polną, został mianowanym na placu bitwy kapitanem. Francuzcy Generałowie bardzo go sobie polubili dla jego wesołego charakteru, szarmanteryi francuzkiej i pięknego akcentu paryzkiego, tak że go zwano: *le petit maître parisien.* On jednak z wiarusami żartował sobie z francuzczyzny, mówiąc: że wszystkie w Lubelskiem prosięta, mówią z natury po francuzku. — Muzykę zawsze namiętnie kochał, i wszędzie w każdej kampanji woził z sobą skrzypce, i byle miał tylko chwilkę wolnego czasu, nawet w wilią batalji, brał się do skrzypców, i wygrywał prześlicznie mazurki, krakowiaki i pieśni polskie, tak że się wiarusy pod jego okna jak na łep schodzili: a on im śpiewał Marsz marsz Dąbrowski, tak że się starym wąsalom łzy w oczach kręciły, a on ich potem pięknemi męzkiemi słowy do wojennej sprawy zagrzewał, a mazurom polecał ażeby pamiętali na Najświętszą Pannę Częstochowską, która tylekroć hufcom polskim przeciw daleko liczniejszym nieprzyjacielskim siłom cudowną przyniesła obronę — po wiekszej części te słowa poruszały Mazurów — skrobali się w głowę, a jeden tak się raz ozwał: — Ach zeby jeno do nasego jakiego kościoła i Ksdza Chrobosca się dostać, to człek by się wyspowiadał jak

katolik i pzeprosił by się z panem Jezusem. Ale prosę Pana Adjutanta, z tem psiarstwem francuzkiem to człek i o Bogu zapomniał; u nich tu niema w pułkach kapelanów; cóz by oni z księdzem robili, prosę Pana Adjutanta, kiedy się tak boją wody święconej, jak cart kropielnicy: a kiedym jednego raz na zart (prepuść Boże) pokropił wodą święconą wchodząc do jednej kaplicy co była po drodze, to się francuzisko na mnie wyzwiezyło kieby lew, az ocy mu wysadziło na wirsch jak u jadowitej ropuchy; bo u nich tylko w pysku Napole on, Napelon, Mil bomb, i wsystko jeno, z pseproseniem honoru Pana Adjutanta, kracą Gloar, Gloar, jak zaby kiedy im słonko w kanikułę dopieka, a oni z rozdziawionemi pyski wrzescą — i plugawe mają języki te francuziska, kieby furmany z pseproseniem pańskiem. Cegoz się więc może dobrego naucyć od nich człek co po katolicku na świat psysedł. —

Szef przedziwnie jest pocieszny, kiedy te gawędy wiarusów powtarza. Byli tacy także, lubo niewielu, co drwili ze wszystkiego, po większej części, co w hiszpanji kampanije odprawiali, i do francuzkich bezbożności i rabunków kościołów należeli.

Naśmiewali się także z takowych exort Karola i koledzy jego oficerowie, zwłaszcza francuzi; lecz

on się im gracko odcinał i konfundował ich cytatami z wyznania Wikarego Sabaudczyka Russa, które całe prawie umiał na pamięć, i mawiał między innemi: że mazur odważniejszy w boju od nich, chociaż są waleczni; bo choć Mazur wierzy w Boga i w wieczność co go czeka, zaziera śmiało w oczy śmierci, a temu co myśli że niema dlań drugiego życia, niesztuka potykać się z śmiercią, bo to czyni jak desperat, który niczego ani złego ani dobrego się nielęka po śmierci, i myśli że ona koniec wszystkiemu przynosi.

Ale ten pocieszny P. Karol podczas kampanji tylko tak przednio apostołował, bo w czasie pokoju, trudno go zaczepiać w podobnych materyach, bo albo unika ich, albo z czem nie k'rzeczy się wyrwie — zapewne skutek to dawnych kategoryi jego edukacyi, które nieb. Starosta polecał Guwernerowi Szwajcarowi; ale to są tylko momentalne dziwactwa, a poczciwy Karol w gruncie dobry jest katolik.

Podczas wojny hiszpańskiej roku 1808, znajdował się w sztabie Marszałka Suchet w randze Kapitana, i przy wzięciu Saragossy takie dał świetne dowody swego męztwa, zimnej krwi i biegłości w kierowaniu oddziałem Saperów sobie powierzonych, że Suchet czuł się być obowiązanym na umieszczenie tego w bu-

letynie i w raportach swoich do Napoleona dość obszernie i jak najzaszczytniej o nim wspominać — tam też ozdobiony został krzyżem złotym Legji honorowej, i mianowany Szefem lekkiej artyleryi. — Lecz zwyciężona Saragossa pomściła się nad jednym z swoich zwycięzycieli. Suchet polecił Szefowi naszemu organizacyą kilku bateryi konnych — okoliczność ta równie jak i poniesione rany zatrzymały go w Saragossie. Tu znowu następuje w życiu jego epoka równie dla mnie tajemnicza jak owa pierwsza Drezdeńskiej ucieczki — nic z niego dotąd w tej materyi dobyć niemogłem, bo ona zdaje się być jemu boleśniejszą jak pierwsza: wiem tylko to co niejest nikomu tajnem z jego towarzyszów broni, że w Saragossie wpadłszy w oko wdowie znakomitego rodu Fernand y Dyaz, pomimo oporu Grandów jej krewnych i po długiem z sobą pasowaniu się, połączył się z nią węzłem małżeńskim, i w krótce potem, za jej namową z wielkim bolem serca porzucił służbę wojenną. Musiały być to jednak ciężkie chwile dla Szefa, bo jego koledzy mnie zapewniali, że zupełnie stracił wesołość humoru, zrobił się odludkiem, przykrzył sobie także wielce obyczaje hiszpańskie, a jednak niemiał dość mocy ani się wyłamać z pod wpływu żony ani ją nakłonić do swoich wojennych widoków

był przytem znienawidzony od jej krewnych, którzy w każdem spotkaniu stawiali mu się z całą dumą Grandesy hiszpańskiej; — w ciężką więc wpadł melancholią, tak że nawet ulubione swoje skrzypce zarzucił, a mandolinę hiszpańską tak sobie zbrzydził że dotąd niemoże się na nią patrzeć. — Dał mu Pan Bóg śliczną dzieweczkę z tego małżeństwa, którą on ubóstwiał, ale ta mu zginęła jakimś nadzwyczajnym wypadkiem, o którym nic pewnego także nigdy niemogłem dowiedzieć się, bo na całym tym peryodzie życia jego hiszpańskiego, jakaś smętna tajemnicza zapadła zasłona, której Szef po części niemoże, po części niechce odsłaniać, tak że jego przyjaciołom a nawet jemu samemu niewiadomo jest czy żona jego jeszcze jest przy życiu, a on sam jakby dla zatarcia w sobie tych gorzkich pamiątek, zupełnie przybiera niejako rolę człowieka nieżonatego, co mu się niechwali, i radbym, jako szczerze go szanuję, ażeby go kiedy jaki zacny kapłan zreflektował, i przekonał: że taka obojętność nie jest zgodna ani z jego szlachetnym sposobem myślenia, ani z duchem chrześcijańskim. Biedny Karol, żal mi go szczerze, bo ma serce czułe jak panienka, i tylko w głowie na nieszczęście porobił sobie dziwaczne kategorye, które przy bujnej fantazyi na zdrowy rozsądek biją; — muszę go

też konieczn**i**e zapoznać z moim Ksdzem Kanonikiem Woroniczem, on go pewnie z samym sobą pogodzi.

ROZDZIAŁ IX.

Otóż masz wszystko Siostro, co tylko mogę wiedzieć o Szefie — a spotkanie się nasze i pierwsze poznanie było także dość osobliwe,. — Wiesz że w kampanji roku 1809 jak Ksże Józef nasz szczęśliwie wyparował Kscia Ferdynanda z Księztwa i rzucił oddział Genła Kaminskiego na kraj Gallicyjski ogołocony podówczas z wojsk Austryackich — Przependowski, w którego pułku kompanią podówczas przywodziłem, z Rzeszowa wysłał mnie z ważnemi depeszami i przejętą korespondencyą Grła Bekinga, do Kscia Józefa, który głowną kwaterą stał jeszcze w Lublinie — a że się snuły po kraju oddziały Austryackie niedobitki korpusu Merfelda, więc kazał mi wziąść z sobą eskortę kilkunastu Mazurów. Do Nagoszyna, wioski o milę odległej od Rzeszowa, ciągnąłem z moim pocztem na popas, wypadało bowiem zawsze unikać drogę cesarską, żeby się nienarażać na liczniejsze poczty nieprzyjacielskie. — Tylko cośmy około południa do wsi wjeżdżali, doleciał nas krzyk od strony drewnianego małego kościołka.

Kazałem stanąć oddziałowi, opatrzyć broń palną, a sam poskoczywszy na pagórek który nam zasłaniał większą część sioła, postrzegłem nagle wielki tłum pospólstwa przed kościołem, a pośród nich tylko kilku ludzi wojennych, o ilem mógł dostrzedz huzarów Austryackich i księdza. Obejrzawszy dobrze całe położenie wioski i niewidząc nigdzie oznaków ukrytego żołnierza, wniosłem że to marodery muszą tu psoty wyrabiać, postanowiłem więc ich ubiedz. Dla zabezpieszenia sobie odwrotu, na przypadek ukrytego jakiego pocztu nieprzyjacielskiego, poleciłem Podchorążemu Karlińskiemu ażeby z oddziałem, lasem ciągnącym się po lewej stronie wioski szybko się przeprawił, i stanął za cmentarzem kościołka pod którym wiła się droga wychodząca ze wsi w przeciwną od wjazdu naszego stronę; nie wprzód jak za pierwszym strzałem miał się ze mną połączyć, a gdyby ten nie nastąpił czekać na miejscu mego przybycia. Zostawiłem tylko przy sobie mego doświadczonego Sierżanta Kwiatkowskiego, i czterech Szasserów na raźniejszych koniach. Skoro tylko postrzegłem że P. Karliński zbliżał się do wskazanego przezemnie miejsca, puściłem się wolnym kłusem w milczeniu największem w prost przez wioskę traktem wiodącym do kościoła. Niedaleko dworu przejeż-

dżając, uważałem że był opuszszony — pomieszkania także wiejskie były puste, wszędzie najgłębsza cichość wskazywała oczywiście, że co było rzeźwiejszego i młodego ustąpiło ze wsi przed snującemi się partyami maroderów Austryackich. Tym czasem wrzask i tumult przed kościołkiem coraz się wzmagał, i już dolatywały nas te głosy: Matko Boska Częstochowska ratuj nas! — natłok zaś ludzi przed kościołem niedozwalał dostrzedz przyczyny tych krzyków coraz mocniej wzrastających — więc już dobrze przypuściliśmy końmi: przed samym cmentarzem w bok ku dzwonnicy zwróciłem, i kazałem pozsiadać moim z koni, jednego z Szasserów wysłałem po drabinie wewnętrznej dzwonnicy na wyższe piątro z rozkazem, ażeby miał pilne oko na całą wioskę, wystrzałem z pistoletu dał znak skoro by tylko ujrzał po za wioską zbliżający się jaki oddział nieprzyjacielski — trzech zostawiłem przy koniach z poleceniem ażeby na pierwszy głos mój podali konie, sam z Kwiatkowskim wziąwszy pod rękę pałasze, dla uniknienia wszelkiego szczęku broni, poszedłem ku kościołowi.

Zgraja ludzi na cmentarzu składała się jedynie ze starców, z niedołęgów wyrostków i kobiet już niemłodych. — Wszystko to płakało, załamywało ręce, wzywało pomocy Matki B. Czę-

stochonskiej i jak fala morska to na przód to w tył tłum ten niesforny się miotał; na cmentarzu leżało wiele bałek ogromnych do budowli przeznaczonych, na które się wydrapywali przybywający wieśniaki drągale, przez co jeszcze mniej można było od razu dostrzedz co się tam przed niemi dzieje, roztropność zaś mi niedozwalała nacierać otwarcie na tłum, nieprzekonawszy się choć cokolwiek o co rzecz idzie, — tak zaś byli wszyscy zajęci tem co się działo przed drzwiami kościołka, że ani nas dostrzegli kiedy tuż z Kwiatkowskim za niemi stanęliśmy po za starą cienistą lipą. Nagle rozstąpił się tłum wśród krzyków przed czterma kawalerzystami, którzy z dobytemi pałaszami i klnąc po niemiecku z węgierska zgraję wyrostków rozpłaszali, którzy odbiegłszy o podal, języki im wyciągali i kułakami im grozili a kobiety coraz mocniej krzyczały: Matko Boska Częstochowska zlituj się nad nami — i chowały się za lipy stojące przy parkanie. Od razu poznałem że to były marodery różnej broni: jeden był niby Chevauxlèger a drudzy trzej Dragoni; mówię niby, bo prócz pałaszów i kurtek nic na tych obszarpańcach niebyło w porządku. — Niepostrzegli nas pod lipą stojących i wrócili nazad przed kościół. — Wtedy dopiero następujący widok odkrył się przed nami. Przed

zamkniętym kościołem, jakby od niechcenia oparty o drzwi kościelne stał słusznego wzrostu młodzieniec niepospolitej urody, strój jego był tak fantastycznym, że tylko krzyż Legji honorowej na piersiach kazał się dorozumiewać wojennego człowieka. Miał rodzaj taratatki z kamlotu perłowego koloru, suto i bardzo wykwintnie potrzebami srebrnemi szemerowaną, rajtuzy amarantowe z lampasami z kordonków srebrnych, srebrne ostrogi, i buciki bardzo zgrabne — wszystko to na nim jak na lalce leżało. — Szyja zupełnie obnażona, batystowy wielki kołnierz od koszuli z robótką jak na starych obrazach wodzów hiszpańskich, wywrócony, gładko do piersi przystawał, na głowie miał białą magierkę srebrnym kordonkiem obwiedzioną. Z pod niej dobywały się obfite kędziory, przecudnego orzechowego włosa. Oczy miał ciemno błękitne, pełne ognia i wesołości, brwi mocno odznaczone, rysy wszystkie najforemniejsze, i tak subtelne, przy takiej białości i swieżości cery, że niemal by cię raziły jakąś zniewieściałością, gdyby nie wąsik i podbródek *à la Henri quatre,* które o niewątpliwej marsowej fantazyi przyświadczały. Na jego na pozór spokojnem obojętnem obliczu, malowała się najzimniejsza odwaga połączona z jakąś figlarną chęcią wyrządzenia psoty —

obie ręce miał na piersiach założone, i nogę jedną przełożonę przez drugą, jakby człowiek oddający się błogim marzeniom wśród najdoskonalszej bezpieczności — zupełnie był bezbronny, jeno przy lewym boku jego, oparty był o drzwi kościelne, kij gładki kilko łokciowy dębowy miernej grubości, i jego nigdy z oka niespuszczał — znać było że to był ważny przedmiot dla niego. Nigdy mi jeszcze w życiu nietrafiło się widzieć tak pięknej męzkiej postaci z tak dziwacznym wyrazem twarzy, i tak sprzecznym z położeniem w którym się ten młodzieniec znajdował, tak że z razu w niego tylko wlepiłem oczy, mało zważając otaczających go figur. — Przy nim blady drżący Ksiądz z odkrytą głową, dobrze już szronem wieku przypruszoną, chwytał go za rękę i że pół głosem coś do niego mówił, dosłyszeć niemożna było — z twarzy jednak od największej trwogi zmienionej, widać było że go o coś najmocniej błagał, lecz młodzieniec ani się ruszył z miejsca, ani zmienił położenia, pół głosem krótko coś odpowiedział jakby dla zaspokojenia Księdza i ciągle drwiarskiem i ognistem okiem, strzelał na stojącą o kilka kroków krępą barczystą rudą istotę, której obrzydliwa i zwierzęca powierzchowność była najdoskonalszym kontrastem szlachetnej jego postaci. —

Zdawał się to być podoficer węgierskiej kawaleryi, ile można było wnosić z obdartej huzarskiej spłowiałej kurtki i zielonego dołmana wytartemi galonkami francowanego, ze spodni karmazynowych gęsto łatanych i podartych butów. Rysy jego twarzy słowaka wskazywały, oczy siwe małe obłąkane prawie od dzikości, prawe ucho odcięte, tak że jeszcze znaczna była blizna niezagojona, przez obie wargi, wierszchnią i spodnią przebiegał krwawy szram, pamiątka pałaszów — lecz tak okropne było to cięcie, że te popłatane i dzikiem mięsem narosłe usta, obnażając brzydkie zęby, ciągle piekielnym śmiechem z pod rudych wąsów się śmiały — na głowie miał podartą zieloną furażerkę, pałasz mu telepał się po nogach; za nim stali, niby z jakiemś uszanowaniem, cztery obszarpańce, o których wyżej była mowa.

Skoro więc postrzegł że młodzieniec na ostatnie przełożenie Księdza z miejsca się nieustępował, wrzasnął chrapliwym podziemnym głosem, jak byk źle poderżnięty, łamaną niemieccczyzną:

— Teremtete Bassamalelki, co to ten pumpernikel elegant chce mi tu droge zawadzać? Fort teremtete, bo ja zaraz, Bassamalelki, lepszego eleganta zrobię z ciebie, pofarbuję ci tak Bassamalelki twoją białą surducinę, że

jeszcze będzie ciemniejsza od twoich czerwonych portek. Fort pumpernikel.—I dobył nagle pałasza i począł go wściekle gryźć zębami klnąc i bluźniąc tak, że aż piana mu się puściła z ust śmiejących popłatanych —cztery hultaje także za nim dobyli pałaszów, a Kwiatkowski porwał za szablę i rzekł do mnie cicho: — Kapitanie, ja go tak chlusnę z boku że drugi raz już nietrzeba będzie; a jam go zatrzymał mówiąc: — Czekaj Kwiatku, jeszcze nie pora; — jakaś mnie bowiem dziwna niepojęta ciekawość opanowała, przekonać się jak sobie dalej pocznie ten piękny Panicz bezbronny z taką ufnością stojący w obec pięciu łotrów. To sobie potem ciężko wymawiałem, boć się niegodzi opoźniać z pomocą należną bliźniemu i poczciwych acz mężnych ludzi na takie próby wystawiać; ale mnie ten Panicz tak zachwycił swoją zimną krwią, żem miał mocne nieprzezwyciężone przekonanie, że z nim te szołdry nic niewskurają.

Panicz, na ten wściekły głos Węgra, rzekł uśmiechając się do Księdza głośno po polsku: — Proboszczu, proszę cię, powiedz z łaski swojej co ta piękna lala wrzeszczy, i czego chce ten opętaniec, ja go nierozumiem, bo z niego zdaje mi się jak z opętańca szatany różnemi językami gadają: czy nietrzeba by tu wody święconej i stuły? jak ci się zdaje Proboszczu? —

— Ach Panie łaskawy, ozwał się prawie z płaczem Ksiądz, i Pan możesz jeszcze żartować w takiem nieszczęściu; oto ten Pan oficer, czy kto on jest niewiem, żąda wejść do kościoła, ja to już Panu Dobrodziejowi z początku przedstawiałem — zmiłuj się Panie nad sobą i nad nami, dozwól ażeby ci panowie weszli, ja z nimi się rozmówię i uspokoję ich — cóż robić, o mój Boże, nieszczęście wieczne. — *Omnes sancti Angeli occurrite nobis*! — I załamywał Ksiądz ręce, i sam niewiedział już co mówić, bo widocznie równie się lękał wejścia tych łotrów jak i skutków oporu młodzieńca.

W tem się ozwał z tłumu kryjącego się poza parkanem, głos chrypliwy staruszka: — Oj wielmozny Panicu, jeźli w Boga wiezycie nie puscajcie wilka do obory, bo juz Kachnie mojej psepad kzyzyk srebny i paciorki te psotniki niebodze z syi zerwali. Skody jest wsędzie po domach, a tego tez im tseba jesce zeby do karbony, ta do korony nasej Matki cudownej i do puski z Najświętsym Sakramentem dobrać się. Oj niepuscaj Wielmozny Panicku. —

Na to kilku z tych drabów zapędziło się ku wieśniakom grożąc pałaszami, ale staruszek znikł, tłum się rozpierzchnął jak stado wróbli, wyrostki pod dzwonnicę się skryli, a siepacze znowu wrócili do swego rudego wodza, żeby

mu być pod ręką, bo stanowcza była dla nich chwila. — Młodzieniec znowu uśmiechając się rzekł do Księdza: — A widzisz Proboszczu że ich wpuszczać niemożna, i trzeba ich pierwej święconą wodą pokropić; niemacie jej pod ręką? Ja mam kropidełko, ale że nie pora po wodę święconą chodzić, obejdzie się tą razą i na sucho, a po mojem święceniu możecie ich po swojemu pokropić. — To wyrzekłszy, stanął raźnie w kroku, opuścił ręce, szybko zciągnął eleganckie zamszowe rękawiczki, wyrzucił je w górę, potem spuścił prawą rękę na stojącą przy sobie lagę dębową, lekko ją pochwycił we trzy palce i z niewypowiedzianą zręcznością puścił ją młynkiem przed sobą, a lewą ręką przyciągnął Księdza do siebie. — Dziwnie pięknie było patrzeć na szlachetną postawę i wszystkie ruchy ciała, rękłbyś, baletnik co chce się popisywać z swoją sztuką.

Węgier skoro ujrzał przed sobą kij, jeszcze z większą wrzasnął wściekłością: — *Donnerwetter*, Bassamałelki, co to ja pies, nie chrześcijanin, żebyś mnie kijem od kościoła odganiał? Dam ja ci tu komedyancie pumpernikel! — i z obnażonym pałaszem rzucił się na Panicza i draby za nim.

Nim jeszcze domówił swoich klątew, zakipiała nam krew w żyłach, tak że już nic nie mó-

wiąc, w momemie w drgających ręku błysnęły pałasze i wpadliśmy na łotrów. — Jako bliżej stojący kościoła najpierwej spotkałem się z Węgrem, Kwiatkowski uderzył na drugich drabów; ponieważ niespodzianie z tyłu go podszedłem, więcem mu pierwszej gratyski dobrze płazem odliczył po kurcie, tak że aż klinga, dobra demeszka, jak strona zabrzęczała. Odskoczył w bok Węgier z krzykiem i zrazu był nieco strapiony, lecz postrzegłszy tylko nas dwóch, zuchwale krzyknął na swych koleżków, bo rzekł. — Dwóch Polaków, żeby tu was i cały — ale niemógł domowić tych słów, bom wsiadł na niego gracko. — Zaraz postrzegłem że hebes on był do szabli, zwłaszcza pieszo, i tylko silną łapą jak z konia z wysoka machał swoją szerpentyną — więc byłbym go wnet mores nauczył, bo hebes ciągle pierś odsłaniał i już raz po łapie odemnie dostał, lecz szło mi o to żeby łotrów rozerwać i odciągnąć rudego od jego kolegów i bezbronnego Panicza — począłem więc składając się słabo umykać kroku. Hebes więc coraz wścieklejszy, dalej coraz wyżej machać pałaszem, dalej krzyczeć: — Teremtete die dumme polaken. — Kiedym już o kilkanaście kroków od kościoła go zwabił, podałem mu trochę prawego ramienia, a Węgier tam jak na lep, tak silnie machnął z góry sza-

błą że się aż spotknął o korzeń drzewa, a ja pomknąwszy trochę w bok, chlast go po ramieniu raz i drugi, bryznęła krew z przeciętych żył, a szabla już tylko na temblaku u obrońcy wisiała, on porwał lewą ręką za gałęź, słonił się na ziemię i krzyknął: — Teremtete pardon, her oficir ja Kinmejer husar. — A ja na to w złości: — Tyś łotr i hebes, nie leź gdzie nietrzeba, masz za swoje i siedź cicho.

I zaraz obróciłem się na sukurs Kwiatkowskiemu, ale tu znowu dziwaczna scena ukazała mi się przed oczy. — Ksiądz klęczał przed kościołem i modlił się z rozkrzyżowanemi rękami, a na środku cmentarza Kwiatkowski z czterma drabami się pora, ale co się zetną to kilka z nich padnie, lecz widocznie nie od szabli, bo się znowu zrywają na nogi i dalej na siebie: kilka razy było tego padania. Pośród nich jak w pajęczynie zamotana osa, mignął mi się ów Panicz młody, ale takie szybkie były jego ruchy, i jakieś burczenie jakby tysiąc rojów koło niego, i tylko czasem coś ciemnego, jakby laga, poczerniało wśród błysków szabli. Przylatuję do tej dziwacznej kupy, oczom swo im niechciałem wierzyć — a to mój Panicz tak potężnym bystrym młyńcem puszcza w koło siebie lagę swoją, tak na tępa jakieś dziwne przerzuca ją z rąk do rąk błyskawicą, pod-

skakuje, przysiada, okręca się nią jak wirem, jak powietrzem z dębu wykutem, a w tem straszliwem piorunowem kołowaniu łagi, o kogo jej koniec jaki zawadzi tego z nóg wali, albo broń daleko z ręki wytrąca. — Dwóch już drabów leżało na ziemi bez ochoty powstania. — Kwiatkowskiemu dwa razy daleko odleciała szabla; niewidząc z razu czy nie z powodu iż był ciętym szablą, natarłem i ja na tę kupę, ale i mnie to samo spotkało, dostałem straszliwie po łapie, a szabla mi w ręku zawisła, bom z wielkiego bolu niemógł ją trzymać. — W tem z dzwonnicy dał się słyszeć strzał z pistoletu, i czwałem wleciał na cmentarz cały mój oddział; lecz ja już postrzegłszy jaką to bronią nas zwycięża młodzieniec, i że on nas niepoznając mylnie ma nas za swoich wrogów, lubo rozjątrzony nieznośnym bólem, czem prędzej podbiegłem do wrot cmentarza, i kiedy już Karlinski wpadał z dobytą bronią na cmentarz, krzyknąłem: — Stać, równiaj się, z konia, Przybiegli i z pod dzwonnicy Szassery z końmi, i drabów maroderów uciekających połapali. — Tymczasem pociesznie było widzieć jak mój Panicz, na oczyszczonym już przez siebie placu bitwy, jakby na teatrze jakim z największą gracyą dalej postępując ku oddziałowi, na tępa odbywał swoje ewolucye z lagą dębową

wszakże niemając już przed sobą przeciwników, wolniał coraz w gimnastyce, potem opuscił lagę jakby salutując, i z wielką rzekł szarmanteryą: — A Panowie widzę Polacy? Witam Panów. Ja tylko chciałem tym rabusiom pokazać młyńca lagi biskajskiej, bo dla nich szkoda pałasza, a jeźli chcecie i Panowie przez ciekawość popróbować, jestem na rozkazy. — Temi słowy rozbroił nas zupełnie. — Zapomniałem o bolu mej ręki, którą mi niepotrzebnie skaleczył, a przystępując do niego, rzekłem: — Panicz młody trochę gorąco kąpany, i jak Ajax co dębem częstował wrogów, i nas przyjacioł, nas tu na ratunek przybyłych uraczyłeś niepotrzebnie. Witam cię ziomku, bo zuch z ciebie. — Ach przepraszam mój Kapitanie Szasserów, niepoznałem cię od razu, bo jak mi ten rudy Węgier zawył; to i w mojej głowie młyniec się zrobił, przepraszam cię Poruczniku, — rzekł do Kwiatkowskiego który także basem się na niego patrzył, i począł nas ściskać i całować tak uprzejmie i serdecznie, że wkrótce wszystkie rankory nasze wygasły, nakoniec rzekł do mnie: — Niechże mam pociechę wiedzieć, komum winien ten bohaterski sukurs — a pojrzawszy na Węgra leżącego pod lipą — bo widzę Kapitanie żeś Węgra dobrze wziął pod swoją opiekę, tak że bez biskajskiej laski się obeszło.

— Myszkowski. — Ach mój Boże, krzyknął, czy nie Albert Pana Podkomorzego syn, co w Strzelcach mieszkał. — Tak jest. — A we mnie widzisz Karola Rysinskiego Szefa Gwardyi Cesarskiej. Pamiętasz jakeśmy w Strzelcach chłopienciami będąc w ogrodzie psoty wyrabiali? Ach szczęśliwe to czasy! — i rzucił się w moje objecia ze łzami. Mocno byłem wzruszony, lecz rzekłem: — Pozwól przedewszystkiem kochany Szefie, ażebym kazał tego tam hebesa Węgra opatrzyć, bo ma dobrą odemnie pamiątkę. — Uszczęśliwiony Proboszcz, który przybył do nas, a na Rysinskiego jako na salwatora patrzał i chciał go w ręce całować, zajął się opatrzeniem Węgra, i przy pomocy Szasserów ulokował go w swojej plebanji, a jako sam świadom trochę lekarskiej sztuki, przewiązał mu ranę, i posłał zaraz po felczera do Rzeszowa. Drabów powiązanych trzymano w starym lamusie. — Proboszcz zaprosił nas wszystkich do swego schludnego domku — nieborak chciałby nam królestwa niebieskiego od razu udzielić, taki był szczęśliwy, tak się zachwycał nad odwagą i niesłychaną zręcznością swego, jak go zwał, salwatora, wtedy kiedy się raczej pewnej śmierci niżeli szczęśliwego skutku tej walki spodziewał.

Na plebanji, po rozlokowaniu oddziału mego,

dowiedziałem się, że Karol na urlopie jadący z Wiednia do swoich dóbr w Lubelskiem, wstąpił był do swego krewnego Pana B. dziedzica Nagoszyna, lecz go niezastawszy udał się na plebaniję: a kiedy chłopki dali znać że marodery rabują wieś, i chcą i kościół plądrować, on swojemu służącemu niekazał podać żadnej broni którą miał z sobą, ale owę laskę dębową, która była nieodstępną jego towarzyszką w podróży, a sam wziąwszy za rękę Plebana powiedział: — Idźmy do kościoła, ponieważ niema trzydzieści łotrów, niebój się Ksże Proboszczu, damy im radę przy łasce boskiej; — i drżącego Plebana powiódł z sobą przed kościół.

Kiedyśmy się przy wieczornej dlugiej gawędzi, dziwili nad jego zręcznością, on zapewniał mnie, że tej gry laski, jak ją zwał, nauczył go jeden biskajczyk w Sewilli, w dowód największej wdzięczności za przysługę jakąś którą mu wyrządził — że on był miernym tylko fechtmistrzem tego rodzaju, ale że jego nauczyciel nieraz w swojem życiu trzydziestu ludzi zbrojnych pozbył się, a w ręku jego ta laska dębowa nietylko wytrącała broń wrogom, ale gruchotała ręce i nogi.

To cale laseczka elegancka, rzekł Kwiatkowski, ta hiszpańska dębinka (bo dębowa być powinna zawsze) — i długo w noc z sobą o da-

wnych naszych rzeczach i figlach rozprawialiśmy, i odtąd już mocno zawiązała się przyjaźń nasza z P. Karolem.

— A co nieprawda Siostro, że nasze pierwsze spotkanie się dość dziwne było? —

Opowiadał nam też tego wieczora zacny Ks. Proboszcz dziwną jedną przygodę, która go z Generałem K. spotkała, było to roku 1806, podczas wojny francuzkiej z Austryą.

ROZDZIAŁ X.

Biorę pióro w rękę, żeby się choć piśmienną rozmową z tobą, kochana Siostro, trochę rozerwać, bo zły jestem na siebie i na cały świat mnie otaczający — zły, żem się dał namówić na wczorajszy spacer — zły, żem się tak w pewnej rozmowie nieładnie spisał — najbardziej zły, żem milczał kiedy trzeba było mówić, a paplał kiedy trzeba było milczeć, a wszystko w mojej głowie i w mojem sercu wrzało, jak w kotle w którymby czarownice coś niedobrego dla ludzi warzyły — bo namiętności to są istne widmy, a co one w sercu gotują to niesmaczne sobie i drugim. Ale już dosyć tych niedorzecznych fochów, w których to człowiek niby poczciwie się gniewa i sarka na swoje usterki, a to najczęściej tylko blichtra, skrucha farbo-

wana w którą miłość własna nasza, nawet kiedy się po uszy w głupstwo jakie zabrnie, rada się stroi. — Już łacno możesz zmiarkować Siostro, że ja wczoraj nie lada musiałem zabrnąć, kiedy dzisiaj taki ze mnie stał się moralista. — To mnie na pamięć przywodzi P. Miecznika Koronnego C. którego w młodości mojej znałem. — Był to wielce przyjemnego i wesołego humoru Pan, miał ścisłą przyjaźń z pewnym Wojewodą, który, pomimo dewocyi i dojrzałego wieku, pozwalał sobie częste wybryki *contra bonos mores*, za które potem przed udaniem się na spoczynek, długiemi pacierzy, westchnieniami i gęstem biciem się w piersi chciał wetować szkody na sumieniu poniesione: bo w jego teologji to stare przysłowie: Kredka pisze, Kredka maże — wielce popłacało, jeno w tem była z nim bieda, jak twierdził Pan Miecznik, że po zmazaniu, znów brał się do kredki i do niedobrego pisania na wielkiej tablicy świata, tak że ilekroć Wojewoda przydłużej jak zazwyczaj wieczorem modlił się, to Miecznik, który na jednej z nim kwaterze w Warszawie stał, zaraz sobie w duchu mówił: pewnie Pan Maciej jakiegoś dziś figla spłatał, bo wielki z niego bohomolca. Jakoż wkrótce potem się przekonywał z jego własnych konfessat, że to niebyło *judicium temerarium*. — Ja się też dzisiaj

poczuwam do wojewodzińskiego obyczaju. — Tylem tu już wysypał obroku moralnego, czas więc już do rzeczy przystąpić.

Otóż wczoraj o czwartej po południu, kiedym się zabierał do opisania ci Siostro przygody Ks. Proboszcza Nagoszyńskiego, zajeżdża przed moją kwaterę powóz: pojrzę przez okno, trochę zniecierpliwiony, że mi ktoś w niezwykłą godzinę przerywa pracę i opóźnia przesłanie ci dziennika, a to wizyta jakiejś Pani z Synaczkiem — więc już niesmak trzeba było połknąć, bo pokazało się że to była kuzyna mego P. Karola, zacna, pobożna niewiasta, Pani Józefowa Prezesowa Rysinska, która z 10. letnim pięknym chłopaczkiem Juziem, przybyła ażeby mnie zaprosić na przejażczkę. — Wsiadłem więc do jej kocza: kazała jechać drogą prowadzącą z Krzeszowic do Czerny — wielce była strapiona brakiem wiadamości od P. Karola, badała mnie czy niemam jakiego od niego listu, z którym się przed nią kryję. — Mój Józef (mąż), dodała, także niespokojny jest o brata, bo znając jego humor fantastyczny, obawia się czy już nieodjechał zupełnie do Drezdna, do głównej kwatery Cesarskiej, i niepozbawił nas pociechy widzenia się z nim jeszcze przed ukończeniem jego urlopu, a Józef miał jeszcze tyle ważnych familijnych in-

teresów do załatwienia z bratem. Ach, Pan Karol, serce najlepsze ale *mauvaise tête*, wieleż to już on nam figlów spłatał tego rodzaju, mężowi czasem już cierpliwości niestaje, i teraz znowu mi się skaprysił i powiada że on dalej niemoże się trudnić administracyą majątku Lubelskiego P. Karola, kiedy on tak wszystkie interesa swoje będzie na wiatr puszczał. Wiesz Panie Albercie jaki Józef mój systematyczny, jak poświęcający się dla brata, chciałby się przed nim popisać z swoją braterską pracą, pięknem zagospodarowaniem jego dóbr, zaprowadzeniem fabryk sukiennych w Łoz... i merynosami, nieraz mówi: u P. Karola w Łoz... jak w jajku, chciałem go choć na jeden dzień tam zawieźć, ale niema z nim ratunku. Jednego dnia mówi: — Juziu, jak się cieszę już na przód że jeszcze z tobą choć jeden cały tydzień spędzę w moim Łoz... gdziem się urodził, gdzie mi wszystko moją kochaną Matkę przypomina, wiem żeś tam wybornie wszystko urządził. — Rozprawia jak książka drukowana o przemiennem gospodarstwie, o sposobie utrzymania w hiszpanji owiec, o różnych młynach, tartakach, wiatrakach na które się napatrzył w Paryżu, na jakiejś tam wystawie publicznej, których z sobą modele poprzywoził — naznacza dzień wyjazdu, aż mi się serce

raduje — a potem nazajutrz, już inny wiatr zawiał, już on jechać niemoże, dla niewiem jakichś nagłych przyczyn, które mi tylko półgębkiem odkrywa, jakieś tajemnice, jakieś smutki — ani sposób z takim improwizatorem. Ja męża uspokajam jak mogę, przypominając mu wielką miłość i ufność Karola, ale on mnie tem zbywa sucho: — Ach co mi z tego kochanko, kiedy ja widzę finalną zgubę Pana Karola, i niewiem jak sumiennie dalej będę mógł administrować jego dobra, przy takiej jego indyferencyi — wolałby mi trochę mniej ufać, a więcej kochać porządne życie, bez którego człowiek będzie zawsze kawał awanturnika i improwizatora, ale temu wszystkiemu winien nieboszczyk Starosta.

Nawet dzisiaj tak się mąż rozkaprysił że niechciał ze mną do Pana Alberta przybyć, bo wiedział że będziesz Pana Karola brał stronę. Chciałam więc z kochanym P. Albertem widzieć cię dzisiaj koniecznie, i namówić żebyś nas dziś wieczór odwiedził, i mężowi wybił z głowy jego smutne prognostyki. — Chętnie, rzekłem. Prezes niesłusznie się trwoży, zobaczy Jejmość Dobr. że P. Karol wróci jeszcze do nas, bo wie że tak z partesa niegodzi się odjeżdżać tych co go tak jak my kochamy. — I uspokajałem jak mogłem Prezesową, lubom

w duchu sobie pomyślał: a kto wie może i doprawdy P. Karol nam padobnego figla zrobi, bo to u niego nie nowina, robić podług pierwszej fantazyi co mu do głowy przypadnie. — W tem kiedyśmy tylko co z ulicy lipowej prowadzącej za wieś wyjeżdżali, jakaś sucha, słuszna figura, z twarzą wyschłą żółtą, z pudrowaną głową, starannie po francuzku ubrana, zastąpiła nam drogę, z dala jeszcze przed powozem potrząsając w ręku białą chustką z pewną gracyą, wołając z przycinkiem głosem cienkim: hola, hola! — stangret wstrzymał konie. Prezesowa zdziwiona wyjrzała z kocza, i śmiejąc się zawołała: — Ach *Monsieur* Żakjuszęski. — Imie to nie brzmiało mi w uszach jak cudzoziemskie, zdziwiła mnie trochę w uściech Prezesowej ta affektacya francuzka, bo to była światła i bardzo rozsądna pani — później potem dowiedziałem się przyczyny takowego dziwnego przezwiska, bo ten Pan Żakjuszęski był sobie po prostu Panem Jakuszyńskim. Niebawem z wielką szarmanteryą przystąpił do powozu Staruszek: w jednym ręku trzymał chustkę perfumami przesiąkłą, w drugim pięknego dwunastoletniego chłopięcia z kudełkami jak złoto bardzo starannie trefionemi, pięknie się ukłonił i rzekł z akcentem paryzkim tak doskonałym, żem go wziął za francuza: — *Ma-*

dame, je me permet l'insolence d'un brigand qui arette les gens sur le grand chemin, mais c'est pour Vous annoncer, une bien plus grande insolence encore de Mr. Bonaparte, qui est deja à Dresde, avec ses 500 mille brigands pour nous tomber sur les bras, tak jest Mościa Dobr. — dalej po polsku mówił, z akcentem pełnym jakiejś przesadnej dworszczyzny — Bonaparte już nam siedzi na karku, dopiero co odebrałem list od Kżny Marszałkowej która tę nowinę sztafetą z Wiednia odebrała — i byłby dalej swoją swadę antibonapartowską rozpuścił, lecz strzeliwszy bystrem siwem okiem, na lampasy które mi się z pod surduta ukazywały, a bardziej jeszcze postrzegłszy chmury na mojem czole, przybrał dyplomatyczną minę, i umilkł z uśmiechem sardonicznym.

Wiadomość ta poturbowała nas trochę, bo Prezesowę potwierdziła w swojem podejrzeniu o odjezdzie P. Karola do Drezdna, a mnie przed oczy stanęła moja kompania, która jeszcze nieodebrała w zupełności swego liwerunku lederwerków, i Pan Strzałkowski Porucznik, co do Berdyczewa za remontą był wysłany, ani słówkiem niedał o sobie wiedzieć od miesiąca, obawiałem się więc, czy niedoznał od rządu Rossyjskiego podówczas pozornie z Francyą w zgodzie jeszcze będącego, jakich prepedycyi,

— niesmaszna mi także była faciata Pana Żakjuszęskiego, jak go zwała P. Prezesowa, z powodu tych jego nieprzyzwoitych wyrażeń o Napoleonie: Szwab, pomyślałem sobie, gardłuje za Austryą, pewnie pieczeniarz Ks. Marszałkowej, i całej tej partyi magnatów naszych gallicyjskich, co w Praterze Wiedeńskim widzą zbawienie, niechcą swego wiedeńskiego raju utracić, dla żadnej nowej Polski, a że Napoleon obiecuje ją nam, to oni się niby z pobożności, porobili Burbonistami, Anti-rewolucyonistami — a gdyby Burbony chcieli Polskę przywrócić, toby i na nich bili jak na jakubinów — bo nuż gdyby przyszło do dźwignienia z gruzów Polski, toby trzeba Wiedeń, Prater, i starych Diuków i Markizów emigrantów opuścić, do Warszawy wrócić — a tam jak utworzyć salon z Legionistów Dąbrowskich albo z tężyzny Kscia Józefa, bo to są *des gens de mauvais lieu*, szubrawcy w oczach tych magnatów. — Byłem także zły, że ten, pieczeniarz zfrancuziały tak niedorzecznie mi szemerował Napoleona. — Komu to świat gubić mój Boże? — Wiesz dobrze Siostro, że niejestem ci ja zagorzałym Bonapartystą, ani mu wojny hiszpańskiej darować mogę, ależ przecie to mąż nadzwyczajny, sami jego nieprzyjaciele niemogą mu tego ująć, a my Polacy najmniej powin-

niśmy nicować jego postępki — bo co dotąd mamy życia narodowego jemuśmy winni, a kto wie czy nie przyszła teraz chwila, w której wszystkie nadzieje spełnić sama polityka mu wskaże. — Szanuję przekonanie i zdanie sumienne w każdym, choć przeciwne mojemu, lecz cierpieć nie mogę, kiedy cywiliści kartoflarze, jak ten stary wyjadacz, chcą rezonować o ludziach wojennych, jeszcze o takim jak Napoleon, za piecem dowcipkować, i ciasną piędzią swych rozumków francuzkich mierzyć Olbrzymy, w których ręku Bóg losy świata złożył. — Błazny! powiedziałem sobie w duchu na konkluzyę.

Takie to niegrzeczne i niesmaczne myśli przelatywały mi przez głowę, po przywitaniu Pana Jakuszyńskiego, kiedy Prezesowa rzekła, grzecznie bardzo ale po polsku: — Może by P. Jakuszyński nieodmówił nam towarzyszyć w spacerze z ślicznym Artiurkiem — i przywabiła do siebie chłopca, i poczęła go pieścić, widać że chciała czegoś więcej z nowin politycznych dowiedzieć się od starego Szarmanta, który chętnie na jej propozycyę przystał. Na te słowa, wyskoczyłem jak z procy z powozu, uradowany że mi się dobra zręczność nadarza pozbycia się towarzystwa z którego nieobiecywałem sobie wiele pociechy — począłem wyma-

wiać się grzecznie od dalszego spaceru, dając za powód żem zapomniał o expedycyi ważnej do mego Pułkownika, którą mi trzeba było koniecznie jeszcze dziś wieczór załatwić; ale bystra Prezesowa wnet odgadła moją myśl, nie dała mi nawet skończyć mych tłómaczeń, lecz poznawszy mnie z P. Jakuszyńskim, pewnym głosem serdecznym swoim, co miała jak wabik najsłodszy, rzekła figlarnie: — P. Albert Myszkowski nietylko jest duszą, życiem organicznem i Gros Majorem swego walecznego pułku Strzelców, jest także Gros Majorem tego małego lecz równie doświadczonego regimentu który się składa z serc Pana Józefa, P. Karola Rysinskich, i mojego acz babskiego lecz wiernego serca. *c'est le gros-major de nos coeurs*, bez którego niebyłoby w nich zupełnego porządku; więc ani myśl kochany Albercie, ażebyś mi się mógł od spaceru krótkiego wymówić jakąś tam twoją expedycyą. — Tu się ozwał z uśmiechem słodkim Jakuszyński: — *Le gros-major de nos coeurs! c'est une idée delicieuse et neuve.* — A ja na to już niewiem dla czego także na francuzczyznę puściwszy się rzekłem: — *Oui Madame, mais le service avant tout.* — *Vous voulez dire sans doute, le service des dames,* podchwycił mnie stary frant — *allons, allons, il est impossible, qu'un preux chevalier comme Vous*

l'etes, ne respecte pas des ordres de cette nature; — a ja już zupełnie zagłuszony temi francuzkiemi błazeństwami, milcząc stałem jak dowódca oddziału który natknąwszy się niebacznie na groblę ciasną, obsadzoną strzelcami nieprzyjacielskiemi, widzi że odwrót z honorem jest niepodobny, i tylko z sobą rozmyśla, jak ją z najmniejszą stratą przebyć. — A i miejsca jest aż nadto, rzekła Prezesowa, i wnet wzięła Artiurka i posadziła go przy sobie. Przewidując że moj dworak sfrancuziały będzie nam czas mitrężył ceremoniami niepotrzebnemi, z rezygnacyą stoiczną wskoczyłem do kocza, i zasiadłem na przodzie obok synka Prezesowej, zapraszając starego szarmanta na moje przeszłe miejsce obok Prezesowej; lecz to nic niepomogło, bo począł sypać bez końca protestacyami, że on niemoże dobrem sumieniem nikogo pozbawiać szczęścia siedzenia tak blizko damy incomparable — mówił to z pewną poważną zalotnością, pomimo tego że Prezesowa niebyła młoda, niewiem czy kiedy była piękna, i ciągle mu się w oczy śmiała, lubo nie w sposób szyderski — i niewiem jak by była długo trwała ta sekatura, lecz szczęściem wpadłem na myśl, dać za przyczynę mego przesiedzenia się potrzebę, dla bolu głowy, wolniejszego powietrza, którego mieć niemogłem na tylnem

miejscu w budzie koczowej. Przyjął nakoniec tę racyę, począł wsiadać z wielką ostrożnością jak panienka, przepraszając za najmniejszem potrąceniem nietylko nóg ale kraju naszych sukien, i co chwila powtarzając, *un million de pardon,* siadł nakoniec na swojem miejscu, wyprostował się, otarł z pudru czoło, uśmiechnął się do Prezesowej, zmrużając oczy jak kot co octu chłepnie miasto wody niebacznie, równie do mnie, potem rzekł z nadzwyczaj słodkim dyszkantem:—*La seule raison de santé, cher Major, a pu me rendre obéissant à Votre désir; la seule raison de santé, pouvait me faire occuper ma place dont je n'aurais jamais osé Vous priver et dont je sens tout le prix et le bonheur;* — a na słowo *bonheur,* znowu się obrócił do Prezesowej, i uraczył ją powtórnie uśmiechem słodszym od Manny Kalabryny, a coraz ocierając czoło chustką perfumowaną, powtarzał: — *Mr. Albert est le Gros Mojor de nos coeurs. Il y a longtems que je n'ai entendu un mot si delicieux, c'est charmant.* — A ja w milczniu począłem już rozmyślać o dobrym kapitale cierpliwości — i żem niebył w humorze bardzo wybornym, tem bardziej postanowiłem pilną straż położyć koło ust, żeby mi się coś cierpkiego nie wymknęło w obec tak nudnej figury — w duchu jednak ciągle mi się nasuwała pewna chwila

romansu Wikarego Wakefielda, kiedy poczciwy Burczell w nieznośnem towarzystwie niemogąc się już powstrzymać, ciągle pod nosem mruczy *tudge!* i przypomniał mi się grymas klassyczny Szlika, naszego metra języka angielskiego, kiedy pamiętasz powtarzał za nami czytającemi tę scenę ten wykrzyknik Burczella. —

Droga po nad rzeczką coraz się zwężała, i stawała się przykrzejszą z powodu rumu krzemienistego, którym są zarzucone okolice Krzeszowic. — Pani Prozesowa podała projekt przechadzki pieszej, któregom się chętnie chwycił, tak z powodu pięknej nader okolicy której rad byłem przypatrzyć się zblizka, jakoteż w nadziei uniknienia poufalszego zaznajomienia się z figurą JMPana Jakuszyńskiego, która mi wcale do smaku nieprzypadała. Wyskoczyłem tedy szybko z kocza, i żeby dać wszelką swobodę Pani Przesowej do konferencyi politycznej z tym Panem, jąłem się niańczyć dwóm malcom, których przed sobą począłem pędzić po wązkiej drożynie, zachęcając ich do marszu forsownego — podawszy im kijki w ręce, wmówiłem im że to są karabiny, że są pod moją komendą, że prowadzę ich do szturmu zdala ukazującej się wsi wśród lasu — z czego się niewypowiedzianie cieszył Juzio Rysiński, ciągle pytając, czy dobrze karabin trzyma i czy on za

moją komenderówką doprawdy strzeli. Przeciwnie gagatek Pana Jakuszyńskiego, bardzo trwożliwie i ledwie nie z płaczem postępował na przód i w wielkiej był obawie o swe trefione złote kudełki, ciągle się też na Papę obzierał, i niebył rad że on mu słodziutko polecał ażeby miał za honor być pod dyrekcyą zacnego Pułkownika — już bowiem zwykłą w naszem kraju dworszczyzną, forsztelował mnie jedną rangą wyżej.

Tym czasem głębszym wąwozem wiła się droga po nad strumieniem który co raz silniej pienił i mruczał pośród głazów, a uboczne wzgórza co raz wspanialej się przed nami piętrzyły. — Zapomniałem więc trochę o mojej dyrektorskiej funkcyi, tak mnie cały ten kraj zachwycał, potężne grzbiety tego pasma gór krakowskich odwiecznym borem okryte, przerwy malownicze skał mchem porosłych, stuletne buki, jodły, modrzewie szumiące nad bystrym potokiem, na szczycie najwyższej góry wieże kościoła OO. Karmelitów po nad ciemne jodły ku niebu wystrzelone, wszystko to mnie dziwnie chwytało za serce — a że od dawna pragnąłem widzieć pustelnią Czerny, chciałem więc korzystać z dobrej zręczności, bom przeczuwał że mi podobna już może się nienadarzy: więc przyspieszałem kroku, i malców zachęca-

łem do wyścigów którzy się jakoś lepiej pokumali z sobą, od kiedy Juzio Rysiński, filut chłopiec, zaręczył gagatka swego kolegę, że mu kudełki się nie psują, i że on umie sposób naprawiania loków, jeźliby jaki się zdezolował. — Zupełnieśmy więc stracili z oczu parę za nami poważnie postępującą, a i powóz w pewnem miejscu stanąć musiał, z powodu drogi niepodobnej do przebycia. — Tymczasem strumień coraz gwałtowniej począł huczyć, choć myśmy go z oczu stracili, bo droga oddalająca się od brzegu prowadziła nas w górę coraz gęstszym borem. — Niemogłem pojąć jak tak mało znaczący potoczek blizko Krzeszowic, tyle hałasu tu robił, jakby najgwałtowniejszych katarakt szum i bryzg, rozlegał się długiem echem po milczącym borze — tak że się malce trochę ztoropiły i tuliły się do mnie. Przebywszy dość przykry skalisty pagórek, pośród rzadszego cokolwiek boru, ukazała się stara wieża, od której po obu bokach na wpół rozwalony mur po nad przepaścią ciągnął się — połowa bramy stała otworem, druga na zawiasach zepsutych była źle przymknięta, z każdej strony bramy kratowane okna, wewnątrz dwie izdebki nakształt celi, lecz opuszczone i próżne. — Ledwiem na to wszystko okiem tylko rzucił, tak byłem zagłuszony szumem wód i przynęcony

ciekawością przekonać się zkąd te powodzie gwałtowne tak nagle zawitały. Wiedziałem wprawdzie, że wedle dawnego ścisłego obyczaju Pustelni na Czerny niegodziło się, bez wiedzy przełożonego przestępywać świeckiemu obwodu klasztornego i że ta brama była pierwszą klauzurą, zapowiadającą *procul esse profani,* — wszakże znalazłszy wieżę pustą na wpół otwartą i próżną, ścigając wzrokiem żyjącej jakiejś istoty, pomyślałem sobie: że gdzie drzwi otwarte, to dla tego żeby ludzie przez nie swobodnie wchodzili — więc niewiele myśląc wziąwszy malce za ręce, których straszliwy huk wód wielce przerażał, przeszedłem szybko przez bramę tak ciemną, że wychodzącym odblask słońca i bryzg wody, wzrok zupełnie olśniły — zatrzymałem się więc pomimo woli, żeby przetrzeć oczy. — Mój Boże cóż to za piękny widok. — Zaraz mi stanęłaś na myśli, kochana Siostro, jak zawsze ilekroć mi coś wspaniałego w świecie Bożym przed oczy ukaże się, bośmy nieraz w dzieciństwie podzielali takowe uczucia. — Potok nagłemi deszczy w górach spadłych w olbrzyma się przekształciwszy z ciasnych czeluści dwóch grzbietów gór najeżonych sosnowym borem, z wielką wściekłością sie przez tamę, którą sam sobie był utworzył z pogruchotanych i wyko-

rzenionych ogromnych buków i jodeł, co je po swej drodze niszczył i porywał. — Trupy te leśne jakby w skonię walcząc z napastnikiem, potężnemi swemi konary, czepiały się skalistych brzegów, lecz oporem swoim powiększały tylko gwałt potoku, który coraz potężniej się skupiając z wielkim łoskotem druzgotał je, miotając swe piany wściekłe aż na szczyty drzew nadbrzeżnych — pośród tego nadpowietrznego ruchomego gaju, dobywał się gwar rozmaitych ptasząt w gniazdach jeszcze do lotu niezdolnych, zmieszany z przenikliwszemi piski matek szerokiemi kręgi z rospaczą kołujących nad ginącemi pisklętami — a wyżej jeszcze nad tą rozbitą rzeczpospolitą skrzydlatą, szybowały wyprężonem, groźnem, cichem skrzydłem sokoły, i co chwilę uderzały w jakąś nieszczęsną ofiarę walcząc z potokiem i z rozpaczą matek, nic niezważając na malców moich odpłaszające krzyki, wynosiły w szponach z tryumfem ociekłe krwią i pianą pisklęta. Była to prawdziwie walka na śmierć, co dziwnie jakoś przerażała pośród tego przecudnego widoku wspaniałej posępnej natury. Chłopaczki ochłonąwszy cokolwiek z popłochu poczęli mocno ubolewać nad ptaszętami i rzekli do mnie: — ach jakie to niedobre wielkie ptaki, nieboją się nawet tej strasznej wody, i słabszych jeszcze zabijają:

czy niemożna by ich ratować Panie? — Przed sobą mieliśmy most o dwóch arkadach dość porządnie murowany, prowadzący do przeciwległej Pustelni Czerny. —

Cały ten rokosz i szturm wód odbywał się o kilkadziesiąt tylko krókow wyżej mostu. Słusznie więc można było się obawiać, że acz dość gruntowny uledz mógł przemocy wód, i temu groźnemu tarassowi drzew z korzeni wyrwanych, który coraz słabiej się opierając gwałtownej powodzi już miał uderzyć na słupy mostowe — bacząc jednak że jeszcze pora korzystać z chwili do przejścia przez most, który tylko kilkanaście kroków miał długości, przytem ciekawością co raz wiekszą zdjęty widzenia Pustelni, (dość nieroztropnie, wyznaję, bo droga do powrotu mogła nam być przecięta przez zerwanie mostu) niewiele myśląc, chciałem już z malcami przebiec na drugą stronę — tylko com je wziął za ręce, nagle doleciał mnie głos: — Stójcie w Imie Boże! — Zdumiony tą niespodzianą interpellacyą, pojrzałem w stronę z której głos przychodził: za starym bukiem na urwisku skały, stał sędziwy Karmelita z bosemi nogami w trepkach z różańcem u pasa, głowę miał nieokapturzoną, więc dla blizkości brzegu, dobrze mogłem mu się przypatrzyć. — Był to starzec wysokiego kształtnego wzrostu — nad

wyraz szlachetnych rysów, twarzy przydługiej bladawej, wszakże nieokazującej osłabienia wieku — czoło jego było wspaniałe, wzrok powtórzysty, bystry i słodki na przemiany, usta nader przyjemne — w całem obliczu był wyraz skupienia ducha, przytem cichego łagodnego smutku; coś podobnego raz tylko widziałem w twarzy naszego kochanego, swiętego Ojca Józefa, Berdyczewskiego klasztoru zakonnika, którego pamiętasz Siostro jakeśmy kochali w dzieciństwie naszem — w całej zaś postawie jego było coś że tak powiem pańskiego — rzekłbyś magnat jakiś pod suknią mniszą ukrywający się. — Zakonnik ten patrzał mi bystro w oczy, i ręką wyciągniętą palcem wskazał, na jedno miejsce pod samym mostem. — Dopiero postrzegłem bardziej jeszcze grożące niebezpieczeństwo, którem był prześlepił: albowiem pod jednym z samych słupów mostu woda rozhukana, taras podobny wyższemu nagromadziła była, i już straszliwy łoskot zapowiadał niechybny blizki szturm i zagładę mostu. Cofnąłem się więc nieco przerażony ku wieży, niewiedząc już dobrze co począć — bo mi niechciało się zupełnie opuścić tego miejsca, tak mnie ten widok zachwycał. — Znów się odezwał stary Karmelita poważnie: — W Imie Boże, wezwijmy Matkę Boską Częstochowską na

pomoc i Stego Józefa, żeby nas od nieszczęścia ratowała co nas przedziela, a dobrzy ludzie mogli z sobą się połączyć i rozmówić. Juziu, dziatki módlcie się. — Malec Rysiński dotąd roztrzepany i zbity z tropu krzyknął wesoło klaszcząc w dłonie: — To Ojciec Maryan. To Ojciec Maryan, ja chcę pójść do Ojca Maryana! — a Starzec na to: — pomódl się jakem cię uczył do Matki Boskiej a przyjdziesz do mnie chłopaczku — klęknął na urwisku skały i zawołał: *Salve Regina,* a potem cicho począł się modlić. Juzio więc przypadł do ziemi, nuż dałej sobie ten pacierz zmawiać głośno, a gagatek towarzysz jego ociągał się — lecz pojrzawszy na Karmelitę, który mu surowo trochę skinął ażeby naśladował Juzia, przykląkł także, ja zaś przeżegnawszy się postąpiłem cokolwiek i stanąłem przed malcami, ażeby z blizka przypatrzyć się już niechybnemu jak się zdawało upadkowi mostu.

W tem największa z jodł siłą wody wyrwana, z wyższego tarasu potężnie uderzyła w poplątane i spierające się kłody pod słupem mostu. — Straszliwy się wszczął turkot: wszystkie te potrzaskane kłody, pomieszane z urwiskami skał, poczęły się spinać w górę, nakształt ruchomej baszty, z trzaskiem, szumem i bryzgiem wody, już przyległy do celnego filaru mostu — koniec, pomyślałem sobie, i

rzuciłem okiem pomimowolnie na klęczącego Starca, litując się w duchu nad szkodą o którą jego biedny klasztor przyprawiony będzie. — On ciągle klęczał na jednem miejscu, z złożonemi do modlitwy rękoma, z głową nieco spuszczoną i powieką zupełnie zawartą, bladość prawie śmiertelna okryła jego lice, na których jednak największy pokój i dziwna jakaś cichość serca, coraz wyraźniej się piętnowały — wszystkie rysy twarzy były nieruchome, tylko wolne poruszenia ust, okazywały gorącą modlitwę. W tem wyższe i niższe tarasy przemocą prądu jakby w jedną wyspę płynącą się zbiły, a pogruchotawszy w tem starciu pomniejsze kłody, korzeniami najdłuższych swoich sosen, co się jeszcze mocniej z sobą zszczepiły i wyżej w górę wspięły, jakby potężnemi baranami miały uderzyć na sklepienie mostu; — lecz w tejże samej chwili z podmytego zakrętem wód lewego brzegu, począł się chwiać potężny głaz, a potem runął w przepaść z niewypowiedzianym trzaskiem, jakby wszystek w koło nas las się łamał, tak że nas wszystkich ogłuszył i pianą zupełnie oblał. — Malce krzyknęły i znowu do mnie przypadły. — Przetarłszy oczy od wody, myślałem że już nieujrzę przed sobą mostu; lecz postępował już pośród niego poważnie uśmiechający się Ojciec Maryan, i patrzał weso-

ło na oczyszczony z ruin leśnych ciszej już szumiący potok pod ocalonym mostem. — W tem Juzio Rysiński wyrwał się przedemną jak z procy i pobiegł w objęcie Ojca, który dziwnie czule pocałował go w głowę i przeżegnał, mówiąc: — a gdzie Mama? — Idzie za nami, rzekł malec, a moje kanarki i obrazki co mnie Ojciec obiecał? — Będziesz je miał kanarku, będziesz, jak mnie odwiedzisz, tylko pierwej powiedz mi ptaszku, kto jest ta zacna osoba, która ci towarzyszy? — To Pan Major. — Myszkowski, sługa Pański, *simplex Dei servus,* rzekłem uśmiechając do zbliżającego się. — Zacny ród, zacny, — rzekł wesoło, biorąc mnie za rękę, którąm chciał ucałować, z taką bowiem uprzejmością mi się stawił, jakbyśmy się od stu lat znali, a ja w nim jakbym dawnego przyjaciela spotkał — lecz on mi ją zręcznie umknął, i z wielką serdecznością objął mnie w swoje ramiona.

— Witam, witam, Myszkowski, zacny ród, znałem w Warszawie Starostę, Pana rozumnego, pięknej postawy, wesołej fantazyi, *Catholicissimus* przy tem, poseł z niego był nielada, bo piękną miał swadę, a przytem zdanie zawsze umiarkowane. — To mój Ojciec. —

— Cieszę się z serca że mam pociechę oglądać tak miłego gościa. Wody te psotliwe nierozdzieliły, Bogu dzięki tych, co mieli z sobą się

połączyć na tym padole płaczu, *aquae multae non potuerunt extinguere charitatem.*

— Wyznaję, rzekłem, że już straciłem nadzieję ocalenia mostu, i dotąd niepojmuję jak to się stało. —

— Bo niemogłeś z tego brzegu widzieć Pułkowniku jak ten poczciwy głaz, co go niecnota potok podmył, wpadł w pośród grożącego tarasu, rozbił go a zabiwszy głęboko pod wodę, rozproszył na szczątki, które sobie już spokojnie pod sklepienia mostu popłynęły *in pace.*—Potem obrócił się do malca Rysińskiego: — a widzisz Juziu jaka to piękna modlitewka *Salve*, bo żeby nie te jej śliczne, słodkie słowa *o dulcis, o clemens, o pia Virgo Maria,* toby może już mostu niebyło i jabym się z wami nie widział; proszę cię kanarku niezapominaj jej nigdy. —

A Juzio na to: — Ale Ojciec mi kazał się modlić głośno, a sam cicho klęczał i nic niebyło słychać.

— Ojca Maryana milczenie, rzekłem, lepiej napędziło wody, jak twoje chłopcze paplanie głośne.

— Niemówcie tego, niemówcie Pułkowniku, odpowiedział Ks. Maryan spuszczając oczy. Starzec się modli cicho, żeby go stare grzechy nie zakrzyczały i niezastąpiły modlitwie drogę

do Boga, ale głos takich ptaszków, to szturmem Mosanie do Nieba się dobywa, bo cóżby miało temu maleństwu zawadzać. Zresztą cicho czy głośno, starym czy młodym trzeba się tam dobywać. *Senex et juvenis laudate Dominum* Ale proszę, proszę na drugi brzeg, do naszej *quondam* Pustelni, niema co widzieć wprawdzie jeno ruiny naszej dawnej świętej Samotności, ale i to coś znaczy dla tych co miłują starożytne rzeczy i czasy. Juziu pokażę ci twoje kanarki, i temu drugiemu Aniołkowi pokażę piękne obrazki.

— Ach Panie Pułkowniku, ozwał się Juzio, proszę, bardzo proszę, idźmy do Ojca Maryana. —

— *Arthur, Arthur, mon pauvre enfant,* ozwał się nagle chrypliwy głos po lesie a potem niebawiąc ukazał się przed mostem z chustą w ręku przerażony, blady, zziajany, ledwie już nogami suwający P. Jakuszyński: malec jego poleciał ku niemu, i począł beczeć na widok stroskanego Ojca, ciągle wołając: — To niemoja wina Papo że się loki popsuły, bo ja niechciał iść tak daleko, ale mnie ten Pan stary i młody jego panicz zmusili. Papo, czy loki się popsuły? —

— *Oh mon Arthur je te revois enfin, viens dans mes bras,* rzekł stary, i wyciągnął patetycznie ku niemu swe ramiona, ale postrzegłszy że

malec był wodą zbryzgany natychmiast się cofnął, i rzekł surowo: — Gdzieżeś się to waść tak splugawił, otóż to jest wdawać się w kompanije. — W dobrej był, w dobrej Panie Jakuszyński, ozwałem się, nieodstępowaliśmy go ani na krok, a tą lekką kąpielą co Jegomość na nim widzisz, uraczył nas wszystkich ten to niegrzeczny strumień. —

Dopiero postrzegłszy nas zawołał P. Jakuszyński: — *Mille pardon,* Pułkowniku, w mojej niewymownej *angoisse* o mego Artiurka, nie widziałem nic przed sobą. Ale boteż *le coeur d'un pere* to wielka z niem bieda; kłaniam uniżenie — rzekł zimno do Ojca Maryana który go witał i zapraszał uprzejmie do klasztoru, w czém też i ja mu pomagałem.

— *Impossible, impossible,* szanowni Panowie. Prezesowa jest w najwyższej niespokojności o Juzia kochanego. Tak dawnośmy te skarby nasze z oczu stracili; ten szalony huk wody, te niegodziwe drogi, ten wieczny nieład polski gdzie tylko krokiem stąpisz, kazały nam się wszystkiego lękać, nawet o ciebie kochany Pułkowniku co nieznasz tych okolic. —

— No, no, uspokuj się Wasza Miłość, rzekł poważnie uśmiechając się Ojciec Maryan, wszakże Bogu dzięki Pułkownik nasz Polak i my Polacy wszyscy, i po tym lesie katolicy bez

szwanku co dzień przechodzą — niema zło dziejów, niema w pustelni Czerny, i paniczom nic się niestało Bogu dzięki; proszę na poziomki do klasztoru, i Jegomość Dobrodziej potrzebujesz spoczynku jak widzę. —

— *Impossible*, *impossible*, Szanowny Ojcze. Wasza Wielebność jesteś zapewne zacnym zakonnikiem — replikował z wymuszonym uśmiechem P. Jakuszyński — Bogu tylko oddanym, z światem uczyniłeś wieczny rozbrat, niemożesz pojąć serca rodzicielskiego, serca Matki, *le coeur d'une mere*, bo to u panów, *per calcatam perge matrem.* Nic dziwnego, Zakon, Reguła o sercu nic nie wie; ale biedna Prezesowa będzie w najopłakańszym stanie, jeźli Pułkowniku nie wrócimy do niej czem prędzej z Juziem. —

— O miły Jezu, rzekł O. Maryan, jakieżeście zrobili monstrum z życia zakonnego. Wszakżeć to my biedne Mnichy służymy temu Panu, który dziateczki brał w swe objęcia i podał ich na wzór starym i niegodnym mnichom i świeckim, a w jego Boskiem sercu była miłość jak morze dla wszystkich, i źle by było żeby Zakonnik nieumiał w niem jej wyczytać; ale dajmy temu już pokój, bo to długo o tem gadać. Kiedy zacna Prezesowa się frasuje o Juzia,

to już niebędziemy was utrudzać naszą gościnnością. —

Na to już rzekłem do Juzia bardzo stroskanego i ociągającego się do powrotu: — Idź chłopcze do Mamy z Panem Szambelanem, trzeba słuchać, a Pan Szambelan z łaski swojej przeprosi zacną Prezesowę że niemogę jej na ten wieczór służyć, bo mnie tu pewien interes przytrzymuje, a jutro sam się przed nią wytłómaczę. —

— *Volontiers, volontiers,* rzekł P. Jakuszyński, cokolwiek zniecierpliwiony tem ociąganiem się, a wziąwszy smutnego Juzia i gagatka swego za ręce: — Nóżki pańskie całuję. *Mais prenez garde Colonel au serein* w tym brzydkim lesie. Allons dzieci, allons! — i oddalił się z niemi poważnie, ciągle powtarzając — ostrożnie, bo te mosty, drogi prawdziwe polskie, nigdzie ładu, porządku. — To nasza *cara patria*, niech Bóg szczęśliwie prowadzi — odpowiedział boleśnie uśmiechając się O. Maryan. — Poczęliśmy postępować wązką ścieszką ku klasztorowi, ja zaś do najwyższego stopnia zniecierpliwiony ostatniemi słowy P. Jakuszyńskiego, już niemogłem się powstrzymać: — Ojcze, ale ten Pan Szambelan to prawdziwa zagraniczna małpa, czego on chce od tej naszej biednej Polski? — Moje dziecko, ale cóżto ja robię?

Pułkownik, pułkownik, to wysoka ranga, a ja JWPana po mnichowsku tytułuję; darujcie, bo widzicie, w zakonnem naszem życiu, świat cały wydaje się jakby jedna wielka rodzina, wszyscyśmy dziatki jednego dobrego Ojca który jest w niebie: ależ przecie i między dziećmi zachodzi różnica, jedne są roztropniejsze od drugich, dla tego zaszczyty i tytuły świeckie trzeba szanować, *cui honor, honor.* —

— Proszę cię Ojcze kochany nietytułować mnie, ani obchodzić się ze mną jakbym należał do parafji Pana Szambelana, ja Bogu dzięki nie dworak, ale żołnierz i kocham zakony nasze; miałem stryja Karmelitę: ale miałeś Ojcze coś dalej mi powiedzieć, kiedy ci ta obowa o moje tytuły myśl przerwała. —

— Nieprzerwała, nie, rzekł widocznie rozweselony starzec tą wiadomością o stryju. *Deo gratias.* Stryj sługa Boży i miłośnik Reguły świętej naszej panienki Teresy. *Deo gratias,* to nie nowina w naszych zacnych rodach polski. Żołnierka i zakonne życie: *Militia saeculi,* i *Militia Dei*, te dwie siostrzyczki zawsze u nas dawniej w parze chodziły, teraz to trochę inaczej, prawda, ale wracam do mego pierwszego dyskursu.

Moje dziecko, kiedy już tak pozwalasz siebie tytułować—rzekł dalej uśmiechając się—dałeś

przydomek trochę ostry biednemu Szambelanowi, który przecie na obraz Boży jest stworzony i w Polsce się urodził, cóż on winien że go na francuzkie maniery przerobiono, bo już ta choroba po całej Polsce chodzi.

— Ależ bo to Ojcze nieznośna figura: bo w takich ludziach pod cienką powłoką tylko kultury zagranicznej, egoizm zimny przyczajony buja. Ja znam dobrze Francyą i Francuzów, mają oni swoje wady, ale grzeczność ich jest pełna uprzejmości, potrzebą ich serca, a obok defektu narodowego fanfaronady, zawsze znajduje się gotowość poświęcania się drugim; ale nasz brat zfrancuziały jak ten Pan Szambelan, jakaś karłowata roślina z trejbhauzu, co na żadnej ziemi dobrze się nieprzyjmuje, i jak chwast zawadza po drodze.

— Surowy z ciebie ogrodnik moje dziecko: dziękuj raczej Bogu, że ciebie do trejbhauzu z młodu niewsadzono. Ale ogród Boży wielki i wspaniały sadownik jego, żadnym krzewem niewzgardza: póki najmniejsza jest nadzieja, że może kiedyś zakwitnąć, polewa, okopuje, podgnaja, okrzesuje, przygodami. Jeszcze ci wiele lat zapewne przyjdzie chodzić po świecie bożym, boś w samej sile życia, trzeba ci się uzbroić w wyrozumiałość i cierpliwość: — u nas zwłaszcza, u nas gdzie, tyle plant

cudzoziemskich posprowadzano i pozasadzano, nietylko z Francyi, ale i z Anglji, ale i z Niemiec luterskich, tak że ledwie w wielkim sadzie Rzeczypospolitej polskiej, krajowego jakiego kwiatka dostrzedz można, a jeźli rośnie w zaciszu skromnie, to niem pogardzają — trzeba wielkiej cierpliwości z drugiemi i z sobą samym; bo gdzie cierpliwość, tam miłość, nie ta filantropia zagraniczna, ale owa stara i zawsze młoda charitas ewangeliczna, która, *omnia sustinet, omnia suffert, omnia sperat, non cogitat malum, congaudet boni.* Bez niej, ani niedobrych chwastów niepozbędziemy się, ani nasze stare kwiaty polskie niezakwitną, a i w nich jest wiele nieosobliwych, które nie pachną i niepachniały nigdy, a nic im to niepomoże że nasze i dawne: bo nieprawość jak baba, tem brzydsza im starsza — a gdzie co u drugich nawet za granicą znajdziemy dobrego, rozpatrzywszy się w niem rozważnie, przyjąć należy jeżeli nam jest przydatne, choć to niby nienasze polskie i nowem się nam zdaje; dla nieuków, próżniaków i przesądnych, wszelka dobra praca jest nowością, choć ona stara jak świat, jak cnota — a dla płochych, wszelkie zagraniczne błazeństwo jest mądrością, dla tego że niby ono także nowe, choć ono stare jak niedorzeczność ludzka. Któż z statecznych ludzi n. p. może się rozczulać

nad owem *Vitrum gloriosum* naszych starych bankietów, czyli raczej *Vitrum ignominiosum.* Któż będzie gardłował za temi zabójczemi sejmikami i sejmami, za temi konfederacyami — których siła tak mała była na dobro kraju, a tak potężna na rozprzężenie. Wiem ja, wiem, że nasi panowie literaci czułe z tego układają powieści i historyjki, i kiedy trafnie takowe bacchanalia domowe i polityczne opisali, to już się zdaje im, że jak najśliczniejszy konterfekt naszej starej Polski wystawili światu; ale *pro dolor*, nie dla tych to defektów ona była zacna, co oni tak wiernie malują — ale pomimo nich raczej była taką, przez Wiarę, Szczerość, Gościnność, Męztwo, i cnoty rodzinne, a właśnie te rzeczy u tych panów literatów zawsze tylko krotofilnie są wystawiane. Jak to pociesznie n. p. kiedy można Magnata zawadyakiem i pijakiem zrobić, razem i nabożnym do najświęt. Panny, i tym podobne figle — i to nazywają po swojemu poezyą. Piękna poezya, co niebo i piekło pakuje do swojej kompozycyi, a sami w nie nie wierzą. Nie wierzą, nie, widać to po ich utajonem śmieszku kiedy o tem prawią, luboć powyuczają się trochę języka dobrych wiernych katolików. — Ale to jest najgorszy gatunek ludzi, bo obojętność zrobiła w nich życie duszy, i tylko talentu od Boga sobie po-

wierzonego nadużywają, ażeby po najdroższych stronach serca brząkać zuchwałą ręką, jak kozaczki ukraińskie po sprosnych bandurkach.

Owóż tedy moje dziecko, zacny Pułkowniku, moja dusza zawsze unikała i od nieroztropnych zachwalaczów starych dobrych czasów, między któremi wiele niegodziwych było, i od płochych kochanków teraźniejszych przednich nowych czasów, które nam nieraz do żywego dokuczyły, a najbardziej stroniła od tych figlarzów literatów, co nam całą naszą przeszłą Polskę, jak jaką wielką krotofilę — poetyczną, czy romantyczną, jak tam ją sobie zowią — malują, bo w nich wszystkich, prawdy i jej zamiłowania nie ma, jeno nadużycie daru Bożego — i *Vanitas*, i *vox, vox praetereaque nihil.* Owóż tedy *medium tenuere beati,* moje dziecko, Panie Pułkowniku, szukajmy prawdy i pośród teraźniejszych czasów, okiem miłującem prawdę, a znajdziemy jej złoty owoc — nie będziemy ani dziwakami, *laudatores temporis acti,* ani *contemptores majorum, medium tenuere beati* — *omnia probate, quae bona sunt, eligite* mówi Apostoł. — A potem dodał bardzo wdzięcznie: — A co stary zrzędzi, gdera, prawda moje dziecko, zacny Pułkowniku? Cóż robić, wlazłeś między wrony, krakaj jak i ony. Do pustelni wszedłeś, musiałeś

na wstępie odbyć mortyfikacyę, i słuchać tak długiej chryi, i pomyślałeś sobie: oto mnich bredzi.

— Owszem Ojcze, bardzo mnie pocieszyły i zajęły twoje szanowne uwagi, i widzisz że nieposzły w las, bo już nawet niegniewam się na Szambelana, który dał do nich powód.

—Chwała Bogu, niech sobie żyje zdrów Szambelan, znam ja go, ma on zalety swoje, a nikt bez ale, wszystkie ludzkie żale rymują z ale. Chwała Bogu jużeśmy w domu, ja drogę pokażę; — i postąpiwszy krętą ścieszką wyprowadził mnie na plac wolny: wnet stanęliśmy przed samym kościołem Pustelni. —

Kościoł Czerny o dwóch wieżach, szczupły, nic niema w sobie wspaniałego, prócz starożytności, we wnątrz równie jak ze wnątrz wszystko jest odpowiedne celowi swemu, wszystko tchnie samotnością, i duchem pokuty, który mieszkańców tej pustelni był godłem — ściany zupełnie nagie białe, trzy ołtarze z czarnego marmuru Siedleckiego. Gdyśmy po krótkiej modlitwie Ojca Maryana przed wielkim ołtarzem, wyszli na kurytarz klasztorny: —Przed kilkodziesięcio laty, rzekł, zacny Pułowniku, byłbym cię z radością do kapitularza, do naszej pięknej niegdyś biblioteki i do naszych cel zaprowadził; ale z kapitularza zrobili sobie

skład kamaszów i mundurów austryackich — z biblioteki co lepsze dzieła zabrano do Uniwersitetu Krakowskiego, a w celach miasto braci wróble gnieżdżą, a w ogródkach pokrzywa rośnie. Z kilkudziesięciu Zakonników, czterech nas tylko tu teraz widzisz, lecz święta samotność, stosownie do dawnych reguł tego klasztoru o których ci poźniej wspomnę, wzbroniona nam jest — klasztor z ogrodem i lasem, i kościół który był tylko przeznaczony dla pustelników, i prócz wielkich dwóch festów niedostępnym był dla nikogo, stoją teraz otworem na cztery strony świata. — Czerna przestala być świętą Pustelnią, i świat do niej wtargnął, ale dla tego świat niejest ani weselszym ani szczęśliwszym, niepodzielił się z nami naszym starym świętym pokojem ducha, tylko go z tych murów i lasów wypłoszył, a my biedni pozostali tu Mnisi, siedziemy jak stare inwalidy w fortecy zburzonej, i w sercu tylko chowamy święte relikwie naszego przeszłego żywota. Ruina to, ruina, zacny Pułkowniku, moje dziecko, nie od czasu, nie, ale z dopustu Bożego od ludzi zrządzona. — Ale *non sicut nos volumus sed sicuti tu vis*, rzekł z podniesionem w górę smutnem okiem O. Maryan. I wnet jakby sobie wyrzucał to narzekanie, dodał: — Otóż pięknie cię moje dzieko witam,

lamenty, a tu trzebaby podziękować Bogu, że mi tak zacnego gościa przysłał na pociechę serca, bo widzę w tobie acz krótko się znamy, staropolską wiarę, a toż to wielka pociecha, wielki przykład. — Bo cóż tam, miły Jezu, dziwnego, że mnich się modli, że kocha samotność — on w tem zrósł powietrzu; ale kiedy kawaler młody, któremu świat się śmieje, a dotego jeszcze wojak, rozumie co to pobożność, co to wiara katolicka — kiedy, głupi świat jak niegdyś brzydkie żydostwo bluźniło Panu Jezusowi, a on jak ów Longin woła odważnie, statecznie: *Vere est hic filius Dei*, i pokłon mu pośród zepsutego świata oddaje — Oj, w tedy i mnichowi jest czego się nauczyć, jest, i serce z radości rośnie. Otóż to mi Bóg dzisiaj taką w tobie przysłał naukę i pociechę, moje dziecko, zacny Pułkowniku — więc nielamentować, nie, staremu, ale cieszyć się trzeba, bo widzę jest jeszcze, jest, w Polsce bojaźń Boża. Proszęż cię do mojej celi choć na chwilkę.

Cela O. Maryana była dość obszerna o dwóch oknach, największa w niej czystość panowała. Łoże z dębowych desek, porządnie kocem szarym okryte, lecz z pierwszego rzutu oka widać było, że ani materaca, ani siennika, ani poduszki, pod nim nie było: dwa duże skórzane krzesła, stolik dębowy dość obszerny,

z krucyfixem, kałamarzykiem i papierami, pułki dość obszerne na których foliały Ojców SS. się ukazywały, dwa piękne sztychy w ramach drewnianych S. Teresy i S. Jana od krzyża, składały całą ruchomość tej celi. — Skorośmy weszli, O. Maryan uścisnąwszy mnie serdecznie prosił siedzieć, lecz ja już byłem u okna i pomimowolnie krzyknąłem: ach jak ślicznie! i niemogłem się oderwać od tego widoku. — Okna te wychodziły na ogródek niewielki w czworobok murem opasany, w koło murów ogromne buki, rozkoszny cień rozpościerały, a w środku jak najwspanialszy kobierzec perski rozwinięty w najcudniejszych barwach się ukazał, rozliczne jego wzory jak najforemniej były skreślone w kształcie czworoboku, w rozmaite pasy, koła, półkoła i inne misterne figury, a na środku samem z najżywszych kolorów wielka Anagrama Imion Jezus i Marya najdokładniej było wyrobione, a między kobiercem i bukami ścieszka, pięknym zwirem złotego prawie połysku usypana, i ławeczki z darni pod bukami. —

Braciszek krzątał się między drzewami z naczyniem do polewania. —

Niemogłem pojąć tej roboty. — Ojcze, rzekłem, przepraszam że tak niegrzecznie na twoją gościnność odpowiadam, ale nigdy jeszcze nietrafiło mi się widzieć tak pieknego ogródka.

Cóżto za kobierzec! — A prawda, odpowiedział O. Maryan. To nie moja praca, bo ja stary do niczego, ale Braciszka Anzelma, co go tam widzicie. Z wysoka to ci się, moje dziecko, wydaje jak kobierzec, ale do niego ludzie nie snuli wątku, jeno Pan Bóg, bo to wszystko z kwiatków ułożone. — Czy to być może? ozwałem się zdumiony. — Tak jest, tak, dobrzy ludzie dali nam przed kilką laty renonkułów. Braciszek Anzelm póty pieścił się z niemi, i póty ich przynęcał i zbierał do kupy, póki wrzeszcie nieułożył z nich tej cacki, a braciszek to niezgorszy sadownik, kocha Matkę Boską i Pana Jezusa, więc tam wszędzie po swojemu, poukładał cyfry z przenajświętszych Imion. Zwyczajnie mnichowska zabawa. Ale widzę że się już od tej cacki nieoderwiecie, więc proszę do ogródka. — A potem przez okno zawołał: — *Frater mi* mamy gościa zacnego. — Niechno Wasza Miłość postara się nam a poziomki i mleko, a my do ogródka zejdziemy. — Braciszek się nizko ukłonił i wyszedł przez furtkę ukrytą w murze ogródka, a O. Maryan proprowadził mnię schodami klasztornemi do tego prześlicznego miejsca. —

Tylko cośmy tam weszli, Braciszek Anzelm spiesznie wbiegł za nami i szepnął coś na ucho O. Maryanowi, który nieco okazał się

zafrasowanym, lecz po krótkiem milczeniu rzekł do mnie: — Daruj moje dziecko, zacny Pulkowniku, że cię na chwilkę opuścić muszę, ale niedługo będę ci służył, a może jeszcze jakiego ci gościa przyprowadzę; — i po tych słowach wyszedł szybkim krokiem z ogródka. Prosiłem go żeby się nietroszczył o mnie, i widziałem po jego obliczu, że go coś ważnego zmusiło do tak nagłego odejścia; począłem więc obchodzić ten śliczny ogródek, a z blizka jeszcze bardziej mnie zachwycał — oto Wirydarz tak kunsztownie kwiatami upstrzony co mnie z góry jak kobierzec się wydał, a na widok tej drobiazgowej troskliwości powiadziałem sobie: niema co mówić, jeno cierpliwość mnichowska mogła się zdobyć na taką robotę. W tem nie daleko fórty posłyszałem nagle krzyk radosny: — Ojcze mój! toś ty, i — Juziu, Juziu! — i płacz łkanie, przerywane głosem O. Maryana: uspokój, się *pax tecum.* — I jakiś inny grubszy głos: — no, no Generałowiczu *esto vir, quare conturbas nos,* pamiętaj na twoje zdrowie delikaciku; — i znowu ciche gadanie i szepty, pośród których wyrywały się niekiedy te głośne słowa: — Niemogę teraz widzieć nikogo, a zwłaszcza obcego, prowadź mię Ojcze do kościoła, przed obraz Matki Boskiej. — I znowu szepty, które widocznie były namowy na wejście do ogródka

i uspokojenie się. Przyznam się że ta scena niewidoma trochę mi była nie na rękę, bom zaraz zmiarkował, że moja osoba była w tym wypadku zbytnia. — Niemogłem także oddalić się z ogródka, bo jedno było tylko wyjście z niego, które by mnie wprost sprowadziło na nieznajomych i bardziej mogło jeszcze ich poturbować. — Wolałem więc już czekać spokojnie co to dalej będzie, i bardziej jeszcze w przeciwną stronę oddaliłem się, żeby nawet uniknąć pomimowolnego podsłuchiwania, do czego znasz dobrze Siostro mój wielki wstręt, Przez dobry kwadrans odzywały się to ciszej to mocniej rozmaite głosy jak wyżej, z których jeden O. Maryana znany mi był: nakoniec otworzyła się furtka i wszedł O. Maryan z obliczem na wpół smutnem na wpół wesołem, uroczystem, ze łzą w oczach, i rzekł uśmiechając się: — proszę, proszę, ja pokażę drogę do naszego małego raju. — Za nim się ukazał 22 letni młodzieniec wysmukłego wzrostu w taratatce czarnej, rysy jego były nad wyraz foremne, szlachetne, oko i gęsty włos czarne, lecz przykra bladość twarzy i dumny jakiś wyraz smutku, psuły wrażenie jakie cała jego urodziwa kształtna postać za pierwszym rzutem oka sprawiała. — Trzeci za niemi postępował, czerstwy, wesoły, rumiany, biały jak gołąb staruszek

z potężnym wąsem, w wytartym spłowiałym surducie mundurowym Kawaleryi narodowej.

—Dotrzymałem słowa, rzekł O. Maryan z wesołością widocznie wymuszoną na wewnętrznem poruszeniu, przyprowadzam gości. Zacny pułkowniku Myszkowski — i wziąwszy za rękę Staruszka — to jest Pan Porucznik Koc, *quondam* sławny rębacz miles, teraz i zawsze *fidelis miles,* a do tego sodalis Maryanus; ale teraz niemacha już szablą, ale wziął się do prawdziwej krzyżowej sztuki, do pacierza, *ad orationem,* ale dobry miles zawsze, choć już nie łowi Drewiczowskich huzarów jeno trznadle. —

—Tatku mój, ozwał się staruszek ukłoniwszy się nie z wesołą fantazyą, a czy się godzi mnie tak rekomendować JW. Pułkownikowi. To Pan młody, niewie czy byli kiedy na świecie Drewiczowskie huzary, i co oni z nami wyrabiali, a mnie za trznadle nie forsztelował na porucznika Demulier: a to ja się lepiej sam zarekomenduję za pozwoleniem Pana Pułkownika. —

— Ej co tam Demulier, przerwał mu O. Maryan. Tobie już Kocuniu, to jeno rozważać ze mną starym, *homo natus de muliere, brevi vivet tempore et multis repletur miseriis.* To Demuliere lepiej cię zaforszteluje *ad beatam aeternitatem,* jak ten twój nieboszczyk Francuz Demulier. —

—Prawdać to święta, Tatku mój drogi, ozwał się niezbity z rezonu Staruszek. Nieosobliwy był łacinnik Demulier, nie, bywało człek chce od tego Francuziska języka dostać, jakże z nim? parle franse, Koc ani rusz, więc ja do łaciny biorę się, jak katolik do katolika przemawiam: boć się przecie u Jezuitów w Przemyślu Alwara niezaspało — więc jak mu utnę *periodum Ciceronianum*, a Francuz jak rak oczy wytrzeszcza, jak na niemieckiem kazaniu, i zaperzony jeno mruczy *diabl de latę*, chce niby coś odpowiadać, ale jeno przez zęby świszcze jak gil *kid*, *kid*, *dominius polonius*, to znowu przez nos jak kaczka na stawie spłoszona gęga n ą e t e l l i g o, D i a b l. — Ot jaka śliszna francuzka łacina, strach Boży słyszeć jak oni *quantitatem et prosodiam* gwałcą, aż uszy więdną. — Niebyło rady, to święta prawda, brzydka była łacina w obozie z generałem Demulierem, ale Tatku jak przyszło do sprawy orężnej, do korda, to go od razu człek porozumiał: bo Francuz Mospanie szedł na kartacze jak na obarzanki, a przytomny, a weselutki, a zuch, każdy za jego skinieniem, tylko patrząc na jego piękną marsową faciem i manierę, zaraz wiedział co i jak miał robić, i dowiedzieli się o tem nieraz z wielką swoją szkodą Moskale — dał im on nieraz hartu z tą swoją kiepską łaciną, i dla tego choć mi

z Demulierem przykro było rozmawiać, ale bić się pod nim walnie, i srodzem go za to kochał, bo to zuch, oj zuch Tatku — pamiętam raz podi Kalwarią —

— No, no Kocuniu, przerwał mu znowu O. Maryan, pozwól nam pierwej zasiąść pod cieniem tych drzew, bo to długa ta twoja Kalwaryjska fabuła. Proszę siadać zacnych gości — i wskazywał nam ławeczkę z murawy pod drzewem. — Jakto fabuła Tatku drogi, *quare conturbas me?* Żyje jeszcze Pan Jacek Kuropatnicki w Krakowie naoczny świadek, którego Huzar Drewiczowski dobrze pocałował w prawą rękę, a jać tam także nie gruszki zbierał, i co widzieć pod okiem prawem (szramę potężną ukazał) toż to nie kogut dziubnął, bo tam niebyło kokoszej wojny pod Demulierem. —

— No, no Kocuniu, tobie tylko w głowie Demulier, ale ja mam swego, a mój lepszy od twego, *homo natus de muliere brevi vivens tempore.* — Ależ Tatku drogi! — I niewiem jakby długo jeszcze trwała ta pocieszna alterkacia, którą z umysłu i z przybraną wesołością przedłużał O. Maryan: uważałem bowiem że ciągle rzucał niespokojnem okiem na młodzieńca, i w widocznym był frasunku, że mnie z nim dotąd niemógł zaznajomić, a niewiedział jak do tego przystąpić, i dla tego tak niby kroto-

filnie drażnił staruszka. — Ja także cokolwiek byłem zbity z tropu, tą zimną smętną postawą młodzieńca, tym staruszkiem wesołym i jego przezwiskiem — Koc: jakieś dziwaczne wspomnienia plątały mi się po głowie, więc wpadłem w roztargnienie, i niezważając na zaproszenie O. Maryana, stałem nieporuszony, i wpatrywałem się tylko mocno w oblicze siedzącego już staruszka na ławce. — W tem młodzieniec, który stał w oddaleniu, przystąpił do mnie raźnym krokiem. — Widać było w nim silne passowanie się z sobą, w którem myśl jakaś jak błyskawica po czole przeleciała, lecz to krótko trwało — uśmiechnął się do O. Maryana, jakby mu jakiś chciał dać znak, że wie co mu jest na sercu i temu zaradzi — rysy jego przed chwilą tak odpychające zimną obojetnością, przybrały nagle wyraz jakiejś czułej słodkiej uprzejmości, rzekłbyś, że cała jego szlachetna dusza wystąpiła mu na twarz błysła w oczach pełnych dobroci; lekko się zarumienił — nigdy tak prędkiej zmiany na obliczu ludzkiem nie trafiło mi się widzieć, tak gładkiego grzecznego panicza. Z nieśmiałością, słodkim jak wabik głosem rzekł: — Prezentuję się Panu Pułkownikowi. Jestem Józef Kosinski, i mam sobie za szczęście poznać tak zacnego żołnierza, przyjaciela Pana Szefa Ry-

sińskiego, którego tyle kocham i szacuję — i podał mi rękę.

—Prawda, rzekłem, ścisnąwszy mu serdecznie rękę, Rysiński na mnie łaskaw, i widzę że o wiernym koledze niezapomina, bo jego przyjaźni winienem tak miłą zacną znajomość. — I powtórnie ścisnęliśmy się za ręce, a jam patrzał ciągle w prześliczną twarz młodzieńca pełną szlachetnej słodyczy, i niemogłem się od tego widoku oderwać, tak mnie do siebie nęcił — i on zupełnie już inny, wesół, niespuszczał ze mnie oka — wzrok jego ognisty, zdawał się chcieć przeniknąć wszystkie moje myśli, i jakby cieszyć się że one mu już niesą tajemnicą. Dziwny to był Panicz. —

Tym czasem O. Maryan, nagłą tą zmianą wielce uradowany, ozwał się: — *Optime, optime,* a prawda zacny Pułkowniku, moje dziecko, żem ci miłych gości przyprowadził. Oj Juziu! Juziu (dalej mówił patrząc z niejakiem rozczuleniem na młodzieńca), jakżeś mi urósł, jak się odmienił i wypiękniał; ale *pulchritudo Christiani tota ab intus,* jak Sponsae in Cantico. Zapewnie i tam wypiękniałeś mi jeszcze lepiej gagatku. — A młodzieniec pobladł nagle, spuścił w dół oczy i westchnął.

W tem wszedł Braciszek z paziomkami a dwóch wniosło stolik okrągły, talerze i parę

stołków. — O. Maryan posadził mnie na ławeczce darniowej obok młodego Kosinskiego, postawiono przed nami stolik, a sam przy mnie zasiadł na stołku i na przeciw siebie umieścił Koca — począł z wielką grzecznością częstować nas poziomkami, mlekiem, orzechami i miodem.

— Proszę, proszę panów moich zacnych, wiem że niegardzicie naszem ubóstwem, a orzeszki przednie, wszystkie braciszek Anzelm wiewiórce z jamki wypatrzył — ale jej zostawił, zostawił, żeby niebyło krzywdy nikomu: żadnego niema świstaka, pełny każdy: ale to dla tych młodych zębów, nie na nasze Kocuniu, bośmy je dawno na twardych kościach tego świata pogubili Kocuniu. — I śmiejąc się Zakonnik ukazywał jeszcze piękny rząd zdrowych zębów.

— To mi znów przymawiacie Tatku, choć was niedostatek taki nie trapi, a godziż się to? Wielkie dziwo żeście na rybie i warzywach w całem waszem postnem życiu zębów nie postradali, ale Tatku kto sotniami łodunków musiał ogryzać, a nieraz wśród marszu kosteszki tylko łupać. — No, no Kocuniu niegniewaj się. Dobrze mówisz, uznaję że ja Waszę Miłość jeno *ad exercendam virtutem* zawsze mortifikuję, jak byś był jednym z owych ochotników co tu niegdyś na żywot pustelniczy przybywali, bo *nemo sapiens nisi patiens.* —

Ach prawda Tatku, *hic seca hic ure, dummodo parcas in aeternum,* odpowiedział Koc zajadając smacznie sporą misę poziomek. —

— Ach Juziu! (znów się ozwał O. Maryan utkwiwszy wzrok w Kosinskiego) jakeś mi podobny do nieboszczki Generałowej Anieli, Mamy twojej, świeć Panie nad jej duszą. Ach pięknaż to była dusza, zacny Pułkowniku. Rzekłbyś, że i ją miał na myśli Król Salomon kiedy ten piękny panegiryk swój o niewieście skreślił: *Mulierem fortem quis inveniet, procul et de ultimis finibus pretium ejus.* Bo to była Pani i do Boga i do ludzi: pracowita jak pszczółka, stateczna, miła wszystkim, a uroda jej rzadka nie kłamała, nie, jak to często bywa, lecz była wiernem zwierciałem jej piękniejszego jeszcze ducha, dłonie i serce otwarte dla nędzy; a jaka robotnica! Wiele prześlicznych jej robót kościoły ozdobiły: jest jej pamiątka i w Czerny, jest towolnia bogata do ołtarza Matki Boskiej. A Polka to była, Polka jak teraz rzadko ujrzysz. Słyszałem też że jak święta umarła. —

— Niestety (rzekł Kosinski ponury) ja mojej Matki nieznałem, tak wcześnie nas osierociła — potem zatrzymawszy się dodał z jakimś zapałem — ale dała mi opatrzność drugą, którą żebyś znał Ojcze, pewniebyś także szacował.

Wiem, wiem Juziu, zacna dama Włoszka, jest twoją macochą. —

— Nie mococha, nie — przerwał coraz bardziej poruszony Kosinski. — Daruj Ojcze że niemogę zezwolić na tę nazwę, która w pospolitem znaczeniu ma coś nieprzyjaznego, zimnego. Pani Giudytta macocha. O nie, ta kobieta to anioł dobroci z bohaterskiem sercem męża i zupełnem poświęceniem sie dla ludzkości i wolności świętej. Niema jej podobnej na świecie. — Wierzę, wierzę mój Juziu, jam tylko zwykł mówić o rzeczach dobrze mi wiadomych. — Na te słowa zamilkł młodzieniec, lecz oczy pełne ognia okazywały silne wzruszenie: pojrzałem na O. Maryana, i zrozumiałem zaraz że to przymówienie się namiętne Kosinskiego, dziwne na nim zrobiło wrażenie, tak jak na mnie.

I jakiś czas trwało milczenie, które przerwał stary Koc, z dobrą fantazyą zabierając się do orzeszków, jakby na przekorę O. Maryanowi, żeby mu dowieść że jego zęby, jeszcze nie jednego potrafią zgryść orzeszka.

— A co to się święci JW. Pułkowniku, u Panów już to niemusi być nowina, bo i do naszej Alwerni doszedł ten rumor. Wasz Bonapart już pono w Drezdnie, i nieprzybył tam na koncerta i teatra włoskie Króla Sasa, nie: ma on z sobą inną kapelę. 500000 *ex omni*

genere musicorum: SzasserówKieressyerów,Grenadyerów, Gwardyi, Kawaleryi i Piechurów *sine fine dicentes,* a harmatnich instrumentów, kul i amunicyi jak maku, a wszystko to jak z igły. I Krolów i Książąt i Marszałków tych Francuzkich, a wszystko strojno, pawiaste i czubate kieby nowożeńce. Widział ja tego trochę w Poznaniu r. 1806, tak jak kiedy nasze niegdyś rycerstwo rojami się parło do szopy gdzie Króla Polskiego obierano. Oj będzież to pono Symfonia nielada, jak on pocznie Moskwie przygrywać, jak zaprosi do tańca uperfumowanego Alexandra. Oj bo to ćwik wierutny Bonapart, już on Prusakowi, Austryi i Moskwie nie raz pierwszy tak przygrywa, a zawsze skakać musieli po jego dudce. Niema co mówić zuch Francuz, choć jak mi mówiono, niema się na kogo patrzyć, bo to słyszę Mosanie małe, pękate, i tylko mu przy boku szpadka jak rożenek wisi; ale dość że zuch, i z rożenkiem leci jak osa w oczy kulom. *Fertur*, że go Demulier tak wytressował, w jakimś tam korpusie kadetskim we Francyi, i to mnie nie dziwi, bo Demulier, Mospanie, to djabeł był nie Francuz.

Nugae, nugae Kocuniu, rzekł O. Maryan, Bonapart niewiem czy nawet widział kiedy twego starego Demuliere. Czegóżby się miał uczyć od niego. —

—Szanownego Pana Koca (ozwał się znowu Kosinski ponury) szlachetne uczucia, każą mu się domyślać że poczciwość i wspaniałość duszy, są zawsze towarzyszkami chwały i wielkości ziemskiej, że zacny, poświęcający się dla wolności norodu przez wrogów uciemiężonego, G. Dumurier, był mistrzem tego Bonopartego; ale tak nie jest szanowny Kocu, szczęściem dla dobrej sławy Gen. Dumourier: bo to był mąż prawy, wierny swym zasadom, przyjacielem swobód i praw ludów, przyjacielem nieśmiertelnego Paoli — nic on nie miał wspólnego z tym wzgardzicielem ludzkości którego geniusz niszczący, jak łuno piekieł krwawym płonieniem przyświeca światu — którego godłem jest zniszczenie tego wszystkiego co się jego dumie opiera, a najmilszą rozkoszą spodlenie godności człowieka. Ze wszystkich historycznych, ten to największy bicz Boży, przewyższył on swego prawdziwego mistrza Attylę: bo tamten tylko spodlone niewolnictwem Rzymu ludy niszczył, a ten przelewa strumieniami nie krew niewolników, lecz krew Europy, światłem i duchem wolności zakwitającej — o Boże jak —

—O Juziu co tobie się dzieje! ozwał się boleśnie O. Maryan.

—Za pozwoleniem (przerwałem mocno poru-

szony. Słyszałem wiele o zasługach wojennych Gen. Kosinskiego pańskiego Ojca, walczył zaszczytnie w szeregach tego wielkiego człowieka, którego obraz tak nieprzyzwoity Pan kreślisz, pod którego chorągwią, dla najdroższych nadziei, stoją dotąd wszyscy nasi wodzowie wojska najznakomitsi, zanosząc ofiary — —

— Gdzież jest Kościuszko? — namiętnie przerwał z żarzącem się obliczem — on z nim i z wami nie jest, i to wasza hańba. — Porwałem się na nogi cały w ogniu: — Mości Panie Kosinski to za nadto. Mleko pod nosem a skromności ani szczypta, a zarozumiałość jak olbrzym, i niewiem czy się kiedy prochu powąchało na wojnie. Powiem WCPanu otwarcie, niemasz prawa nawet wspomnieć Kościuszkę, bo to wielkie Imie jest godłem skromności i cnót wszelkich. Wstydź się młodziku, ja znałem Kościuszkę i wiem co mówię. —

— Znałeś go, rzekł, znałeś? (i pojrzał na mnie łagodnie, a potem dodał smutno) — tać nierozumiem ciebie Pułkowniku ani ty mnie. Młody jestem, prawda, dla tego wasz świat niejest moim światem, niemoże być więc on sędzią moim, on mnie nie pojmuje, ani tych którzy podzielają moje uczucia. Wam tylko wojny i sławy trzeba, i wodza któryby was prowadził na rzeź. W Niemczech, we Włoszech,

w Hiszpanji, w S. Domingo, po całym świecie szukacie Polski, jak zdobyczy na pobojwisku: polujecie z tym Nemrodem na wolność narodów wam przychylnych, w nadziei że wam wśród łupów krwawych wasza niepodległość się dobędzie; ale marne, marne nadzieje: kto z lwem poluje, z lwem się dzielić niebędzie, żadna mu się cząstka nieokroi, bo lwia cząstka znaczy wszystko. Polska niepowstanie jak bańka z strumieni krwi, ale z cnoty, jedności, i wiary. Żal mi was mocno, bom dzięki Bogu nieprzestał nigdy być prawym Polakiem: lecz właśnie dla tego, dla żadnej fałszywej przyzwoitości, dla żadnej dworszczyzny ani tak nazwanej opinji powszechnej, nieuczynię ofiary z mego przekonania o losach kraju mego nieszczęśliwego — nazwijcie to zarozumiałością, młodością, exaltacyą, jak sobie chcecie, niezmieszacie mnie tem ani oburzycie: były i te struny drażliwe w mojem sercu, były, ale już umilkły bo je dawno porwało uczucie, które bym rad szczerze wytłómaczyć lecz niepotrafię — bo daruj Pułkowniku (tu pojrzał na mnie z litościwą miną), z tego com słyszał widzę zebyś mnie jeszcze mniej zrozumiał jak przy zaczęciu rozmowy. Niech każdy swoją postępuje drogą (dodał już spokojniejszy) przeznaczoną mu od opatrzności, a gdy u mety

staną, wszyscy się zrozumieją, bo tam już niebędzie potrzeba objaśnień. — Było coś niewypowiedzianie bolesnego i rozpaczliwego w tonie, którym wyrzekł te słowa Kosinski.

O. Maryan, przez cały ten czas, odzywał się tylko półgłosem: — Juziu, Juziu, co się tobie dzieje. — Ale mnie się przebrała miarka cierpliwości, tłumiąc w sobie gniew rzekłem:

— W żołnierzu otwartość jest rzecz przyzwoita, więc za szczerość pańską szczerością się odpłacę. Nie jest, nie było nigdy moim nałogiem narzucać nikomu mój sposób myślenia. Pan jesteś młody, przyjm od starszego uprzejmą radę. — Pan, jak mi się zdaje, wiele górnych myśli w swem sercu piastujesz, i to nie jest zupełnie nagannem, tylko racz pamiętać że bez umiarkowania i skromności, niema prawdziwej siły, a Pan masz jeszcze długą drogę żywota przed sobą: jeźli niechcesz rozbić głowy o niejeden kamień po drodze, radzę ukróć cugle fantazyi, tej szalonej dziewce, bo to niedobra gospodyni w głowie ludzkiej, jeźli się wyłamie z pod karbów gospodarza, Rozsądku. Pan jesteś sobie zawziętym antybonapartystą, wolno Panu, ale przyznasz przynajmniej: że w kampanji z dziwactwami własnemi, nie miałeś żadnej pono jeszcze potyczki pod Arkoli, nie jesteś Napoleonem *sur ce champ de bataille.* A teraz żegnam

Panów moich i ciebie wielebny Ojcze, jeszcze się będziemy widzieli — już późno i trzeba mi spiesznie wracać do Krzeszowic — i począłem wychodzić spiesznie, pomimo usiłowań stroskanego O. Maryana, który radby był mnie zatrzymać, i pragnął żeby inny koniec ta rozmowa wzięła; lecz daremnie, bom czuł dobrze, że dłużej bawiąc nie stało by mi na łagodniejszy humor. Kiedym był już u furty, Kosinski podbiegł do mnie i ozwał się z widocznie wymuszoną spokojnością: — Pułkowniku, tak mi się rozstać niepodobna z przyjacielem Karola Rysińskiego; masz prawo wszelkie, obruszać się na moje dziwactwa, i karcić mnie jako młodego niedowarzonego zagorzalca, wszystko to przyjmuję i przyjąć muszę, bo mi niegodzi się inaczej, nawet cię szczerze przepraszam — tu podał mi rękę, którąm ozięble przyjął — ale przy tem otwarcie wyznaję (bo niechcę za lepszego uchodzić niż jestem w oczach twoich): że to uczucie które nazywasz dziwactwem jest moim najdrozszym skarbem, ja z nim umrę. Mówią mi ludzie że to choroba, być może. Wielkie jest podobieństwo że to jest pierwsze i ostatnie widzenie się nasze, nasze drogi muszą być odmienne i nigdzie się niezbiegną na tej ziemi. W krótce zapewne spotkasz się z Karolem Rysinskim: racz mu powiedzieć, żem mu teraz uczynił ofiarę, na jaką

tylko najwyższa miłość zdobyć się może — pierwszy i ostatni raz w mojem życiu — on ma prawo do niej. —

— Jakaż to przecie, jeźli wolno zapytać? odpowiedziałem prawie z uśmiechem ironicznym. —

— Podałem (rzekł drżąc z gniewu) rękę bratnią Polakowi, który uwielbia tego nędzarza co Kościuszkę śmiał nazwać głupcem dla tego, że on jego pychę zrozumiał, odwrócił się od niej z ckliwością i niechciał być jej podłem narzędziem. —

Na te słowa niebędąc już panem siebie, krzyknąłem: — Młokosie, ja cię nauczę. — Lecz w tem O. Maryan objął mnie w swoje ramiona, mówiąc: — *Fili mi pax tecum,* to chore dziecko. Wnet ochłonąłem ze wstydem i ujrzałem bladego jak śmierć Kosinskiego prowadzonego przez Koca, który go na ławeczce posadził, a ocierając mu pot zimny z czoła, ciągle mówił: — Generałowiczu, uspokuj się, *quare conturbas nos,* delikaciku, trzeba ci szanować zdrowie. — Z wielkiem pomieszamiem rzekłem: — Przepraszam Ojcze, niepiękniem ci odpłacił grzeczność twoją, ale będziemy się jeszcze widzieć, poprawię się. Ten Panicz potrzebuje spoczynku, chory, a jam tego się niedomyślił, przepraszam. Będę Wam Ojcze służył za parę dni, żeby was o jedną ważną posługę prosić. Do nóg upadam — i zatrzasnąwszy furtkę, wyleciałem raczej niż

wyszedłem, i tak biegłem raźno, żem niezważał na spieszącego poczciwego Zakonnika, który wołał ciągle że mnie chce odprowadzić aż za bramę i drogę pokazać. —

Ot widzisz Siostro, jak się ta kozacka ukraińska natura we mnie fatalnie spisała. — Głupstwa i niedorzeczności się narobiło, wśród tych miejsc świętych z tym pobożnym staruszkiem, a to ja niby się mam w obec zawsze poczciwego Rysińskiego, za sensata, za filozofa. Pożal się Boże. — Dopiero po drodze wśród lasu, przy chłodzie wieczornym, wrócił do domu rozsądek, i łajał i karcił: a cóżeś to narobił gapiu, jak ci było można tak dalece zacietrzewić się, żebyś zaraz niezmiarkował i niedomyślał się, jacy to ludzie przybyli do ogródka z O. Maryanem. — Jacyż to? zapytasz Siostro. — Odczytaj na pierwszych kartach dziennika notatkę Rysińskiego, co mi wpadła trafem do rąk: znajdziesz ich tam — Koca starego i tego młodzika chorego i damy dwie, i całą tę leśną awanturę, a jam tak niedorzecznie wdawał się z tym młodzieńcem w niepotrzebne dysputy. — I wróciłem już późno do stancyi, zastałem expedycyą ogromną od mego Pułkownika. Wojna, wojna, i pochód — trzeba ruszać czem prędzej do głównej kwatery, do Krakowa. — Smutno mi było na sercu: tylko po źle odmywiónem pacierzu, kładąc

się na spoczynek, przyszło mi na pamieć że ty, moja biedaczko, zmawiasz co wieczór za mnie łajdaka litanię do Matki Boskiej, i ta myśl słodka uspokoiła mi serce zburzone — ale kiedyż się zobaczemy? —

Lecz i z Rysińskim trzeba mi się czem prędzej widzieć, byle tylko do prawdy niepoleciał już do Drezdna: bo jak teraz zimno rzeczy rozważam, w tym jego protegowanym młodym Kosinskim, jest coś co on musi mi wytłómaczyć, — co mi się niepodoba — nie waryat, ani chory jak inni ludzie. —

A teraz żegnam cię Siostro i niewiem kiedy już będę mógł tak długo z tobą gawędzić, bo kupa roboty i wojna, wojna pewna. — Niech mi Bóg tak tylko szczęści, jak ja codzień o tobie w sercu mojem rozmyślam, bo wiesz że po Ojcu tyś mi jedyną na świecie szerokim. — Proszę ciebie Siostrzyczko, ofiaruj Ks. Wiatorowi parę rubli na wotywę na moją intencyą przed Stym Antonim, i staremu Kazimirzowi każ sprawić nowy kontusz aby się modlił trochę za Pana Wojtka.

Październik, Wilno. — Wysłany przez Kscia Józefa z depeszami do głównej kwatery Cesarskiej, oddałem je dziś o ósmej z rana Ksciu Neufchatel, i kazano mi czekać na odpowiedź, — ale Cesarz mocno zajęty deputacyą litewską,

pono przyjdzie tu zabawić dni kilka. Miałem wielką radość — zjechałem się z P. Karolem który ciągle kręci się w świcie Cesarskiej, a innych tu znajomości niemam, i niepragnę zabierać. — Stoję na kwaterze Karola, lecz z nim także ledwie parę słów pomówić mogłem, bo on ciągle na Zakrecie, w karcellaryi Cesarskiej zajęty. — Dobrze go tam zaprzęgli do roboty, bo ma gładkie pióro francuzkie i świadom jest naszych rzeczy, dworak się też zrobił z niego nie lada, ale zawsze dobry chłopiec — a ja rad z tego bo mogę się wziąść do mego Dyaryusza. Od kiedy wojna się zaczęła, co dzień mi stajesz przed oczyma Siostro, i widzę cię w twoim pokojku przed tym obrazem Matki Boskiej modlącą się za mnie — więc ja pomiętny na moją obietnicę, chcę pokrótce ci zdać sprawę o naszych rzeczach od ostatniej mojej relacyi, którąm ci z Krzeszowic przesłał przez zacną Podstolankę Borzęckę jadącą na Podole, która już zapewne widziała się z tobą — niemogłem mieć szczęśliwszej zręczności, i zapewne masz już w ręku moją bazgraninę. — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

KONIEC TOMU I.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.